TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 25 lutego – 3 marca 2026 | nr 09 (3999)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI
Polski problem z Pierwszą Damą
My, ołowiane dzieci
Jak poskładać życie po stracie
Psychoterapia u czatbota
Kaczor Donald ratuje czytelnictwo
DODATEK: KREATYWNY SENIOR

STRONY 12–16

CZYM DYSKONTY PODBIŁY POLSKĘ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl c90e1c6c76

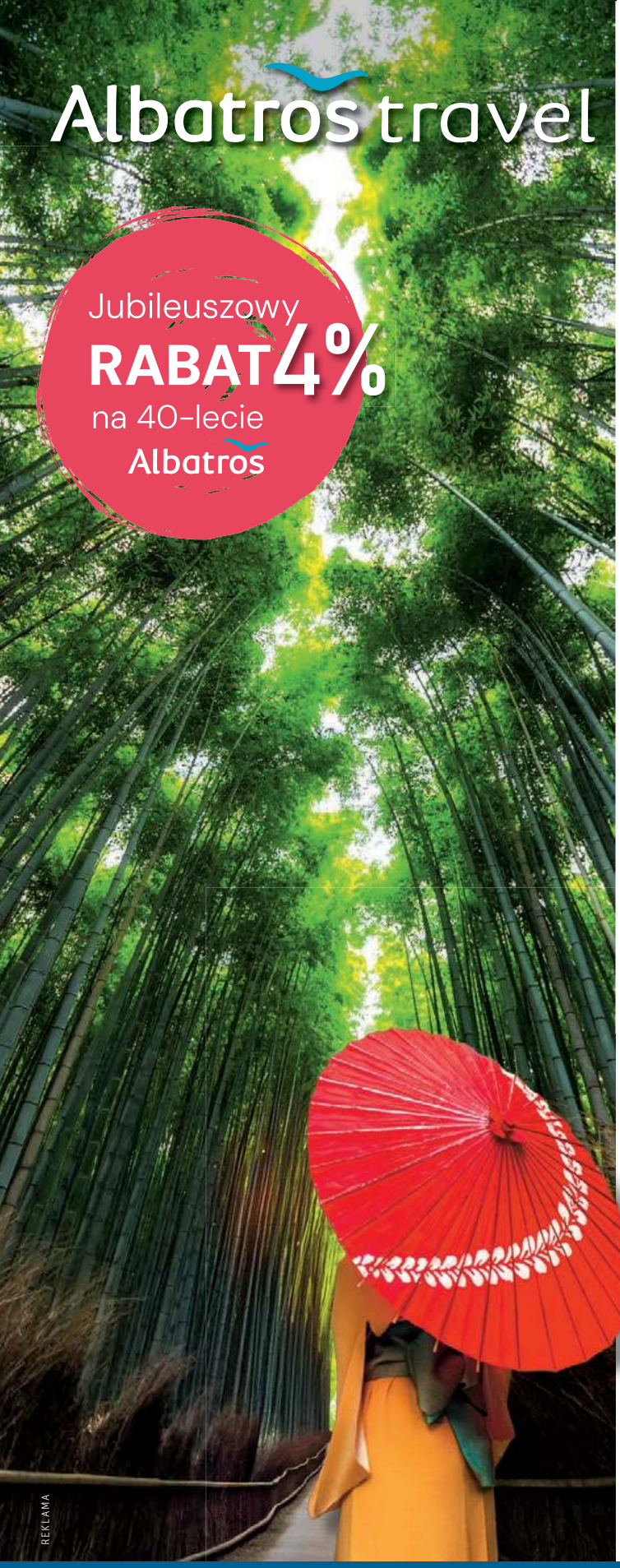

Angkor — imperium w głębi dżungli

Wycieczka śladami dziedzictwa kulturowego Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, zwiedzanie m.in. słynnego Angkor Wat oraz rejs rzeką Mekong.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Bangkoku. **Dz. 2** Przylot do Bangkoku. Zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Bangkok. Wielki Pałac Królewski i Wat Pho. Przejazd do Chanthaburi. **Dz. 4** Chanthaburi – Battambang, Kambodża. Zwiedzanie miasta. Killing Caves (Jaskinie Zabijania). **Dz. 5** Battambang – Siem Reap. Świątynia Wat Phnom Banan. **Dz. 6** Siem Reap. Angkor Thom oraz Angkor Wat. **Dz. 7** Siem Reap – Phnom Penh. „Wioska Pająków" (Spider Village) oraz zwiedzanie miasta rikszą rowerową. **Dz. 8** Phnom Penh. Zwiedzanie miasta, Pałac Królewski (Royal Palace), Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng i Pola Śmierci (Killing Fields). **Dz. 9** Phnom Penh, rejs rzeką Mekong do Chau Doc w Wietnamie. **Dz. 10** Chau Doc. Wycieczka rowerowa. Wypoczynek w Victoria Nui Sam Lodge. **Dz. 11** Chau Doc – Can Tho w Delcie Mekong. Wizyta na bazarze oraz rejs. **Dz. 12** Can Tho – Ho Chi Minh. Pływający targ w Delcie rzeki Mekong. **Dz. 13** Ho Chi Minh, tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja pożegnalna. **Dz. 14** Ho Chi Minh. Spacer po mieście. Czas wolny. Wylot do Warszawy. **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 29/09, 15/11 2026, 30/01, 06/03 2027 | od 11.998,-

Czarnogóra dla koneserów

Pomiędzy najwyższymi szczytami Bałkanów a najpiękniejszym wybrzeżem Adriatyku kryje się kraj z fascynującymi skarbami kultury, niezwykłą przyrodą i dramatyczną historią.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Dubrownik – Herceg Novi – Bijela. Zwiedzanie miasta i przyjazd do hotelu. **Dz. 2** Bijela – Kotor – Tivat – Bijela. Zatoka Kotorska z pieszym zwiedzaniem Kotoru i Tivatu. **Dz. 3** Bijela. Czas wolny lub wycieczka fakultatywna do Nikšicia i klasztoru Ostrog. **Dz. 4** Bijela – Cetinje – Park Narodowy Lovćen – Bijela. Pałac króla Mikołaja i spacer po parku narodowym. **Dz. 5** Bijela. Czas wolny lub wycieczka fakultatywna do Dubrownika i rejs do Cavtat (Chorwacja). **Dz. 6** Bijela – Podgorica – Bijela. Zwiedzanie Podgoricy z degustacją wina. **Dz. 7** Czas wolny lub wycieczka fakultatywna do Perastu i na Wyspę Matki Boskiej na Skale. Kolacja pożegnalna. **Dz. 8** Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 07/05, 26/09 2026 | od 4.998,-

Japonia i Korea Południowa
– azjatyckie tygrysy

Wspaniała podróż do Seulu, Kioto oraz Tokio, gdzie nowoczesność, tradycja, piękna przyroda i urokliwe świątynie tworzą niepowtarzalną mieszankę kulturową.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Seulu. **Dz. 2** Przylot do Seulu w Korei Południowej. Rynek Gwangjang i kolacja powitalna. **Dz. 3** Seul. Wycieczka do strefy zdemilitaryzowanej, muzeum sztuki kulinarnej kimchi oraz warsztaty, wieża widokowa. **Dz. 4** Seul. Wycieczka po mieście z cesarskim pałacem Gyeongbok, Narodowym Muzeum Folkloru, wioską Bukchon Hanok, wizyta w kościele. **Dz. 5** Seul – Punggi – Gyeongju. Rynek Żeń-szeń, wioska Hahoe. **Dz. 6** Gyeongju. Świątynia Bulguksa i jaskinia Seokguram wpisane na listę UNESCO. **Dz. 7** Gyeongju – Busan. Zakład produkcyjny. Wycieczka po mieście Busan ze świątynią Haedong Yonggungsa, Cmentarz-pomnik ONZ, wieża Busan i targ rybny. Kolacja. **Dz. 8** Busan – Fukuoka, Japonia. Targ żywności Tenjin. **Dz. 9** Przejazd Shinkansenem do Hiroshimy, brama Torii na wyspie Miyajima, Park Pokoju i Pomnik Pokoju. Przejazd Shinkansenem do Kioto. **Dz. 10** Kioto. Zamek Nijo, Złoty Pawilon, kamienny ogród zen świątyni Ryoanji, ogrody przy Świątyni Spokoju i Pokoju (Heian jingu). **Dz. 11** Kioto. Wycieczka do Nary i czas wolny. **Dz. 12** Przejazd Shinkansenem do Tokio. Świątynia Asakusa, wjazd na Tokyo Skytree. **Dz. 13** Tokio. Czas wolny – wycieczka do Parku Narodowego Hakone i góry Fuji (dodatkowo płatna). **Dz. 14** Tokio. Dzielnica Shibuya i czas wolny. Kolacja pożegnalna. **Dz. 15** Wylot z Tokio do Warszawy.

15 dni | Wylot z Warszawy 10/05 2026 | od 24.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Rabat 4% dla rezerwacji dokonanych **do 18.02 do 28.02.2026**
kod rabatowy **26PLEJUJUB40**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl c90e1c6c76

KS. ADAM

Boniecki: *Dorosłość znaczy smutek*

Dorosłość znaczy wielki smutek. Powodów jest tyle, że nie ma co ich wyliczać. Wymieńmy więc tylko dwa: zawód i odejście. Zawód wynika z pragnienia tak mocnego, że bierze się je za rzeczywistość. Mądrość przychodzi potem, gorzka i często wydaje się, że spóźniona. Odejścia zaś mogą być stopniowane, mogą być tylko odczuwane. Ale mogą też być całkowite i definitywne – takim odejściem jest śmierć. Choć tu również nie jestem ścisły: śmierć może nie być odejściem ani całkowitym, ani definitywnym.

Smutek niekoniecznie jest widoczny. Śmierć kogoś, kogo się kochało jak siebie samego albo bardziej niż siebie, zostaje w człowieku. Są tacy, którzy po takiej śmierci już nie potrafią żyć: po prostu umierają lub żyją, jakby umarli. Ale są i tacy, którzy podejmują to, co zostawił zmarły i często w sposób heroiczny kontynuują dzieło rozpoczęte we dwoje. Oczywiście są i tacy, którzy niczego nie kontynuują i zaczynają od początku. Czasem jest to możliwe, ale często się nie udaje.

Pisanie ogólnikowe o tym wszystkim – wiem dobrze – nie jest ciekawe, jest wręcz nieużyteczne, bo mimo podobieństw te ludzkie sytuacje są zawsze specjalnego rodzaju, są niepowtarzalne jak opowieść Urszuli Zajączkowskiej, której w tym numerze „Tygodnika" wysłuchała Katarzyna Kubisiowska. Mimo podobieństw każdą trzeba poznawać osobno, ze świadomością, że nigdy się jej nie pozna naprawdę, że każda jest subiektywna, każda unikalna mimo zewnętrznych podobieństw.

W moim zawodzie-nie-zawodzie człowiek poznaje przedziwne sytuacje ludzi, których spotyka czasem tylko raz w życiu. Nie są to historie do opisywania, lecz do zachowania w sercu. Wśród nich szczególnie ważne miejsce zajmują oczywiście historie tych, którzy odeszli. Ale i tych, którzy nie odeszli, również są ważne, nawet bardzo. I nigdy o nich nie piszę, ani nie mówię, co z czasem staje się odruchem.

Łączność z tymi, którzy byli z nami, byli blisko i teraz odeszli, jest fenomenem chyba powszechnym i (tak się przynajmniej wydaje) niezależnym od nas. Ta łączność nie ogranicza się tylko do wspomnień. Bo to nie tylko wspominanie, ale też przekonanie, że oni nam coś mówią, o czymś przypominają, przed czymś ostrzegają. Mówienie o tym jest krępujące, stawia nas w głupiej sytuacji wobec ludzi, którzy myślą trzeźwo. Czujemy, że za nimi nie nadążamy. Nigdy na ten temat nie powiedziałem kazania ani (chyba) nie mówiłem publicznie, jednak w życiu widziałem dosyć takich zjawisk, żeby je traktować poważnie.

Napisałem na początku, że dorosłe życie niesie ze sobą wiele zgryzot, ale dodam, że niesie także ze sobą pewną liczbę znaków wskazujących na inny świat, poza tym, który znamy. Jedni nic takiego nie zauważyli, inni starają się perswadować, że takiego świata nie ma, inni wreszcie swoje wiedzą.

Są i tacy (i do tych ostatnich się zaliczam), którzy mówią: zobaczymy. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP JUŻ ZA TYDZIEŃ „TYGODNIK" NUMER 4000 – A W NIM MOC CZYTANIA:

KAROLINA WIGURA i JAROSŁAW KUISZ o konsekwencjach polexitu
CVETA DIMITROVA o tym, po co nam zaufanie

TOMASZ ORGANEK w rozmowie na Wielki Post
RADEK RAK – o czym nie szumią wierzby

oraz felietony KS. ADAMA BONIECKIEGO, OLGI DRENDY, ZUZANNY RADZIK i TOMASZA STAWISZYŃSKIEGO

eprasa.pl c90e1c6c76

Dzieci, które w tamtym czasie przyszły na świat, są już pełnoletnie, litościwie pomińmy więc nazwiska i nazwy głównych bohaterów tego wydarzenia. A było tak. Zadzwonił telefon i głos szefa działu ogólnopolskiego tygodnika opinii, w którym wówczas pracowałem, zapoznał mnie z nowym zadaniem. – Pójdziesz do jakiegoś dyskontu i zrobisz reportaż o tym, kto tam kupuje, dlaczego tam, a nie w normalnym sklepie, co tam można kupić itd. Co ci będę tłumaczyć, wiesz chyba, w czym rzecz. No to cześć – pożegnał się w swoim stylu pryncypał.

Z zakamarków jaźni, w których składuję wstydliwe wspomnienia, tamtą konwersację uwolniły nieoczekiwanie ostatnie godziny pracy nad bieżącym numerem „Tygodnika", gdy wysyłaliśmy do druku okładkowy materiał **BEATY CHOMĄTOWSKIEJ** o tym, co nam dały, a co zabrały dyskonty. Dwie dekady w polskiej historii to zawsze dużo, zdarzało nam się w tym czasie odzyskać i utracić niepodległość. W minionym ćwierćwieczu mieliśmy więc i sporo czasu na zmianę nawyków konsumpcyjnych i żywieniowych, a nawet na gruntowny remanent pojęciowy, który objął i to, jak rozumiemy słowo „elitarny". Po wielu sklepach, które mojemu ówczesnemu szefowi wydawały się „normalne", zostały tylko szczątki foliowych reklamówek na wysypiskach śmieci. Normalne – a raczej należałoby rzec powszechne – stały się natomiast zakupy w dyskontach.

Wybraliśmy się w podróż po Polsce widzianej z parkingu przed takim sklepem i wyzierającej spomiędzy jej półek, żeby przyjrzeć się zmianie, która w tym czasie zaszła na polskiej ulicy, talerzu i w naszych głowach. Będziecie rozczarowani, jeśli spodziewacie się po takiej wycieczce jedynie zachwytów nad bilansem tych przemian. Może zniesmaczy Was też nasze dla nich uznanie – jeśli liczyliście jedynie na antykonsumpcyjną filipikę. Antropologia codzienności, na której próbkę sobie pozwoliliśmy, nie może ukazywać zjawisk w jednej tylko płaszczyźnie, jeśli traktować ją serio, a nie jako podkładkę pod tezę.

Zresztą, jaka to przyjemność zagłębiać się w tematykę prostą jak matematyka dla klas pierwszych? Od dawna mam wrażenie, że Koleżanki i Koledzy, których spotykam codziennie w redakcji, oraz nasi Współpracownicy najlepiej czują się właśnie w pracy nad tematami, które można by oznakować znanym z social mediów tagiem „to skomplikowane".

©℗

MAREK RABIJ
REDAKTOR PROWADZĄCY

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj, wyróżniony w konkursie NBP dla najlepszego dziennikarza ekonomicznego. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

18 Daleko ludzkich spraw
ZUZANNA RADZIK
Afera z wywiadem Marty Nawrockiej pokazała, jak chętnie spieramy się o rzeczy mało istotne, przemilczając zarazem ważne kwestie.

28 Siłaczki, ikony, aktywistki
WOJCIECH ŚMIEJA
Świetni aktorzy, z Joanną Kulig na czele. Niezły scenariusz. A jednak „Ołowiane dzieci" to zmarnowana szansa na wielką opowieść o polskiej historii najnowszej.

48 Jest światło w ogrodzie
URSZULA ZAJĄCZKOWSKA:
Gestem miłości wobec zmarłego męża jest to, że umiem mu powiedzieć, że nie będę teraz cierpieć. Może potem.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // GRZEGORZ KSEL / REPORTER // ROBERT PAŁKA / NETFLIX // HANNA ZAJĄCZKOWSKA

eprasa.pl c90e1c6c76

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Twarz kobiety
MONIKA OCHĘDOWSKA

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Daleko ludzkich spraw
ZUZANNA RADZIK

22 Na rozstajnych drogach
JACEK STAWISKI: *W sferze obronności Polska i Niemcy mogłoby się wzorować na współpracy Francji i Wielkiej Brytanii*

25 Zielu kwitnie
ZBIGNIEW ROKITA: *Czy Piotr Zieliński dołączy do futbolowego panteonu?*

■ ■ OPINIE

28 Siłaczki, ikony, aktywistki
WOJCIECH ŚMIEJA

■ ■ ŚWIAT

32 Walec się toczy
MAREK MATUSIAK: *Proponowana przez Trumpa odbudowa Strefy Gazy doprowadzi do likwidacji wspólnoty narodowej Palestyńczyków*

35 Niewidzialne łańcuchy
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII: *Co trzecia Hiszpanka doświadczyła przemocy od partnera*

38 Bogaty jak Czech
KRZYSZTOF DĘBIEC: *W tym kraju majątek czterech najbogatszych obywateli to równowartość jednej piątej PKB*

41 Koty z Downing Street
PATRYCJA BUKALSKA *o Głównym Myszołapie rządu Jego Królewskiej Mości*

■ ■ WIARA

48 Jest światło w ogrodzie
URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

12
Wolność, równość, promocje
BEATA CHOMĄTOWSKA

Pokochaliśmy zakupy w dyskontach. Jak ten rodzaj sklepów zmienił krajobraz Polski i nasze zwyczaje?

■ DODATKI ■

43 HESTIA „INTEGRALIA": MILION NIEWYKORZYSTANYCH TALENTÓW

59 TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA **75** ELIZA KĄCKA
92 PAWEŁ BRAVO **98** TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

53 Prorocy z Facebooka
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Amerykańska wspólnota ewangelizacyjna przyznaje się do przemocy i kłamstw*

55 Indeks firm przykazanych
MAREK RABIJ: *Czy katolickie indeksy giełdowe obronią finanse Watykanu?*

57 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

76 Zalety plemienności
MICHAEL MORRIS, PSYCHOLOG KULTUROWY: *Ewolucja wyposażyła nas w instynkty służące solidarności, nie antagonizmom*

■ ■ KULTURA

80 Swoboda przechadzki
PIOTR KOSIEWSKI *o najnowszej wystawie w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej*

83 Lekcja z kreskówki
PATRYCJA BUKALSKA: *Jak Kaczor Donald ratuje czytelnictwo w Finlandii*

86 W kostiumie
JACEK WAKAR: *Czy byliście kiedyś we wnętrzu obrazu lub w głowie zmęczonego twórczą gorączką artysty?*

88 Powrót do domu
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Wartość sentymentalna" Joachima Triera*

89 Profesorowa pod Tatrami
LEKTOR *o książce Maryli Szymiczkowej „Szaleństwo i śmierć spłyną z gór"*

■ ■ PSYCHE

94 Czatbot w kryzysie psychicznym
BADACZE KATARZYNA MIKA-ŁABUZ, MATEUSZ ŁABUZ I PAWEŁ SZCZĘSNY *przekonują, że czatbot nie jest w stanie zastąpić doświadczonego psychoterapeuty*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ AKTUALNĄ OFERTĘ NA STRONIE 58

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

eprasa.pl c90e1c6c76

CHRISTOPHE SIMON / AFP / EAST NEWS

OBRAZ TYGODNIA

TWARZ KOBIETY

Nie mamy pojęcia o skali przemocy wobec kobiet. Fiksujemy się na sprawcach. To lekcja z debaty wokół sprawy Epsteina – i wniosek po premierze książki Gisèle Pelicot.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Budowlaniec, ojciec szóstki dzieci. Strażak, tata dwóch córek. Elektryk – także dwójka dzieci. Fryzjer, kierowca karetki, piekarz, ogrodnik, hydraulik, menadżer hotelu. „Bez jej wiedzy" – tak nazywał się czat, na którym szukali sposobności zgwałcenia nieprzytomnej kobiety. Gisèle Pelicot przez wiele lat była podtruwana przez swojego męża mieszanką substancji, w których znajdował się anestetyk podawany zwierzętom podczas zabiegów chirurgicznych. Traciła przytomność. Niczego nie pamiętała. Odczuwany na co dzień ból brzucha był trudny do zdiagnozowania.

ZWYKLI LUDZIE | Ludovick odpowiedział na ogłoszenie Dominique'a, ponieważ jego partnerka przechodziła wyjątkowo trudną ciążę i przez wiele miesięcy nie mogli uprawiać seksu. Po wszystkim wysłał SMS potwierdzając, że było „naprawdę fajnie" i chętnie znów wpadnie w odwiedziny. Simoné mógł wpadać częściej, bo mieszkał po sąsiedzku. Codziennie mówili sobie „dzień dobry". Inni mężczyźni przed przyjęciem zaproszenia Dominique'a też chcieli poznać Gisèle, pukali więc do drzwi jej domu pod byle pretekstem, np. udając kurierów. W obronie jednego z nich, żandarma, występują podczas procesu koledzy. Mówią, że

Gisèle Pelicot, Awinion, 23 października 2024 r.

eprasa.pl c90e1c6c76

jest wzorowym pracownikiem i życzyliby sobie jego szybkiego powrotu na posterunek.

Łącznie skazano ich pięćdziesięciu, choć w nagraniach rejestrowanych skrupulatnie i „dla przyjemności" przez Pelicota pojawia się prawdopodobnie ok. siedemdziesięciu mężczyzn. „Proszę zdefiniować gwałt" – zwraca się kolejno do oskarżonych sędzia. „To wtedy, gdy ktoś zostaje związany i zmuszony do seksu – odpowiadają – a my nie używaliśmy przemocy".

RODZINNE ŻYCIE | W wydanej właśnie książce, napisanej przez Gisèle Pelicot we współpracy z francuską dziennikarką Judith Perrignon, czytamy o samym procesie, ale też o kobietach, których bliscy usiedli na ławie oskarżonych. Żadna nie miała siły konfrontować się ze zdjęciami i nagraniami, nie chciały oglądać ukochanego syna czy męża, gdy ten gwałcił. Wychodziły z sali. Nie poddały się badaniom z obawy, że mogły paść ofiarą podobnych praktyk. Chciały ufać swoim mężczyznom. Chciały wierzyć w swoje życie, zachować wspomnienia.

Tymczasem jedna z tych kobiet rzeczywiście została odurzona i zgwałcona przez swojego męża i Dominique'a Pelicota. W charakterze świadka opowiadała na procesie o ich skromnym, udanym życiu rodzinnym, pięciorgu dzieciach. To życie trwało do dnia, w którym obudziła się, zastając w łóżku obcego mężczyznę.

Pani Pelicot też powie pewnego listopadowego poranka na miejscowym komisariacie, że jej mąż jest świetnym facetem: prasuje i gotuje, robi domowe jogurty i desery. Kiedy dzieci były małe, odbierał je ze szkoły, odwoził na zajęcia taneczne. Zaraz potem funkcjonariusz pokaże jej zdjęcia, na których trudno jej będzie rozpoznać siebie.

Gdy we Francji kończy się głośny proces, dziennikarki niemieckich telewizji publicznych, Isabell Beer i Isabel Ströh, publikują reportaż. Ujawniają nagrania z grup na Telegramie, liczących czasem dziesiątki tysięcy użytkowników. Mężczyźni wymieniają się tam pomysłami na temat tego, jak skutecznie odurzyć, a potem zgwałcić swoje partnerki. Udostępniają nagrania rzekomych przestępstw. Podpowiadają, gdzie kupić specyfiki, które znieczulają i usypiają. Okazuje się to całkiem łatwe. Na większości filmów widać twarze nieprzytomnych, zniewolonych chemicznie kobiet. Niemieckie władze niechętnie zabierają się do działania, o czym kilka dni temu przypominają w jednym z wywiadów autorki reportażu.

ILE OFIAR | Tak, proces Pelicota przyczynił się do zmiany prawa karnego i definicji gwałtu we Francji. Do wcześniejszych kryteriów tego przestępstwa, czyli użycia przemocy, przymusu lub groźby, dodano „brak udzielenia swobodnej i jasno wyrażonej zgody". Ale rzeczywistym problemem jest fakt, że nie mamy pojęcia o skali przemocy wobec kobiet. Więcej: same kobiety mogą nie być świadome tego, że są ofiarami. Może dlatego, że zamiast myśleć o nich, fiksujemy się wyłącznie na sprawcach? Czy nie tego uczy nas tocząca się debata wokół sprawy Jeffreya Epsteina?

Tylko w zeszłym roku amerykańskie Centrum ds. Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci otrzymało ponad 113 000 zgłoszeń o możliwości popełnienia przestępstwa. Oznacza to, jak pisze „New York Times", że każdego dnia w Stanach Zjednoczonych ponad 300 nastoletnich dziewcząt (a dane są na pewno niedoszacowane) pada ofiarą nadużyć seksualnych: w każdym stanie, w każdym mieście, w każdym środowisku.

Pozwalamy na nadużycia, przestępstwa i codzienną przemoc wobec kobiet. Wtedy, kiedy nie zawiadamiamy policji. Wtedy, kiedy nie chcemy się wtrącać. Kiedy nie chcemy znać prawdy. Albo kiedy zamiast o ofiarach przestępstw wciąż mówimy o sprawcach.

Przypomina o tym Gisèle Pelicot, opowiadając tę historię z własnej perspektywy. Ze zdjęciem własnej twarzy na okładce. ©℗

Rzucić Big Techy

SYLWIA CZUBKOWSKA

Korporacje cyfrowe działają tak jak działały koncerny tytoniowe: projektują produkty uzależniające, a ich lobbyści próbują opóźnić lub osłabić regulacje. Skoro podobieństw jest tak wiele, dlaczego nie zastosować wobec nich tej samej strategii, która zmusiła przemysł tytoniowy do odpowiedzialności?

W tym kierunku zmierzają amerykańscy prawnicy. Doprowadzili już do procesu, w którym przed sądem w Los Angeles zeznawali Mark Zuckerberg i szef Instagrama Adam Mosseri. Pozew złożyła w 2023 r. 19-letnia dziś dziewczyna określana inicjałami KGM. Jej prawnik przekonuje, że korzystanie w dzieciństwie z Instagrama i YouTube'a – a także TikToka i Snapchata, z którymi zawarto już ugody – doprowadziło do uzależnienia od platform, co pogłębiło problemy psychiczne klientki. Wśród dowodów znajdują się dokumenty pokazujące, że Meta zabiegała o przyciągnięcie dzieci w wieku 10-13 lat. Priorytetem było zwiększenie czasu spędzanego na Instagramie przez... 10-latków.

Wstrząsające. Podobnie jak dowody w kolejnym procesie przeciwko Mecie, jaki toczy się w Nowym Meksyku. Spółka broni się przed zarzutem, że umożliwia wykorzystywanie seksualne dzieci na swoich platformach. Wewnętrzne testy Mety z 2025 r. wykazały, iż firmowe czatboty AI miały wskaźnik niepowodzeń w ochronie dzieci aż na poziomie 66,8 proc.

To, w jakiej procedurze toczy się prawniczy bój, może doprowadzić do prawdziwego „momentu Big Tobacco" dla Big Techów.

Mamy do czynienia z tzw. procesem testowym, którego wynik będzie decydujący dla tysięcy podobnych. W amerykańskim systemie federalnym czeka ponad 2300 spraw przeciwko firmom technologicznym. Kolejne 1600 roszczeń procedowanych jest w samej Kalifornii.

Podobny chwyt okazał się przełomowy w sprawach przeciwko firmom tytoniowym. W latach 90. do walki włączyły się całe stany, oskarżając je o ukrywanie danych o szkodliwości papierosów. Ugoda Master Settlement Agreement z 1998 r. zmusiła największe koncerny do wypłacenia ok. 206 mld dolarów odszkodowań i wprowadzenia ograniczeń marketingowych. Tak złamano potęgę papierosiarzy.

Nie oznacza to, że technologiczne giganty zamierzają się poddać. Meta chce przeznaczyć 65 mln USD na wsparcie stanowych kampanii wyborczych kandydatów przeciwnych regulacji AI. To największa inwestycja tej firmy w polityczny lobbing w jej historii.

Big Techy najwyraźniej dobrze odrobiły lekcję od Big Tobacco. Pytanie brzmi, czy sądy odrobią swoją. ©

eprasa.pl c90e1c6c76

Kaczyński porzuca centrum

MAREK KĘSKRAWIEC

Prezes PiS stwierdził w Radiu Maryja, że „w sercu" dokonał wyboru kandydata na premiera, ale jego nazwisko poznamy dopiero w marcu. Już sam wybór miejsca był nieprzypadkowy – media o. Rydzyka nie miały nigdy aż takich ambicji, jak telewizje Sakiewicza i Karnowskiego, próbujące od miesięcy „machać psem". 77-letni prezes ominął je, by wyraźnie zaznaczyć, kto rządzi na prawicy.

Tyle że Kaczyński nie jest już alfą i omegą. Jego partia dostaje w sondażach wyniki na poziomie skumulowanego poparcia dla obu Konfederacji, nie ma więc szans na powrót do czasów, gdy to na Nowogrodzkiej namaszczano premiera (zwłaszcza przy obecnej sile prezydenta Nawrockiego). Od lidera PiS wciąż jednak zależy to, czy jego partia zradykalizuje przekaz i spróbuje odzyskać elektorat utracony na rzecz Brauna, *de facto* idąc z nim na ryzykowną wojnę. A może złagodnieje? Jak wtedy, gdy odnosił swe największe sukcesy, do czego zresztą od miesięcy namawia frakcja Morawieckiego.

Wiele wskazuje na to, że po lekturze wewnętrznych badań Kaczyński uznał ten ostatni scenariusz za drogę do klęski. Mimo że niedawny premier wciąż pozostaje najpopularniejszym w społeczeństwie politykiem PiS, to dla samych działaczy jest zbyt umiarkowany i technokratyczny; nie ma też szans na akceptację ze strony ewentualnych koalicjantów. W tej sytuacji niedawna połajanka, na jaką zdobył się w obecności kamer Sebastian Kaleta wobec Ryszarda Terleckiego, ma symboliczne znaczenie. Młody poseł związany latami ze Zbigniewem Ziobrą, sztorcujący partyjnego weterana na korytarzu sejmowym bez natychmiastowej kary w postaci zawieszenia – nie dowodzi tylko końca więzi Kaczyńskiego ze starym druhem Terleckim. Świadczy też, że prezes uznał, iż partii zrobi lepiej, jeśli przed wyborami zamieni się w Suwerenną Polskę 3.0.

Wśród ewentualnych wybrańców Kaczyńskiego na premiera wymieniani są najczęściej Tobiasz Bocheński i Przemysław Czarnek, a także szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki. Ten ostatni ma największe szanse na poszerzenie elektoratu, ale skazuje Kaczyńskiego na dogadywanie się z Nawrockim.

Co w tej sytuacji zrobi bardzo aktywny w ostatnich miesiącach Morawiecki? W sukces jego ewentualnego sojuszu z PSL i sierotami po Szymonie Hołowni trudno uwierzyć. Albo więc były premier zejdzie do drugiego szeregu jak Terlecki, albo będzie musiał pójść osobną drogą. Raczej na zatracenie. ©℗

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Jarosław Kaczyński na posiedzeniu Sejmu X kadencji. Warszawa, 20 listopada 2025 r.

ETS na zakręcie

MAREK RABIJ

Nie jest bezpiecznie bawić się w proroka, ale zjem własne etui na telefon (kapelusza nie noszę), jeśli zmiany w unijnym systemie handlu emisjami EU ETS wejdą w życie w aktualnym kształcie. Bruksela sprawia dziś w tej sprawie wrażenie, jakby szukała już tylko dogodnego pretekstu do wyrwania nóżek własnej inicjatywie.

Europa, której gospodarka przestała doganiać globalnych konkurentów, zapewne zechce na nowo wymyślić swoją politykę klimatyczną.

Pod koniec lutego, podczas Europejskiego Szczytu Przemysłowego w Antwerpii, kanclerz Niemiec Friedrich Merz mówił, że system ETS musi zostać zreformowany, „jeśli zostanie uznane, że nie jest to najlepsze narzędzie do ograniczania emisji CO_2". Kto jeszcze nie usłyszał w tych słowach brzęku ostrza gilotyny przecinającego żywot dyrektywy, powinien wsłuchać się w wypowiedź Emmanuela Macrona. Zdaniem prezydenta kraju, który prąd czerpie głównie z atomu i rynek emisji CO_2 mógłby mieć w zasadzie w głębokim poważaniu, ETS nie działa tak, jak sobie wyobrażali jego projektanci. Zdaniem Macrona jest on szczególnie szkodliwy dla gospodarek krajów uzależnionych od paliw kopalnych, takich jak Polska. Spekulacje na rynku uprawnień do emisji sprawiają, że rośnie cena certyfikatów, tracą firmy i odbiorcy ich produktów. Jedynymi wygranymi są spekulanci.

Rzecz jasna i Macron, i Merz mówią w istocie *pro domo sua*, nie w obronie biedniejszych sąsiadów ze wschodu. Zaplanowane na przyszły rok rozszerzenie systemu ETS na nowe branże (w tej chwili za emisje płaci jedynie wielki przemysł, energetyka i linie lotnicze) sprawi, że koszty emisji CO_2 w swoich rachunkach będzie musiało uwzględnić także budownictwo, transport oraz mniejsze zakłady przemysłowe. Ich produkty i usługi z pewnością podrożeją, co pogłębi przewagę cenową produktów z importu, jednocześnie osłabiając siłę nabywczą Europejczyków. Jak szacowała w ub. roku firma analityczna T&E, przy cenie certyfikatów emisji na poziomie 55 euro za tonę, przeciętne tankowanie na polskiej stacji benzynowej byłoby droższe o około 30 zł. Obecnie za tonę dwutlenku węgla wypuszczonego do atmosfery trzeba zapłacić ok. 70 euro – a było jeszcze drożej.

Pozostaje mieć nadzieję, że w poszukiwaniu nowej drogi do zeroemisyjności Europa nie pójdzie na skróty śladem USA, które pod rządami Trumpa po prostu wypięły się na zmiany klimatyczne i robią biznes bez oglądania się na konsekwencje dla środowiska. ©℗

eprasa.pl c90e1c6c76

NA PUNKTY

GWIEZDNE WOJNY
W Polsce 2050 doszło do rozłamu: grupa 18 posłów i senatorów założyła klub parlamentarny Centrum. Szymon Hołownia uważa, że zrobili to z nienawiści do nowej przewodniczącej, Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, która nazwała ich „dezerterami". „Jako pierwszy zdezerterował niestety Szymon Hołownia" – skomentowała była już członkini ugrupowania Aleksandra Leo.

IMPERIUM KONTRATAKUJE
Ruchy wewnętrzne widać również w Konfederacji: po wykreśleniu przez PKW z rejestru partii politycznych Nowej Nadziei, na której czele stał Sławomir Mentzen, jej członkowie przyłączyli się do partii Imperium Kontratakuje.

ATAK KLONÓW
Po wyświetleniu informacji o pliku z tekstem uzasadnienia prezydenckiego projektu ustawy „o przywróceniu prawa do sądu oraz rozpoznania sprawy bez nieuzasadnionej zwłoki", nazywanego w mediach „kagańcową" lub ustawą o KRS, jako autor pojawia się związany z Ordo Iuris mecenas Bartosz Lewandowski. Kancelaria Prezydenta zapewnia, że dokument powstał u niej. ©℗

Węgry: wariant ekstremalny?

DOMINIK HÉJJ

W sobotę 21 lutego na Węgrzech oficjalnie ruszyła kampania. To początek ostatniej prostej przed wyborami parlamentarnymi, zaplanowanymi na 12 kwietnia. Do momentu, który może zakończyć epokę dominacji Viktora Orbána (na zdjęciu), zostało niespełna 50 dni. Wypełni je bezwzględny pojedynek: z jednej strony rządzący od 16 lat Fidesz, z drugiej Tisza pod wodzą Pétera Magyara.

Po raz pierwszy od 2010 r. scenariusz, w którym Fidesz traci władzę, przestał być jedynie marzeniem opozycji. Sondaże wskazują dziś na kilkupunktową przewagę partii Tisza. Ale wynik nie jest pewny: przesądzą o nim wyborcy wciąż niezdecydowani, o których dusze toczy się brutalna walka.

Węgierskie wybory to nie tylko sprawa lokalna. Orbán zbudował tyleż unikalną, co kontrowersyjną koalicję poparcia. Cieszy się uznaniem Donalda Trumpa, a niedawna wizyta Marca Rubio w Budapeszcie, połączona z zapowiedzią „złotego wieku" w relacjach USA-Węgry, to potwierdza. Sukces Orbána leży w interesie zarówno Trumpa, jak i Putina. Kreml widzi w nim gwaranta utrzymania wpływów w regionie. Z kolei Unia Europejska swoje nadzieje pokłada w Magyarze.

Atmosferę zagęszcza narastający spór Orbána z Kijowem. W ostatnim tygodniu byliśmy świadkami jego kolejnego etapu. Orbán uważa, że Wołodymyr Zełenski celowo nie przywrócił dostaw ropociągiem Przyjaźń po tym, jak został on uszkodzony w rosyjskim nalocie, co interpretuje jako ingerencję w kampanię na korzyść Tiszy.

Można odnieść wrażenie, że to podgrzewanie konfliktu to przygotowanie gruntu pod wariant ekstremalny. Jeśli Fidesz przegra, rządzący mogą uznać, że doszło do naruszenia porządku konstytucyjnego przez siły zewnętrzne lub zagrożenie bezpieczeństwa kraju (np. przez kryzys energetyczny). Obecny parlament, którego mandat trwa do zwołania nowego, mógłby, powołując się na art. 50 konstytucji, wprowadzić stan wyjątkowy.

W takim scenariuszu do przekazania władzy by nie doszło, a kolejne wybory mogłyby zostać odsunięte. Na razie to *political fiction*. Ale pokazuje, jak wysoka jest stawka. ©

BALINT SZENTGALLAY / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Biskup przestrzega przed skrajną prawicą

ARTUR SPORNIAK

Jeśli projekt AfD dotyczący ewentualnego programu rządowego po wyborach w Saksonii-Anhalt zostanie potraktowany poważnie, liberalna demokracja i pluralizm, wolność religijna, jaką znamy, oraz tolerancja staną się przeszłością" – przestrzega w liście na Wielki Post biskup Magdeburga Gerhard Feige, przypominając czasy totalitaryzmu hitlerowskiego i komunistycznego w NRD. Jest on tym hierarchą w niemieckim Kościele katolickim, który otwarcie krytykuje neofaszystowską Alternatywę dla Niemiec. Inni biskupi ograniczają się do krytyki ksenofobii czy nacjonalizmu, bez wymieniania nazwy partii. Biskupa Magdeburga spotykają za to oskarżenia, że miesza Kościół do doraźnej polityki wbrew katolickiej doktrynie. Czy rzeczywiście?

To dobry przykład, by pokazać, w jakich sytuacjach hierarcha nie tylko może, ale powinien reagować. Soborowa konstytucja „Gaudium et spes" przypomina, że Kościół nie wiąże się z żadnym systemem politycznym – jego przesłanie jest skierowane do wszystkich. Co wyklucza doraźne interwencje w sporach politycznych, które odstręczałyby od Kościoła ludzi innych przekonań politycznych. Sprawa jednak ma się inaczej, gdy zagrożone są prawa człowieka czy fundamentalne wartości społeczne (w populistycznych wypowiedziach liderzy AfD wzywają m.in. do „rozstrzeliwania migrantów").

Sondaże wskazują, że AfD w Saksonii-Anhalt osiąga jeden z najlepszych wyników, sięgając blisko 40 proc. poparcia. Gdyby ten stan utrzymał się do wrześniowych wyborów, skrajnie prawicowa partia mogłaby otrzymać mandat do sformułowania landowego rządu. W jego kompetencjach jest m.in. policja, szkolnictwo i kultura, a Landtag może stanowić prawa w sprawach nieuregulowanych prawem federalnym.

List biskupa Feige ma symboliczne znaczenie. Katolicy w jego diecezji stanowią jedynie 3 proc. populacji, gdyby więc tylko oni przejęli się tym przesłaniem, nie miałoby to znaczącego wpływu na wynik wyborów. ©℗

eprasa.pl c90e1c6c76

Sąd nad klerykalną mentalnością

PRAWO ▪ „Jestem oskarżony za gorliwość" – mówił przed sądem bp Andrzej Jeż, któremu prokuratura zarzuca opieszałość w zgłoszeniu przestępstw seksualnego wykorzystania nieletnich.

Proces rozpoczął się po blisko dwóch latach od złożenia aktu oskarżenia (tarnowski sąd badał, czy może zajmować się sprawą miejscowego biskupa bez narażenia się na zarzut stronniczości). Jest wydarzeniem bez precedensu – nigdy dotąd w Polsce biskup nie zasiadł na ławie oskarżonych pod takim zarzutem, ale i w innych krajach zdarzało się to rzadko: za niezgłoszenie organom państwowym pedofilii przed sądem stanęło jak dotąd dwóch hierarchów francuskich (kard. Philippe Barbarin z Lyonu i bp Pierre Pican z diecezji Bayeux-Lisieux) oraz jeden w USA (bp Robert Finn z diecezji Kansas City-Saint Joseph). Inne tego typu sprawy kończyły się umorzeniem lub przedprocesową ugodą.

WOJTEK RADWAŃSKI / EAST NEWS

Biskup Andrzej Jeż przed sądem w Tarnowie. 18 lutego 2026 r.

Na mocy znowelizowanych w 2017 r. przepisów prawa karnego wykorzystanie seksualne nieletnich włączono do grupy przestępstw, o których należy poinformować organy ścigania „niezwłocznie" po uzyskaniu „wiarygodnej informacji" o ich popełnieniu.

Zdaniem prokuratury bp Jeż złamał ten obowiązek, donosząc o popełnieniu przestępstw przez dwóch księży po co najmniej siedmiu latach od otrzymania na nich skargi. Zdaniem oskarżenia uniemożliwiło to części ofiar (23 osobom) dochodzenie sprawiedliwości z powodu przedawnienia się zarzutów.

Obrona hierarchy tłumaczy natomiast, że organy ścigania otrzymały już wcześniej, z innych źródeł, informacje o przestępczych działaniach obu księży, co zwalniało biskupa z obowiązku złożenia powiadomienia. A także że biskup dopełnił prawnego obowiązku natychmiast po weryfikacji (trwającej ponad rok) zarzutów przez Watykan, do której zobowiązuje go prawo kościelne.

Bez względu na wyrok, jaki zapadnie, tarnowski proces pokazuje, że jedną z głównych przeszkód w walce z przestępstwami w Kościele jest mentalność biskupów. Kodeks prawa kanonicznego nadaje ordynariuszowi pełną władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą na terenie jego diecezji. Stąd płynie przekonanie, że tylko on ma prawo wymierzać sprawiedliwość podległym mu księżom i do niego należy decyzja, co zrobić z zarzutami, jak je weryfikować i jaki bieg im nadać. Najczęściej próbowano więc rozwiązywać problem metodami wewnątrzkościelnymi, traktując informowanie organów państwowych jako krok ostateczny, zwykle zresztą wymuszony przez media. Ewentualnie jako wyraz dobrej woli biskupa czy jego – cytując tarnowskiego ordynariusza – gorliwości.

Świadomość, że prawo państwowe obowiązuje także biskupów, przebija się powoli – oskarżony hierarcha zeznał, że do niego dotarło to dopiero dwa lata po nowelizacji kodeksu karnego, gdy Konferencja Episkopatu Polski wydała odpowiednie wytyczne.

Do dziś zresztą większość biskupów każdą zewnętrzną inicjatywę walki z pedofilią traktuje podejrzliwie. Czego dowodzi choćby zablokowanie ogólnopolskiej, niezależnej komisji do zbadania przestępstw seksualnych księży, ograniczającej – w pierwotnym zamiarze – prerogatywy ordynariuszy diecezji.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Kiepska dieta – gorszy rozwój intelektualny

DZIECI ▪ Dwunożność i duże mózgi nie idą w parze z łatwymi porodami – dlatego ludzkie noworodki w toku ewolucji stały się tak małe i zależne od rodziców. Z tego samego powodu nasz plan rozwojowy obejmuje imponujące tempo wzrostu po narodzinach: w ciągu pierwszych sześciu lat życia dwukrotnie zwiększamy długość ciała, sześciokrotnie jego masę i czterokrotnie – rozmiar mózgu. Te intensywne prace konstrukcyjne organizmu wymagają dużych ilości energii i odpowiednich materiałów budowlanych – bez nich pojawiają się problemy rozwojowe.

Wiele badań wykazało, że niski przychód w rodzinie przekłada się na mniejsze rozmiary ciała dzieci oraz ich gorsze wyniki w testach poznawczych i mierzących dojrzałość społeczno-emocjonalną. Jeden z możliwych mechanizmów wydaje się oczywisty: rodziny o niskim dochodzie nie są w stanie przeznaczać odpowiednich zasobów na rozwój dzieci (np. zapewniając im pełnowartościowe pożywienie). Inny rozważany w literaturze naukowej mechanizm odwołuje się do psychologicznego stresu: borykający się z finansowymi problemami rodzice nie mogą poświęcić dzieciom odpowiedniej ilości czasu i uwagi; na rozwój dzieci może też negatywnie wpływać panujące wokół nich poczucie niepewności. Oba te wyjaśnienia nie muszą ze sobą konkurować – to raczej dwie wzajemnie powiązane konsekwencje biedy.

Jednak nawet ekonomiczne bezpieczeństwo rodziny nie gwarantuje prawidłowego rozwoju dzieci. W analizie opublikowanej w „British Journal of Nutrition" brazylijska badaczka Glaucia Treichel Heller z Uniwersytetu Federalnego w Pelotas i współpracownicy wykazali, że niskiej jakości dieta (zawierająca wysoko przetworzoną żywność) dwulatków przekłada się na niższy iloraz inteligencji dzieci po kolejnych czterech latach życia.

Dzieci, którym w wieku 2 lat rodzice częściej podawali pakowane przekąski (np. chipsy), zupy i makarony instant, słodycze, napoje gazowane czy parówki i przetworzone mięsa, osiągały w wieku 6 lat niższy o 2-5 punktów wynik w testach IQ od dzieci karmionych zdrowszą i mniej przetworzoną żywnością (głównie warzywa, owoce, fasola, dania dla niemowląt). Ten efekt pojawiał się niezależnie od wielkości i struktury rodziny, statusu ekonomicznego czy wieku rodziców. Był zaś najsilniejszy u tych dzieci, u których stwierdzono obniżony wzrost, masę ciała czy obwód głowy, wskazujące na zaburzenia rozwojowe.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

eprasa.pl c90e1c6c76

THE YOMIURI SHIMBUN / AP / EAST NEWS

Alysa Liu, złota medalistka w łyżwiarstwie figurowym kobiet Zimowych Igrzysk Olimpijskich Milano-Cortina 2026, 19 lutego 2026 r.

Igrzyska ludzkich losów

SPORT ▪ Nawet gdyby biegacz Johannes Høesflot Klaebo reprezentował osobny kraj, w tabeli medalowej z sześcioma złotymi medalami – pierwszym takim osiągnięciem sportowca na jednych zimowych igrzyskach – wyprzedziłby Austrię, Kanadę i Chiny. Choć Norwegia i bez niego zdobyłaby sumarycznie najwięcej medali. Wyczyny tego nowego samodzielnego lidera historycznej tabeli multimedalistów ZIO, a także styl i tempo ich osiągania (3.30 min/km na podbiegu w sprincie!) opisywano mianem nadludzkich. Ale technologicznie zaawansowane, pokazywane za pomocą nadążających za sportowcami dronów FPV i narzędzi sztucznej inteligencji, zakończone w niedzielę 22 lutego Zimowe Igrzyska Olimpijskie Mediolan-Cortina były bardzo ludzkim doświadczeniem. Intensywnym kursem człowieczeństwa, zbiorem motywacyjnych opowieści z humanistycznym przesłaniem.

Ich głównymi bohaterami poza Klaebo nie byli przedolimpijscy faworyci, ale sportowcy, którzy zdobywali medale wbrew oczekiwaniom i życiowym okolicznościom. Jak włoska mistrzyni narciarstwa alpejskiego Federica Brignone, która na igrzyskach wystartowała 10 miesięcy po koszmarnej kontuzji. Kiedy świat żył jeszcze brutalnie zakończoną wypadkiem na trasie zjazdu historią powrotu Lindsey Vonn na igrzyska, jeżdżąca w kasku z wizerunkiem tygrysa Brignone zostawała królową olimpijskiego polowania w Cortinie d'Ampezzo, dominując w supergigancie i slalomie gigancie.

Gospodarze przeżywali sportowo najlepsze igrzyska w historii. Równie ważny jak ten ukoronowany rekordem olimpijskim na 3000 metrów i pierwszym z dwóch złotych medali, był bieg kończącej tego dnia 35 lat panczenistki Franceski Lollobrigidy (krewnej słynnej aktorki), na którą za metą czekał dwuletni synek. Narciarz Lucas Pinheiro Braathen tańczył sambę, celebrując pierwszy w historii medal dla Brazylii, kraju matki, dla którego porzucił ojczystą Norwegię, a córka chińskiego dysydenta Alysa Liu wytańczyła dla Stanów Zjednoczonych złoto na olimpijskim lodzie, choć cztery lata temu, jako zaledwie 16-latka ogłaszała zakończenie kariery motywowane sportowym wypaleniem.

Międzynarodowy zbiór pięknych olimpijskich historii uzupełnił na skoczniach w Predazzo 19-letni zdobywca trzech z czterech polskich medali, Kacper Tomasiak. Wcześniej skakał najwyżej na piąte miejsce w Pucharze Świata, w którym debiutował dopiero w listopadzie ubiegłego roku.

To właśnie takie ludzkie historie – a nie wyniki i rekordy – przyciągnęły do zakończonych zimowych igrzysk widzów nawet odległych od zimowego sportu.

©℗ BARTEK DOBROCH

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl c90e1c6c76

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, PROMOCJE

Aż 98 proc. Polaków chodzi do dyskontów. Co te sieci wiedzą o naszych potrzebach? Jak zmieniły nasz pejzaż i nas samych? I dlaczego w ogóle tak kochamy zakupy?

BEATA CHOMĄTOWSKA

Do tematów najbardziej rozpalających mieszkańców Rabki-Zdrój należały ostatnio informacje o otwarciach dwóch nowych sklepów. Jako pierwszy, w listopadzie 2024 r., wystartował Auchan. Wstęga, balony, uśmiechnięta obsługa serwująca upominki, a nawet kapela góralska witająca pierwszych klientów, którzy czekali pod marketem.

Drugi był Lidl, w listopadzie 2025 r. Wieści, że w Rabce ma pojawić się pierwszy sklep tej sieci, krążyły od dawna. Wyczekiwano, typowano lokalizacje. Ostatecznie dyskont (o powierzchni ponad 1000 m² i parkingiem na 60 aut) stanął na terenie należącym do miejscowej parafii, naprzeciw placu handlowego. Otwarcie również przyciągnęło tłumy. Pierwsi klienci dostali darmową kawę, hot dogi i mogli skorzystać z promocji na wybrane produkty.

eprasa.pl c90e1c6c76

Oprócz Auchana i Lidla w niespełna 16-tysięcznym miasteczku działają dwa sklepy Biedronki, Carrefour, a także sieci Lewiatan, Pan Steskal i należący do lokalnego przedsiębiorcy supermarket „Małgosia". Jak to możliwe, że we wszystkich jest pełno klientów?

Historyczka sztuki Dorota Jędruch, współpracująca z Instytutem Architektury mieszkanka innej podkrakowskiej miejscowości: – Biedronka znajduje się w odległości 600 metrów od mojego osiedla, Lidl około kilometra, praktycznie naprzeciwko niej. Dalej jest jeszcze spory Kaufland, Netto, park handlowy, po drugiej stronie miasteczka Jan i jeszcze jedna Biedronka. Miejscowość liczy 20 tys. mieszkańców, zagęszczenie sprzedaży tego rodzaju jest zatem ogromne.

Lidl, Biedronka, Dino, Kaufland, Auchan muszą zatem wiedzieć o Polakach coś, czego nie rozpoznał nikt wcześniej.

Od zgrzebnego po kultowe

Samo słowo „dyskont" znaczy dziś zgoła co innego, niż z początkiem lat 90., gdy pierwsze takie sklepy pojawiły się w Polsce. Bo i krajobraz handlowy był wówczas inny. Ukształtowany przez dekady gospodarki centralnie sterowanej, ale coraz mocniej poddający się prawom wolnego rynku. W średnich i mniejszych miejscowościach (to główny teren ekspansji dyskontowych sieci) dominowały małe sklepiki, często ulokowane na posesji właściciela. Gdzieniegdzie w domu handlowym działała większa placówka typu supermarket, często sieci spółdzielczej „Społem". Wszędzie można było znaleźć także najstarszą formę handlu, czyli targowisko. Pojawiały się pierwsze sklepy obwoźne.

Cezurą stał się rok 1995, kiedy doszło do denominacji złotego. Podczas gdy do dużych ośrodków wkraczały sieci handlowe, budując hiper- i supermarkety, miasta średnie i małe stały się obiektem zainteresowania sieci dyskontowych, definiowanych jako sklepy samoobsługowe z asortymentem ograniczonym do ok. tysiąca pozycji, bazującym na własnych markach, strategii niskich cen i obniżonych marżach. Reprezentowali je najpierw przybysze z rynku norweskiego (REMA100) i Belgii (Globi). Dopiero w dalszej kolejności pojawiła się Biedronka (początkowo jej właścicielem był polski Elektromis), Plus Discount (sieć Tengelmann z Niemiec) i duńskie Netto. Kto wtedy odwiedzał takie placówki, pamięta zgrzebność wystroju i mocno ograniczony wybór produktów, które trzeba było samodzielnie wyjmować z kartonów, często ulokowanych wysoko na półkach.

W 1999 r. w Krotoszynie powstał pierwszy sklep pod marką Dino, należący do miliardera Tomasza Biernackiego. Najwięksi niemieccy operatorzy zaczęli budować własne sieci w Polsce po roku 2000 – Lidl Polska od 2002 r. (pierwszy sklep, podobnie jak Biedronka, otwarł w Poznaniu), zaś Aldi od 2008 roku.

Dziś rządzą Lidl i Biedronka. Ten pierwszy w lutym 2026 r. miał 993 sklepy i zakładał, że symboliczną barierę tysiąca przekroczy w ciągu kilkunastu miesięcy. Biedronka posiada 3,8 tys. sklepów i jest liderem pod względem przychodów. Trzeci gracz, Dino Polska, dysponuje 2,9 tys. sklepów.

Eksperci wskazują, że określenie „dyskont" stosowane jest umownie, bo granice między typami sklepów się zacierają. Sieci określające się jako dyskontowe ciągle oferują produkty w niskich cenach, ale znacznie uatrakcyjniły wygląd swoich siedzib i poszerzyły asortyment, wprowadzając np. stoiska ze świeżymi lub lokalnymi produktami. No i wykorzystują technologie, zwłaszcza codzienne promocje kuszące klientów w aplikacjach i produkty dostarczane do domów przez kurierów.

Raporty badające rynek (najnowszy, zatytułowany *nomen omen* „Kultura dyskontowa", zrealizowała w 2025 r. CSA dla Havas Commerce) nie zostawiają złudzeń: aż 98 proc. Polaków robi zakupy w dyskontach. To najwyższy wynik spośród badanych państw.

Więcej niż tanio

Gdy dzwonię do Magdy, rabczańskiej nauczycielki i społeczniczki, jest akurat w Lidlu. Środek tygodnia, godzina 13.00. Parking zajęty, w sklepie mnóstwo ludzi – relacjonuje. – Teraz sporo osób pracuje zdalnie, może wyskoczyli w przerwie.

Sama jeździ tam na większe zakupy: po kaszę, makaron, płatki. Ma kartę lojalnościową, zbiera punkty, wymienia na rabaty. – Ale drobniejsze, świeże produkty: wędliny, sery, pieczywo, kupuję w lokalnych sieciówkach – podkreśla. – Znam personel, panie doradzą, odłożą towar, poza tym lubię takie codzienne interakcje. Trudno jednak nie zauważyć, że u nich jest drożej i nie ma tylu promocji.

Na pytanie, czym dyskonty podbiły Polskę, najprościej odpowiedzieć: ceną. Lubimy kupować tanio: to główne kryterium podejmowania decyzji o zakupach u co trzeciego Polaka. Z przeprowadzonego przez PwC w 2024 r. badania konsumentów wynika, że przy wyborze produktów żywnościowych cena dominuje nad kwestiami zdrowotnymi. Eksperci tłumaczą to wysokimi wskaźnikami inflacji z lat 2021-2023. Podobną proporcję widać w całej Europie Środkowo-Wschodniej, w przeciwieństwie do reszty świata, gdzie względy zdrowotne przeważają.

Ale przyglądając się zjawisku, można też wyjść od psychologii. Potrzeby, jakie zaspokajają obiekty handlowe, najprościej podzielić na utylitarne i hedonistyczne. Pierwsze wiążą się z konkretnymi decyzjami zakupowymi. Wizyta w sklepie traktowana jest jak zadanie, ma charakter zaplanowany, określony w czasie.

Jednak zakupy są doświadczeniem wielowymiarowym. Kupowanie wywołuje emocje, np. poprawę nastroju przez chwilową ucieczkę od codziennych stresów. Albo ma wymiar integracyjny – wyprawa do sklepu wiąże się z określonymi rytuałami, a zakupione produkty niosą znaczenia i wartości rozpoznawane przez innych. Może to być też rodzaj zabawy, spędzenia czasu ze znajomymi, znajdowania przyjemności w trafianiu okazji, budowie pozytywnego obrazu własnej osoby, doświadczaniu różnorodności. Tacy klienci traktują chodzenie na zakupy jako wartość samą w sobie i często kupują w sposób niezamierzony.

Dyskonty zbudowały więź z Polakami w oparciu o potrzeby utylitarne (zakup jakościowych produktów w jak najniższej cenie), by stopniowo dostosować się do hedonistycznych. Do atrakcyjnych cen doszła wygoda zakupów (darmowe parkingi, atrakcyjna lokalizacja) i wystarczająco szeroka oferta, obejmująca też żywność ekologiczną i wegańską, gotowe dania do odgrzania w kilka minut, wina zachwalane nawet przez ekspertów, specjalne tygodnie z kuchniami świata. Wszystko wsparte przemyślanym marketingiem, wykorzystującym potoczny język i autoironię, łapiącymi w mig społeczne trendy i konteksty internetowe. ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

Łączy nas dyskont

Nikt już się nie wstydzi bywania w dyskontach. Nie są sklepami dla najuboższych, ale miejscami dla każdego, w których Polak czuje się swobodnie, niezależnie od grubości portfela czy identyfikacji z określoną klasą społeczną. Są blisko – dosłownie i w przenośni. Więc bywa się tam nie raz w tygodniu, ale nawet codziennie. Zwłaszcza gdy w okolicy brakuje konkurencyjnych atrakcji, a wokół zimno i szarówka, ciągnie się do światła i koloru. Tam, gdzie coś się dzieje. I gdzie są inni ludzie. Czasem tylko pod pretekstem zakupów.

Dla dzieci z osiedla w miejscowości Doroty Jędruch centrum życia towarzyskiego stanowią Biedronka i Action, dyskont usytuowany obok placu zabaw: – Jedzą lody w przedsionku, bo nigdzie nie ma miejsc do siedzenia, murka ani zieleni. A w samym osiedlu widać efekty wyprzedaży w Biedronce: podobne firanki w oknach, ubrania, buty z przeceny.

Anna, która prowadzi w Rabce organizację pozarządową: – Lidl ma pierwszorzędną lokalizację: na tyłach teatru, niedaleko dworca. Wygodnie i dla mieszkańców centrum, i dla tych, którzy dojeżdżają z okolicy: parking, wózki, w których da się posadzić dzieciaka. Trochę tylko przykro, kiedy widzę pełniejszy parking przed Lidlem niż przed teatrem.

Dominika Janicka, architektka i aktywistka, która razem z Olgą Grabiwodą zrealizowała projekt „Obiekty, które zostały Biedronkami", przyglądała się budynkom, które w PRL były kinami, kawiarniami, domami kultury, miejscami budowania wspólnoty, a po 1989 r. stały się dyskontami: – Zaczęłyśmy od kawiarni Biruta w Kielcach, ale szybko okazało się, że to szersze zjawisko. Nasza mapa „dyskontyzacji" urosła do ok. 30 obiektów, ale wciąż pojawiają się nowe. Często po takiej zmianie, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, znikało jedyne miejsce rozrywki i spotkań. Tracono nie tylko funkcję, ale też fragment lokalnej historii. Dla mnie „dyskontyzacja" to jeden z przykładów, w którym widać, że architektura działa jak barometr zmian społecznych. Wyraźnie pokazuje, co jest/było w danym czasie priorytetem.

Komentarze rabczańskich internautów z dyskusji poprzedzającej otwarcie dwóch dyskontów: „Największe atrakcje teraz to sklepy i galerie. Z miasta uzdrowiskowego staje się handlowym". „Była Rabka-Zdrój, będzie Rabka-Sklep". „Miasto dzieci świata, które będą zwiedzać sklepy".

– W Rabce wbrew pozorom sporo się dzieje. Oprócz teatru jest kino, biblioteka, prężnie działająca lokalna księgarnia, kilka kawiarni i restauracji, odbywają się domówki muzyczne – mówi Magda. – Ani ja, ani moi znajomi nie chodzimy do Lidla czy Biedronki w celach towarzyskich.

Trudno jednak ukryć, że to właśnie czynna do północy Biedronka, oraz Auchan i Lidl (otwarte do godziny 22.00), są najdłużej funkcjonującymi miejscami publicznymi w mieście.

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP" X3

Nikt już się nie wstydzi bywania w dyskontach.
Są miejscami, w których każdy czuje się swobodnie, niezależnie od grubości portfela czy identyfikacji z klasą społeczną.

Dyskontowa polaryzacja

Polska jest pęknięta na pół nie tylko politycznie. Ranking popularności sieci handlowych 2025 według aplikacji Listonic pokazuje, że palmę pierwszeństwa w segmencie sieci spożywczych i dyskontów (ponad 40 proc.) dzierży Lidl. Drugie miejsce zajęła Biedronka z wynikiem 38,55 proc. (wcześniej było odwrotnie), kolejne są daleko w tyle. Nic dziwnego, bo dwie pierwsze sieci niepostrzeżenie przeistoczyły się w silne marki własne, popularnością dorównujące gwiazdom popkultury do tego stopnia, że wypuszczają już linie własnych gadżetów z logo, rozchwytywane w mgnieniu oka.

Między wiernymi klientami toczy się rywalizacja. Główne argumenty za Biedronką to cena i swojskość, za Lidlem – cena i estetyka. Zwolennicy Lidla traktują ten sklep jako dyskont nieco wyższej kategorii, w czym pobrzmiewa zaufanie do solidności zachodnich sąsiadów, pokrewne hasłom reklamowym „chemia z Niemiec", a także fakt, że obecność tej sieci kojarzono dotąd z większymi miastami, podczas gdy Biedronka zawitała do mniejszych już wcześniej. Chwalą czystość i promocje produktów spożywczych z krótkim terminem ważności, krytykują wąskie alejki w sklepach Biedronki. Przeciwnicy nie pozostają dłużni, wytykając Lidlowi wyższe ceny, krótsze godziny otwarcia i parkomaty przy części parkingów („90 darmowych minut może nie starczyć na zakupy, zwłaszcza gdy przy kasach kolejki").

Autoidentyfikacja z marką sięga na tyle głęboko, że w rozważaniach pod hasłem „Lidl czy Biedronka?" sięga się po argumenty nacjonalistyczne, jak w wypowiedziach rabczańskich internautów: „Niech idą, niech płacą, a podatki za granicą płacić pojadą". „Hitlerowcy w czasie II wojny światowej mordowali mieszkańców Rabki, a wnuki kupują u Niemców z uśmiechem". Co ciekawe bowiem, Biedronka, należąca do portugalskiej grupy kapitałowej Jeronimo Martins, postrzegana jest przez niektórych konsumentów jako bardziej „polska" niż Lidl.

„Symetryści" argumentują, że są lepsze i gorsze Lidle, podobnie Biedronki. A w ogóle to zależy, jakich produktów się szuka – jedne kupuje się tu, inne tu.

Sieci też włączają się w rywalizację. Jej narzędziem są promocje, a głównymi atutami marki własne, najpopularniejsze wśród klientów (według badań Listonic na podstawie paragonów). Istne bitwy cenowe rozgrywają się w kategoriach masła, mleka i pieluch. Największy tłok w sklepach obu sieci widać po dziesiątym dniu każdego miesiąca, bo promocje

eprasa.pl c90e1c6c76

skorelowane są z najczęstszym terminem wypłaty.

Polak kupuje w dyskontach szybko – do 68 proc. decyzji zapada natychmiast. I choć najchętniej korzysta z aplikacji sklepowych do zbierania punktów i dowiadywania się o promocjach, ciągle woli przyjść bezpośrednio do sklepu, niż zamówić zakupy z dostawą. Nierzadko kupuje na zapas, bo gdy zbłądzi w alejkę kuszących ofert i widzi okazję typu trzy w jednym, budzą się w nim atawizmy: chce poczuć, że upolował mamuta tanim kosztem, a przy okazji przyniósł do domowego ogniska nadprogramowe łupy. Według danych firmy badawczej YouGov z 2025 r. w Biedronce, Lidlu i Dino zakupy na zapas przeważają znacznie nad bieżącymi czy małymi typu „polowanie na promocję" albo z nagłej potrzeby.

Nowe centrum

Dorota Jędruch: – W dużych miastach sklepy Biedronki zajmują często śródmiejskie lokalizacje, jak w Krakowie w Pałacu Spiskim, dawnym lokalu Delikatesów w Rynku Głównym, pełniącym funkcję handlową od lat 80. XIX w., w którego wnętrzu zachowały się zabytkowe elementy wyposażenia. Albo lokale dawnych pawilonów handlowych na osiedlach z czasów PRL, podtrzymując funkcję handlu w sąsiedztwie, tak istotną w projektach urbanistycznych tych osiedli. Z takich dyskontów korzystają wówczas wszyscy, także osoby niezamożne i seniorzy, którzy nie zawsze mogą dotrzeć do dalszych placówek.

Niezależnie od tych wartości dyskonty monopolizują rynek, a najważniejszą ich wadą jest konkurencyjność wobec prywatnych sklepików, które tworzą tkankę społeczną miasta: – Uniformizujący jest aspekt estetyczny tych sklepów – zwykle tani i szybki w budowie parterowy, kontenerowy pawilon z doczepionym wielkim szyldem – opowiada Jędruch. – W mniejszych miejscowościach dominują dyskonty stawiane przy drodze przelotowej, z wielkim parkingiem. To wzmacnia trend rozlewania się miast, prowokuje pustoszenie centrów. Nic wokół nie powstaje – jeśli przyciągają jakieś aktywności, to głównie podporządkowane logice korporacyjnej. Nie sprzyjają lokalnej przedsiębiorczości czy trwałości usług, nie mają potencjału miastotwórczego.

Dyskont na peryferiach

GDY W 2013 R. dr Waldemar Wilk z Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych UW opublikował artykuł „Miasta zbyt małe na handel z dyskontem", główne sieci dyskontowe szukały lokalizacji z minimalnym zapleczem 8-10 tys. mieszkańców, choć niektóre, jak Biedronka, stawiały sobie większe progi (15 tys. osób).

POD KONIEC PIERWSZEJ DEKADY XXI w. w grupie miast liczących od 20 do 50 tys. mieszkańców zaledwie w dwóch nie było dyskontów. 1/3 dyskontów w całej Polsce ulokowano właśnie w takich miejscowościach. W szybkim tempie przybywało też dyskontów w miastach najmniejszych (do 5 tys. mieszkańców). Wielkość terenu wymaganego dla tego typu obiektów sprawiała, że lokowano je wzdłuż głównych arterii lub w strefie zewnętrznej miasta.

Trudno ukryć, że dyskonty zmieniają nie tylko Polaków, ale też krajobraz Polski. Jednolite projekty architektoniczno-budowlane i wzorce kolorystyki naruszają lokalny styl zabudowy i ład przestrzenny. O ile w Rabce, podzielonej na miasteczko i część zdrojową, a przy tym rozlanej urbanistycznie, uderza to mniej, inaczej jest w podwrocławskim Strzelinie, gdzie wpływ obiektów handlowych na rozwój przestrzenny przeanalizowała Monika Łuczak z Politechniki Wrocławskiej.

Poniemieckie miasteczko ma tradycyjny układ urbanistyczny z rynkiem, który jednak po zniszczeniach wojennych nie odzyskał funkcji centrum. Zbudowane w czasach PRL dwa domy handlowe powstały przy innych ulicach. Przez Strzelin przebiega droga krajowa, kilka dróg wojewódzkich, szlak kolejowy do Pragi, można też wjechać zeń na autostradę A4. Już dekadę temu funkcjonowało tu siedem wielkopowierzchniowych obiektów handlowych. Łuczak zauważyła, że lokalizacja marketów była jednym z głównych czynników zmieniających strukturę miejscowości. Stare miasto stało się sypialnią. Lokalizacja marketów wymusiła przebudowę układu komunikacyjnego, bo przy wjeździe na parkingi tworzyły się korki.

Dziś sieci oplatają przestrzenie zurbanizowane coraz szczelniej. Ich strategie handlowe zmierzają do posiadania sklepu na każdym osiedlu – kolejna wiedza z zakresu potrzeb utylitarnych, do których należy chęć zrobienia czegoś możliwie najmniejszym kosztem. A lokalne władze patrzą na obecność dyskontów przyjaznym okiem, bo oznacza wpływy podatkowe (choć znaczna ich część trafia do budżetu centralnego: największymi płatnikami w Polsce są właśnie Biedronka, Dino i Lidl), a nowe sklepy to nowe miejsca pracy. Dyskonty mogą służyć nawet za atrakcję, wyróżniającą miejscowość względem innych w sąsiedztwie: w dyskusji pod informacjami o otwarciu Lidla w Rabce internauci pytali, kiedy w Nowym Targu i Zakopanem?

Kultura samochodowa

Dorota Jędruch przyznaje, że oprócz kilku seniorek jest na swoim osiedlu jedną z nielicznych osób, która rusza na zakupy piechotą. – Obawiam się, że sąsiedzi z troską myślą o moim statusie materialnym, jako rodziny bez samochodu. Ale taka wyprawa oznacza brodzenie w błocie, bo chodnik kończy się kilkadziesiąt metrów przed Biedronką. Obok jest kilka zanieczyszczających powietrze zakładów, śmierdzi plastikiem i spalinami, jest też głośno, więc idąc tam, czuję się jak w porządku dystopijnym.

Jak podkreśla Magdalena Milert (architektka i urbanistka, która w social mediach jako @pieing opowiada ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ o gospodarce przestrzennej), sklepy wielkopowierzchniowe zabrały miastom i miasteczkom typowe ulice handlowe, ze sklepami w parterach kamienic. Jeśli w sobotnie popołudnie sprawdzimy na mapach Google „obszar z większym ruchem", w Zakliczynie nie będzie to rynek, tylko okolica Pepco na obrzeżach.

Nie dają też nic w zamian: w wydanej przed dekadą antologii tekstów naukowców z Politechniki Wrocławskiej „Współczesne funkcje handlowe w wybranych małych miastach województwa dolnośląskiego" Anna Katarzyna Andrzejewska zauważa, że zieleń w sąsiedztwie dyskontów pojawia się zwykle tam, gdzie nie da się zlokalizować już nic więcej. Zwłaszcza w małych miastach, gdzie tereny zielone są uważane za mniej istotne niż elementy małej architektury, jak ławki, kosze na śmieci, lampy, zadaszenia na wózki, stojaki rowerowe czy słupy reklamowe. Na Dolnym Śląsku tę monotonię szczególnie widać przy sklepach usytuowanych na wylocie z małych miast.

– Sama reklama Lidla sugeruje, że można do niego dojechać i zaparkować – mówi Milert. – Ale na polską przestrzeń publiczną najbardziej wpływają skupiska sklepów, trochę przypominające amerykańskie, gdzie obok dyskontu – albo kilku różnych dyskontów – znajdują się fastfoodowe restauracje. Takie miejsca definiują sposób i styl życia: jak sobota, to najpewniej zakupy na cały tydzień i szybkie jedzenie w przerwie. Wyłania się z tego obraz Polaków jako ludzi zapracowanych, chętnych do kupowania przy okazji. Są też ufizycznieniem kultury samochodowej.

Ani w Strzelinie, ani w Rabce-Zdroju nie ma komunikacji *stricte* miejskiej. W tej drugiej miejscowości próbę wprowadzenia busików na razie storpedowali radni. Dlatego Anna, która przeniosła się tu z Krakowa i nie jest zmotoryzowana, kupuje w dyskontach tylko przy okazji, gdy wspólną wyprawę proponują znajomi. Doskwiera jej, że dyskonty i sieci handlowe zdziesiątkowały małe sklepiki. Oparła się im jeszcze piekarnia Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej, której historia sięga II wojny światowej. W sąsiedztwie Lidla działa też ostatni w mieście warzywniak.

Dyskonty definiują sposób i styl życia.
Jak sobota, to wyprawa samochodem do sklepu, zakupy na cały tydzień i szybkie jedzenie w przerwie.

Z badań prowadzonych przez ekonomistów do końca XX w. wynikało, że handel małomiasteczkowy zaspokajał głównie podstawowe potrzeby mieszkańców. Spośród typowych dla niego form najdłużej trwają targowiska, choć badanym kojarzą się one z bałaganem, tłumem i tanim towarem złej jakości. – Targ w Rabce funkcjonuje w poniedziałek, czasami też w weekendy – mówi jednak Magda. – To zupełnie inne doświadczenie niż wizyta w dyskoncie, przychodzi się tam pooglądać i porozmawiać z dostawcami, którzy przywożą świeże produkty: jaja, sery.

Niejasna przyszłość

Dominika Janicka zastanawia się, co stanie się z dyskontami za 15 czy 20 lat. – Handel coraz bardziej przenosi się do internetu, a jednocześnie rośnie potrzeba realnych, offline'owych spotkań. Magdalena Milert zauważa, że choć skupiska dyskontów urbanistycznie przypominają układ miejski – gdyby patrzeć po obrysach budynków wokół placu, tworzą prawie rynek, to jednak ich przestrzeń podporządkowana jest innej logice: – Plac, który jest rodzajem miejskiego salonu, powinien umożliwiać to, co salon, a więc odpoczynek i niespieszne przebywanie. W dyskontowych „rynkach" tego brak, bo plac to parking. Przebywać można tylko wewnątrz, w miejscu komercyjnym – mówi.

– Nie widzę możliwości, by te lokalne centra stanowiły w przyszłości spoiwo między centrum historycznym i rozbudowującymi się przedmieściami. Tworzą izolowane, zuniformizowane, niekorespondujące w żaden sposób z otoczeniem enklawy. Ich los zależy od koniunktury. Mogą w każdej chwili zniknąć, równie szybko, jak powstały – twierdzi Dorota Jędruch.

Dominika Janicka: – Czy dzisiejsze Lidle i Biedry zmienią się w Centra Lokalnej Aktywności, czy w magazyny dla chińskich platform handlowych w rodzaju Temu? Wierzę, że jednak w to pierwsze

Niektórzy eksperci od marketingu prorokują z kolei, że będą cyfrowo-logistyczną hybrydą, jeszcze lepiej wykorzystującą internetowe narzędzia do zdobywania wiedzy o preferencjach klientów i realizujące je błyskawicznie w fizycznej przestrzeni. Jak przyjaciel z sąsiedztwa, który zna cię doskonale i wie, czego potrzebujesz. Czasem nawet lepiej od ciebie.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny:
JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego:
EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja:
www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji:
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów:
www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

eprasa.pl c90e1c6c76

Czteroletni Shofi Mohammad jest przygotowywany do zabiegu chirurgicznego w szpitalu Lekarzy bez Granic w obozie dla uchodźców Kutupalong w Bangladeszu. Pielęgniarka, Zannatul Arafat, wyjaśnia mu, co się za chwilę wydarzy. Na sali jest z nim ojciec.

Dzięki Twojemu 1,5% podatku zespoły Lekarzy bez Granic mogą pomagać dzieciom takim jak Shofi oraz innym ludziom, których dotykają skutki najtragiczniejszych kryzysów humanitarnych na świecie. Dziękujemy!

Twoje 1,5% pomoże ratować życie i zdrowie.

Więcej: lekarze-bez-granic.pl

eprasa.pl c90e1c6c76

KRAJ

DALEKO LUDZKICH SPRAW

Awantura o wywiad Marty Nawrockiej pokazuje, że lubimy bić się o rzeczy mało istotne. I przemilczać ważne – jak pytanie o fundację prezydentowej.

ZUZANNA RADZIK

Zgaduję, że było tak.

Pałac: Chcieliście wywiadu, Nawrocka jest gotowa go udzielić.

Telewizja: Super, jakieś obligi?

Pałac: Prezydentowa odpala swoją fundację, więc o tym koniecznie.

Telewizja: No dobra, ale dla swoich widzów musimy spytać też o aborcję i *in vitro*.

Pałac: Wiadomo, ogarnie się.

Nie ogarnęli. Komentując na szybko ten wywiad, niczym między wódkę a zakąskę wchodzi publicystka „Wysokich Obcasów". Pisze z felietonowym ostrzem, że Nawrocka jest nieprzygotowana do odegrania roli pierwszej damy, że Pałac to w ogóle dla Nawrockich za wysokie progi, i że choć ona sama jako feministka rzadko doradza kobietom milczenie, to tym razem zrobi wyjątek. W podobnym tonie, choć bardziej obraźliwie, pisze Manuela Gretkowska. Wychodzi na to, że feministki (choć były to tylko dwa głosy) napadły na prezydentową.

Internet wybucha, zasilany farmami trolli. Dyskusja wokół Marty Nawrockiej jest głównie o tym, że brzydko mówi po polsku. Hejt dotyka Natalię Waloch z „Wysokich Obcasów". Ta próbuje coś tłumaczyć, ale prawdę mówiąc, tłumaczenie wiele nie pomaga – dogrzewa tylko internetowy ruch.

Nic nowego

Jedni łamią ręce nad PR-ową porażką prezydentowej, a specjaliści od kreowania wizerunku mają pretekst, by o sobie przypomnieć, zapewniając, że takie sprawy to drobnostka – przygotowuje się je w pół godziny. Inni tradycyjnie chłoszczą liberalne elity, że gardzą ludem z bloków. Lub przywalają feministkom, że kompromitują feminizm. Słowem: każdy znajduje sobie rolę, którą lubi. Przewidywalną. TVN24, bo to on jest emitującą wywiad stacją, bez płatnego dostępu pokazuje głównie klipy z pytaniami o *in vitro* i aborcję, co przesłania fakt, że większość wywiadu jest dość nużącą opowieścią o działaniach dopiero powstającej fundacji.

I tak mija tydzień. Czego się dowiedzieliśmy? Niczego nowego. „W internecie ludzie są gorsi niż w realu" – prowadząca wywiad Joanna Kryńska cytowała wypowiedź Nawrockiej, gdy chciała ją dopytać o hejt. I do tego można by sprowadzić wszystko, co się wydarzyło wokół komentarza Natalii Waloch. W internecie afery wybuchają do nieproporcjonalnych rozmiarów, angażując prawdziwe osoby i ich prawdziwe emocje, a także uderzając w prawdziwych ludzi, ale z coraz większym udziałem automatyzacji. Żadna to debata publiczna: rozmawiać z kontami generującymi wypowiedzi tylko po to,

eprasa.pl c90e1c6c76

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Marta Nawrocka. Pałac Prezydencki, Warszawa, 10 grudnia 2025 r.

by rozpalić emocje jeszcze bardziej. Nie wierzę bowiem, żeby kogoś ten wywiad, a nawet publicystyka „Gazety Wyborczej" aż tak bardzo ekscytowały.

Tylko co to mówi o nas, idących w ciemno na internetową bitkę o rzeczy mało istotne, najczęściej z automatami, a jeśli z żywymi ludźmi, to głównie obcymi? Podrzucę fundacji Pani Prezydentowej inny pomysł na działalność. Zamiast spraw, którymi zajmują się już o dawna inne organizacje, mogłaby w ramach wspierania bezpieczeństwa państwa zająć się właśnie tym aspektem braku odporności naszego społeczeństwa. Żyjąc w kraju sąsiadującym z walczącą z rosyjską napaścią Ukrainą, widząc intensywną i polaryzującą działalność Rosji w europejskich mediach tradycyjnych i społecznościowych, powinniśmy być dużo mniej krewcy w internetowych burzach.

To było tylko małe ćwiczenie z podpalania lontu. Ale, jak widać, skuteczne.

Tęsknota za emancypacją

Osobnym zjawiskiem jest kolejna odsłona budzącej się w każdej kadencji fantazji, że oto żona prezydenta „wyemancypuje się". Że powie coś, co sama myśli, a w czym różni się od męża. Nadziei, że jako kobieta okaże się bardziej liberalna w sprawach światopoglądowych, zwłaszcza dotyczących praw reprodukcyjnych.

Tylko tą nadzieją mogę tłumaczyć nic niewnoszące pytania o aborcję i *in vitro*. Czy mężowi hipotetycznej prezydentki też zadano by ten sam zestaw pytań? Czy żeby go dostać, trzeba mieć macicę i jajniki? O aborcji i swojej osobistej historii Marta Nawrocka mówiła wielokrotnie w kampanii prezydenckiej, więc nie było zaskoczeń. Zaś procedury *in vitro* są decyzją obecnego rządu refundowane, więc jej zdanie w tej sprawie niewiele wnosi.

Rozumiem jednak, że TVN, oddając czas antenowy na prezentację planowanych działań fundacji „Blisko ludzkich spraw", musiał zrobić jakiś ukłon wobec własnego widza. Stąd pewnie tematy światopoglądowe i pytanie o edukację zdrowotną. A także ta źle skrywana nadzieja, że jest coś, o czym Marta Nawrocka myśli inaczej niż mąż. Pary prezydenckie okazują się jednak uparcie dobrze dobrane, a nawet jeśli nie, to skutecznie tuszują pęknięcia i konflikty. ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

Prezydentowe nie mają zresztą powodu, by zwierzać się akurat mediom sympatyzującym z przeciwnym obozem politycznym. Danucie Wałęsie zajęło prawie 30 lat, by krytycznie ocenić swoje małżeństwo i podzielić się tym z dziennikarzami. Owszem, Maria Kaczyńska w 2007 r. podczas zorganizowanego w Pałacu Prezydenckim Dnia Kobiet podpisała apel, sformułowany przez jego uczestniczki, przeciwko zmianie konstytucji likwidującej przesłanki do legalnej aborcji. Nie namawiała jednak do obalenia tzw. kompromisu, tylko sprzeciwiła się radykalnemu zaostrzeniu przepisów, do którego dążył ówczesny marszałek Sejmu Marek Jurek.

Koleżanka z pracy

Oczywiście, niektórych – zwłaszcza politycznych dziennikarzy – ciekawi odpowiedź na pytanie, jak to się mogło zdarzyć, że wywiad, który na kilometr pachnie paktem o wzajemnej nieagresji Pałacu i telewizji, mógł tak bardzo się nie udać. Czy było jednak aż tak tragicznie, jak zdają się sugerować komentatorzy? Owszem, Nawrocka mówiła z błędami, ale to raczej trudno poprawić szybkim treningiem. Była też zdenerwowana, jak ktoś nieobyty z kamerą i mogący się jednak obawiać braku życzliwości ze strony liberalnej stacji. Choć trzeba przyznać, że dziennikarka była naprawdę łagodna i życzliwa. Pytania o *in vitro* i aborcję były przewidywalne. Czy to, jak odpowiadała na nie prezydentowa, naprawdę można nazwać niezręcznością?

A może, znając wyczucie PiS w kwestii własnego elektoratu i mediów, można przyjąć, że było tak, jak być miało? Że nikt nie sabotował przygotowania prezydentowej, ani że nie jest ona niewyuczalna, tylko po prostu założono, że fałszywy będzie zbyt wyszlifowany jej obraz? Przy pytaniach światopoglądowych zacina się i patrzy w bok, ale brzmi ludzko i autentycznie, mówiąc mniej więcej to, co wyborca PiS-u chciałby usłyszeć. Stąd rytualne i potwierdzone biografią bycie „za życiem", ale też łagodność i zrozumienie dramatów rodziców, którzy nie mogą mieć dzieci i potrzebują wsparcia medycyny. Jest swojska i bliska, może nie jak koleżanka wielkomiejskich dziennikarek, ale jak synowa, żona czy koleżanka z pracy większości Polaków. Która zwyczajnie nie zawsze ma wyrobione zdanie.

Nikt nie zatrzymał się przy fundacji, która była główną treścią wywiadu.

Jak pierwsza dama znajdzie środki na czynienie dobra?

W tym sensie nie była to żadna PR-owa katastrofa. Raczej zbudowano atut z tego, że po pół roku w Pałacu Prezydenckim Marta Nawrocka jest niezepsuta politycznymi salonami, ciut onieśmielona reprezentacyjną funkcją, a jednocześnie pragnąca czynić dobro poprzez pracę fundacji. Czy wysyłając do TVN żonę prezydenta z jej poglądami na prawa reprodukcyjne i nieoszlifowaniem, PR-owcy z Pałacu liczyli na złośliwe reakcje z liberalnej strony? Tego się nie dowiemy, ale jeśli tak, to publicystki spełniły swą rolę.

Pytania o fundację

Czego za to nie dowiedzieliśmy się w tym tygodniu wcale? Nikt nie zatrzymał się nad tematem fundacji, który był główną treścią wywiadu. Zresztą sama pierwsza dama nie opowiadała o planowanych działaniach zbyt konkretnie. Obszary działalności to kilka niebudzących kontrowersji spraw, z którymi zapoznała się w czasie kampanii. Pomoc wytchnieniowa dla matek dzieci z niepełnosprawnościami, wsparcie dorosłych osób z niepełnosprawnościami (bez konkretów), wyrównywanie szans (poprzez konkurs, w którym można wygrać lekcję z ekspertem). Tyle można się było dowiedzieć z wywiadu.

Nie było analizy problemów, nie było wartkiego przedstawienia, jak i w jakiej skali działania fundacji będą im zapobiegać. Jeśli więc miała to być medialna inauguracja projektu, nie wyszła przekonująco. I nie było pytań o najważniejsze: skąd fundacja pierwszej damy weźmie środki na czynienie dobra?

Każdy działający w trzecim sektorze wie, że jest to pytanie kluczowe. Fundacje nie istnieją z samej woli założycieli i nie trwają tylko dzięki pragnieniu czynienia dobra. Potrzebują kasy. Czy fundacja Marty Nawrockiej będzie się starała o środki w konkursach ministerialnych albo funduszach norweskich? Poprosi nas w kampanii o 1,5 proc. odpisu? A może pójdzie do niezbyt teraz życzliwych spółek Skarbu Państwa? Zapuka do działów marketingu dużych firm czy do ich korporacyjnych fundacji? Ogłosi publiczną zbiórkę, o której prezydentowa będzie przypominała przy każdej okazji? Przyjmie pieniądze od prywatnych darczyńców? Kim oni będą i czy opinia publiczna pozna ich nazwiska?

Gdyby choć jedno z tych pytań padło z ust Kryńskiej w czasie tego grzecznego wywiadu! Nawet gdyby miało się spotkać z niezrozumieniem, jak dopytywanie o polaryzację społeczeństwa, czy z prośbą o inny zestaw pytań, jak dociekanie dziennikarki, co Nawrocka myśli o wsparciu przez państwo leczenia niepłodności.

Otwierając fundację, pierwsza dama otwiera drzwi Pałacu Prezydenckiego dla potencjalnej korupcji. Dlatego dziennikarka TVN powinna pytać właśnie o tę organizację i być bardziej dociekliwą. Zwłaszcza że podobne niejasności co do źródeł funduszy towarzyszyły fundacji Jolanty Kwaśniewskiej. Śmialiście się z Trumpa zbierającego pieniądze na salę balową w Białym Domu? Tu cele są bardziej szczytne, ale przyjmowanie przez pierwszą damę darowizn podobnie ryzykowne. Kolejka lobbystów już z pewnością się ustawia.

Przerwana kariera

Warto też zadać pytanie: kim ma być tak naprawdę pierwsza dama? Trudno zazdrościć czterdziestoletniej matce dwójki

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 703/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Witeckim, zmarłym w dniu 22 lutego 2017 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

eprasa.pl c90e1c6c76

szkolnych dzieci, że musi zawiesić karierę, a w przypadku Marty Nawrockiej przejść na emeryturę i wymyślić siebie od nowa. To miejsce jest pomyślane nieco tradycyjnie: właśnie dla żony przy mężu. Choć pewnie zainteresowana życiem publicznym kobieta umiałaby znaleźć w nim przestrzeń dla siebie. Gdy brak takiego zainteresowania, fundacja i „robienie dobra" zdają się bezpieczniejsze i ciekawsze.

Co ważne, niby polskie prawo nie zakazuje działalności zawodowej żonom prezydentów, ale od 30 lat zwyczajowo zawieszają one pracę, by skupić się na pełnieniu funkcji reprezentacyjnej, wspierającej urząd męża i ewentualnie charytatywnej. Inaczej niż głowa państwa, prezydentowe nie dostają pensji, a co gorsza, do 2021 r. państwo nie odprowadzało za nie składek ZUS. Dzięki zmianie ustawy od niedawna mogą liczyć, że Kancelaria Prezydenta będzie płaciła ich ubezpieczenie emerytalne i rentowe.

Zadania pierwszej damy nie mają wyodrębnionego budżetu, ale może ona liczyć na stroje, pokrycie kosztów wyjazdów i obsługę sekretariatu. Co gorsza, z badania

Czy mężowi hipotetycznej prezydentki też zadano by ten sam zestaw pytań?

Czy żeby go dostać, trzeba mieć macicę i jajniki?

Instytutu Badań Pollster przeprowadzonego dla „Super Expressu" w maju 2025 r. wynika, że aż 49 proc. Polaków nie popiera pomysłu wypłacania pensji pierwszej damie (tylko 37 proc. jest za).

Może przedmiotem krytyki feministek powinny być nie same prezydentowe, ale ta dziwna, upośledzająca finansowo małżonki prezydentów (jak dotąd same kobiety) forma sprawowania honorowej roli? Czemu w zasadzie kobiety w wieku, gdy jest się czynną zawodowo, mają rezygnować z własnych pieniędzy, by honorowo rozdawać patronaty i uświetniać spotkania? Czy jako państwo nie stosujemy wobec nich przemocy ekonomicznej?

O wiele bardziej nowoczesne i przejrzyste byłoby, gdyby sekretariat pierwszej damy miał budżet na jej działalność. Oraz by w kosztach Pałacu Prezydenckiego znalazła się normalna pensja, a nie tylko składki społeczne podnoszące przyszłą emeryturę o 500 zł. Jest wiek XXI, kobieta ma prawo nie prosić męża-prezydenta o pieniądze na swoje potrzeby. Stać nas na to. Z ulgą myślę o tym, że Marta Nawrocka ma przynajmniej swoją mundurową emeryturę.

Temat pierwszej damy i jej zadań nie wydał się żadnej ekipie politycznej tak ważny, by był wart dyskusji i reformy. Dlatego teraz, zamiast oceniać publiczną działalność Marty Nawrockiej w ramach przeznaczonych na to publicznych środków, będzie trzeba obserwować potencjalnie korupcjogenny dobroczynny byt, który wyrósł przy Pałacu Prezydenckim. Jeśli ktoś go zauważy, bo na razie umknął uwadze ludzi zajętych dyskusją o dykcji i poglądach prezydentowej.

© ZUZANNA RADZIK

O tym także felieton T. Stawiszyńskiego na s. 98

eprasa.pl c90e1c6c76

MONIKA DWULATEK / WCEO

Testy bezzałogowych systemów na poligonie Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia. Zielonka, 19 lutego 2026 r.

Na rozstajnych drogach

JACEK STAWISKI

OBRONNOŚĆ | Idealną formułą dla Polski i Niemiec byłaby ścisła współpraca wojskowa na wzór Wielkiej Brytanii i Francji. Oba te państwa przez wieki toczyły ze sobą wojny, a dziś patrzą bardzo podobnie na wiele zjawisk.

Wokół nas dokonują się dynamiczne procesy. Pojawiają się nowe wyzwania i nieznane do niedawna zagrożenia. To zarazem okazja, aby wskazać pojawiające się szanse i możliwości działania na arenie europejskiej czy globalnej. Są one, co prawda, domeną polityków, dyplomatów i wojskowych, ale rolą poważnych mediów jest angażowanie dyskusji na tematy poszerzające nasze horyzonty myślenia. Dlatego postanowiliśmy udostępnić łamy „Tygodnika" ekspertom, którzy podzielili się własnymi obserwacjami na temat polskiej strategii bezpieczeństwa, polityki zagranicznej i możliwych sojuszy.

Dziś nadszedł czas na podsumowanie debaty.

Zdeterminowani przez Rosję

Zasadnicza część uwagi poświęcona została zagrożeniu ze strony Rosji, która przed czterema laty napadła na Ukrainę, naszego strategicznego sąsiada i ważnego sojusznika. Oczywiście w tym, że polską strategię bezpieczeństwa definiujemy przez pryzmat polityki Kremla, nie ma nic dziwnego. Putinowska Rosja stanowi największe zagrożenie dla polskiego państwa: dla jego niepodległości i terytorialnej całości. Nadal żyjemy przecież w traumie podporządkowania po II wojnie światowej Związkowi Sowieckiemu, mimo że od 36 lat jesteśmy już wolni i suwerenni. Widząc, jak Rosja potrafi rozpętać wielką wojnę na kontynencie europejskim, obawiamy się o jutro i szukamy formuły ubezpieczenia naszego państwa na najbliższą i dalszą przyszłość.

Dotychczas centralnym założeniem naszej polityki było wpisanie współczesnej Polski w ramy wielostronnego sojuszu NATO z dominującą rolą Stanów Zjednoczonych oraz uzupełnienie tego kroku wstąpieniem do Unii Europejskiej, co dało naszemu krajowi kolosalne moce rozwojowe, trudne do wyobrażenia w momencie wychodzenia z PRL-u.

Polska wstąpiła do obu tych instytucji na przełomie XX i XXI w., jednak ostatnie lata i miesiące pokazały, że te punkty orientacyjne naszej polityki zagranicznej nie są już tak pewne i trwałe. Przymierze Atlantyckie przeżywa turbulencje w związku z nową falą napięć między Ameryką a Europą. W historii NATO takie napięcia się zdarzały i były zawsze niwelowane, jednak dziś panuje obawa, że różnice zdań między Waszyngtonem a jego europejskimi aliantami nie zostaną zasypane, ale wręcz przyczynią się do rozsadzenia całego Sojuszu.

Unia Europejska również przeżywa kryzys za kryzysem, mierząc się z masową imigracją i konsekwencjami społecznymi oraz politycznymi tego zjawiska, a także próbując znaleźć drogę w obliczu napięć handlowych i ideologicznych z USA. Kiedy dołożymy do tego kolejne znaki zapytania, w tym niepewność

eprasa.pl c90e1c6c76

odnośnie do losów wojny w Ukrainie, przyszłość europejskiego modelu gospodarczego, wyzwania związane z rozwojem nowych technologii czy też polaryzację społeczeństw – widać będzie jak na dłoni, jak trudne czasy są przed Europą.

Patrząc na północ

W artykułach zaproszonych przez „Tygodnik" ekspertów było kilka punktów wspólnych. Sławomir Dębski, Piotr Oleksy i Damian Szacawa, Olaf Osica oraz Zbigniew Parafianowicz opisywali możliwości, jakie stwarza Polsce rozbudowa więzi sojuszniczych z państwami nordyckimi i bałtyckimi. Dziś wszystkie te kraje należą do Przymierza Atlantyckiego i właściwie identycznie patrzą na zagrożenia dla siebie i swoich sąsiadów. Wejście do NATO Szwecji i Finlandii domknęło łańcuch sojuszniczy na Bałtyku, pozostawiając Rosji jedynie przyczółek w Królewcu i przy krańcu Zatoki Fińskiej.

Wspólne spojrzenie na Rosję i brak złudzeń co do jej zapędów sprawiają, że Polska naturalnie przechyliła się w stronę Bałtyku i Skandynawii. Zarazem odsunęła się od Europy Środkowej i zamroziła współpracę w ramach Grupy Wyszehradzkiej, marginalizując koncepcję Trójmorza, który to obszar był polem eksperymentów w polityce zagranicznej PiS w latach 2015-2023.

Bałtycko-skandynawski zwrot w naszej polityce może nawet prowadzić do podjęcia przez Polskę i sąsiednie kraje wysiłków na rzecz uzyskania broni nuklearnej jako środka odstraszania Rosji. Dziś taka dyskusja nie jest już tematem tabu, ale – jak ostrzega Sławomir Dębski – podjęcie zdecydowanych działań może sprowokować Rosję do prewencyjnego ataku na Polskę i sąsiadów, zanim zdobędziemy taką broń. Sama decyzja polityczna o budowie arsenału nuklearnego przez państwa Europy (nie mówimy tu o uzbrojonych od dekad w broń atomową Francji i Wielkiej Brytanii) byłaby kopernikańską rewolucją. Europa ma zasoby finansowe, technologiczne i ludzkie, aby podjąć program zbrojeń jądrowych, ale niewiadomą jest nie tylko reakcja Moskwy, lecz także USA.

Zagadką jest też dynamika polityki europejskiej na wypadek, gdyby broń nuklearną posiadać miały Niemcy. Wyczuwając te wątpliwości, kanclerz Friedrich Merz odżegnywał się ostatnio na monachijskiej konferencji bezpieczeństwa od pomysłów uzbrojenia w taką broń – przypomnijmy, że zakazuje tego fundamentalny dla kształtu współczesnej RFN i Europy traktat 2+4 o zjednoczeniu Niemiec z 1990 r., który w zastępstwie niezwołanej konferencji pokojowej zakończył II wojnę światową i powojenną kontrolę wielkich mocarstw nad terytorium niemieckim.

Należy odnotować, że tegoroczna monachijska konferencja przyniosła w kwestii nuklearnej w ramach NATO jedną zasadniczą odpowiedź: USA zadeklarowały, że są zainteresowane scedowaniem na Europejczyków odpowiedzialności za bezpieczeństwo konwencjonalne Europy, przy zachowaniu parasola nuklearnego Ameryki. To ważne oświadczenie, które powtarza deklarację szefa Pentagonu Pete'a Hegsetha jeszcze z początku 2025 r. Pozwala Europie na przemyślenie roli parasola nuklearnego, jaki całej europejskiej części NATO i UE może dać Francja (jeśli naprawdę będzie gotowa), przy wsparciu Wielkiej Brytanii (jeśli uzgodni to z Waszyngtonem).

Polska wobec Niemiec

Odwaga w definiowaniu celów, gotowość do walki z Rosją na jej terytorium i do udzielenia pomocy wojskowej sojusznikom (zamiast chowania się za Tarczą Wschód czy przygotowywania się na wojnę partyzancką, jeśli Rosja zaczęłaby nas okupować) – to tezy z tekstu Sławomira Dębskiego. Olaf Osica z kolei stwierdza, że Polska powinna być bardziej niezależna, co nie oznacza wrogości wobec głównych sojuszników: Stanów Zjednoczonych i Niemiec. Tu przeszkodą w prowadzeniu polityki zagranicznej może być zarówno bezkrytyczna proamerykańskość, jak momentami wręcz patologiczna germanofobia prawicy, a także głęboka polaryzacja społeczeństwa i świata polityki, co sprawia, że nie posiadamy wspólnej diagnozy obecnej sytuacji międzynarodowej. Piotr Kłodkowski prezentował na naszych łamach ciekawą panoramę azjatyckiej mozaiki dyplomatycznej i tym samym zachęcał, aby Europa, w tym Polska, kreatywnie podchodziła do kwestii sojuszy z państwami tej części świata. Może to wydatnie wzmocnić bezpieczeństwo NATO i UE, które zagrożone są dziś przez oś Pekin–Moskwa.

Idąc za myślą Olafa Osicy, chcę jeszcze podkreślić wagę relacji Polski z Niemcami. Wsparcie Berlina dla polskiego członkostwa w NATO w latach 90. (wyrażane nawet wcześniej od amerykańskiego) było podyktowane niemiecką potrzebą budowy strefy stabilności wokół nowego, zjednoczonego państwa, którego stolica znalazła się ledwie 70 km od naszej granicy. Niestety, później Niemcy zbyt dużo zainwestowały w rozbudowę więzów gospodarczych i politycznych z Rosją, z pominięciem Europy Środkowej. Te relacje zacieśniły się tak mocno, że koncepcje z lat 90. poszły w zapomnienie.

Dzisiaj Niemcy powinny ponownie przyznać, że bezpieczeństwo Polski jest tożsame z ich bezpieczeństwem. To bezpieczeństwo rozumiane musi być w sensie czysto militarnym, ale i energetycznym, hybrydowym czy cywilnym, np. w kontekście nielegalnej imigracji.

Są dwie drogi wyjścia z impasu w relacjach niemiecko-polskich: z jednej strony Polska potrzebuje pewności, że Niemcy nie wrócą na drogę ścisłej współpracy z Rosją po zakończeniu wojny, a z drugiej, po polskiej stronie, a konkretnie po stronie środowisk prawicowych, czas zakończyć kampanię wrogości wobec Niemiec. Ta wieloletnia, rozkręcona do granic zdrowego rozsądku propaganda w żadnym stopniu nie podnosi statusu Polski, przeciwnie: odbiera nam powagę. W tej strategii PiS, ani kiedy rządził Polską w latach 2015-2023, ani teraz w opozycji, nie znalazł żadnego zagranicznego sojusznika, nawet na Węgrzech. W okresie rządów partii Kaczyńskiego wiele krajów europejskich obawiało się wręcz rozbudowy kontaktów z Warszawą, jeśli miałoby to zaszkodzić ich relacjom z Berlinem.

Jak Londyn z Paryżem?

Zarówno Polska, jak i Niemcy budują silne armie, a rząd niemiecki ma wręcz ambicje, by RFN stała się pierwszą potęgą militarną w Europie. Naturalnie budzi to obawy wśród sąsiadów, także we Francji i w Polsce. Warto jednak przypomnieć, że Polska obawiała się jeszcze do niedawna zbyt słabych Niemiec, niezdolnych do udzielenia pomocy wschodniej flance NATO w razie agresji rosyjskiej. Te sprzeczności trzeba rozładować jak najszybciej. W mojej opinii, dla Polski i Niemiec idealną formułą byłaby ścisła współpraca wojskowa na wzór Wielkiej Brytanii i Francji, państw, które przez wieki ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ toczyły krwawe wojny, a dzisiaj patrzą bardzo podobnie na wiele zjawisk.

Londyn i Paryż, w uzupełnieniu do wymiaru natowskiego, od lat zacieśniają relacje w sferze militarnej, obejmującej arsenały jądrowe obu państw. Anglo-francuska strategiczna kooperacja opiera się na prostej zasadzie: właściwie wszystkie zagrożenia dla jednego państwa są oceniane jako zagrożenie dla drugiego. Ten wzór powinien zainspirować polskie i niemieckie rządy do budowy podobnej formuły współpracy. Może to otwierać drogę wręcz do stacjonowania wojsk Bundeswehry w Polsce, także po to, by Niemcy bronili polskiego bezpieczeństwa na równi ze swoim.

Przedpolem bezpieczeństwa stolicy Niemiec powinien być Przesmyk Suwalski, a nie granica polsko-niemiecka. Wspólne inwestycje w obronność mogłyby też zrekompensować Polsce poczucie niesprawiedliwości, związanej z II wojną światową i hitlerowską okupacją. We wspólnocie polsko-niemieckiej czas na odważne wizje, a nie propagandę, hejt lub uniki. Uzupełnienie wymiaru bałtycko-nordyckiego w polskiej wizji bezpieczeństwa o ścisły sojusz Polski i Niemiec byłoby istotnym komponentem podnoszącym naszą rangę w NATO i w Europie.

Europa skonsolidowana

Kolejną fundamentalną kwestią dla Polski pozostaje ewolucja UE. Przekonanie części środowisk politycznych w Polsce, że Unia zmierza w stronę federacji pod batutą Berlina i Paryża, nie odpowiada rzeczywistości. Nikt na serio nie ma już ochoty na federację europejską. Autentycznym wyzwaniem dla Unii, w tym Polski, jest jednak niedopuszczenie do jej fragmentaryzacji i przemiany w luźny, handlowy obszar średnich i małych krajów. Taki kształt UE nie powiększy potencjału poszczególnych państw narodowych, jak Polska. W naszym interesie jest podtrzymanie obecnej formuły Unii Europejskiej, przy jednoczesnym wspieraniu konsolidacji europejskiej. Zwłaszcza tam, gdzie leży nasz żywotny interes, czyli w sferze bezpieczeństwa, współpracy obronnej, produkcji przemysłowej na rzecz wojska etc.

Europa bardziej skonsolidowana militarnie jest dobrą rzeczą dla Polski. W sensie czysto doraźnym ma ona większe możliwości działania w ramach pomocy dla broniącej się przed Rosją Ukrainy, a przecież utrzymanie silnego, dużego i sprawnego państwa ukraińskiego jest kolejnym żywotnym interesem Polski.

Fragmentaryzacja UE jest niestety realną perspektywą, nie tylko ze względu na możliwe napięcia między krajami członkowskimi a Brukselą, między państwami Unii, czy też ze względu na konflikty społeczne i polityczne w samych państwach europejskich. Wyzwaniem dla Polski będzie również sytuacja, w której administracja amerykańska otwarcie zacznie wspierać procesy dezintegracyjne w UE. Taka polityka doprowadzić może do rozpadu nie tylko samej Unii, ale także NATO – dlatego każdy polski rząd i prezydent powinni tłumaczyć Amerykanom, czym może grozić otwarta wrogość Waszyngtonu do Brukseli. Przedsmak możliwego kryzysu „atlantyckiego" przyniosła sprawa Grenlandii.

Niezwykle trudnym wyzwaniem dla Polski jest oczywiście Rosja. Musimy nie tylko przygotować się na ewentualną agresję ze strony Kremla, ale mieć także pomysł, albo wiele pomysłów, na czas niewojenny. Co będzie, jeśli Waszyngton odbuduje relacje z Moskwą? A co, jeśli wznowi je część państw europejskich, Niemcy zaś zaczną mówić o odtworzeniu Nord Stream? Czy i jak my sami będziemy odmrażać relacje z państwem rosyjskim? Jakie postawimy sobie czerwone linie, ale i cele w przyszłych dwustronnych relacjach?

Wobec Wyszehradu

Konsekwencją bałtycko-nordyckiego zwrotu w polskiej polityce jest odwrócenie się od Europy Środkowej. Zrozumiała jest irytacja Polski, Ukrainy czy krajów bałtyckich, związana z prokremlowskimi wypowiedziami premiera Węgier Viktora Orbána, a także premiera Słowacji Roberta Ficy. Tyle że sprowadzenie relacji z Europą Środkową do wymiaru wyłącznie „prorosyjskiego" lub „antyrosyjskiego" nie powinno długodystansowo odcinać Polski od środkowoeuropejskiego obszaru. Od Austrii po Rumunię, przez Grupę Wyszehradzką, nawet sięgając do Słowenii, Chorwacji czy Włoch, Polska powinna być wszędzie tam obecna. Nie w kontrze do UE czy Niemiec, jak próbowano kształtować projekt Trójmorza w czasach PiS, ale po prostu dla konsolidacji europejskiej.

W stosunkach z Europą Środkową powinna obowiązywać zasada: dłużej klasztora niż przeora. Nawiasem mówiąc, banalizacja dyskusji o polskiej polityce zagranicznej przejawia się m.in. w takich wypowiedziach polityków, w których podnoszone jest oczekiwanie, że inne państwa będą w stu procentach identyfikować się z dążeniami i interesami Polski. Podobna retoryka zawęża pole działania kraju na międzynarodowej scenie, a dodatkowo dewastuje dyskusję publiczną o istotnych sprawach. To, że sąsiedzi Polski – jak Słowacja czy Czechy – patrzą na pewne kwestie inaczej, nie jest żadną katastrofą. To normalność.

Nasze losy decydują się na jeszcze jednym polu: nowych technologii. One również zmieniają sposób patrzenia na polskie bezpieczeństwo, ale jak przebiega i może przebiec taka zmiana, to już temat na inną dyskusję. Inwestycje w obronność nie mogą jednak pomijać tej sfery. Inaczej nikt z nami nie będzie się liczył.

ⓟⓟ JACEK STAWISKI

NATO JEST W GŁĘBOKIM KRYZYSIE. USA, najważniejszy gwarant porządku zrodzonego po II wojnie światowej, traktują półkulę zachodnią jako swoją strefę wpływów: nie chcą dalej zapewniać bezpieczeństwa Europie ani wspierać Ukrainy w jej walce z Rosją.

JAK POWINNA ZACHOWAĆ SIĘ POLSKA? Wciąż stawiać na Stany Zjednoczone, wierząc, że w momencie próby wypełnią swe zobowiązania? Skupić się na zacieśnieniu współpracy z europejskimi członkami NATO? Grać na czas, budując alternatywną koalicję państw, które – jak my – czują się zagrożone przez Rosję Putina?

TEKSTEM REDAKTORA NACZELNEGO kończymy debatę o polskiej strategii bezpieczeństwa, rozpoczętą artykułem Zbigniewa Parafianowicza i kontynuowaną przez Piotra Oleksego i Damiana Szacawę, Sławomira Dębskiego oraz Piotra Kłodkowskiego.

Wszystkie materiały dostępne są w serwisie **TygodnikPowszechny.pl/debata-bezpieczenstwo**

eprasa.pl c90e1c6c76

DANIELE BUFFA / IMAGO SPORT / FORUM

Piotr Zieliński po zdobyciu gola w meczu Serie A, Inter Mediolan – Juventus Turyn, 14 lutego 2026 r.

Zielu kwitnie

ZBIGNIEW ROKITA

SPORT | Jest rzadkim przypadkiem piłkarza wybitnie uzdolnionego i obunożnego. Czy 32-letni Piotr Zieliński, który we włoskiej Serie A wyrasta na jedną z głównych gwiazd, zdąży dołączyć do futbolowego panteonu?

Spotkania Interu Mediolan i Juventusu Turyn noszą miano derbów Italii. W tegorocznym lutowym pojedynku jeszcze w 90. minucie wydawało się, że mecz zakończy się podziałem punktów, gdy nagle on po raz kolejny objawił swój geniusz: Piotr Zieliński strzelił wyjątkowej urody bramkę, a Inter odniósł zwycięstwo 3:2 i zmierza po tytuł mistrzowski w Serie A.

– W każdym jego ruchu widać, że może wszystko – mówi mi Rafał Stec, dziennikarz sportowy i znawca włoskiej piłki. – To największy polski talent za mojego życia, większy niż Robert Lewandowski.

– Nie przesadzasz?

– Nie.

Rodzinne pogotowie

Gdy Zieliński ma kilka lat, jego rodzice, Beata i Bogusław, otwierają w swoim domu pogotowie rodzinne. Przez lata przewinie się przez nie kilkadziesiąt dzieci odebranych rodzicom. Każde zostanie od kilku do kilkunastu miesięcy, aż uda się znaleźć dlań nowy dom. Zielińscy mają trójkę synów, którzy również pomagają: Tomek, Paweł i najmłodszy, Piotrek. Przyjmowane pod wspólny dach dzieci są często w jego wieku. Wychowuje się więc w „domu dziecka" i początkowo nie radzi sobie z nietypową sytuacją, a w dzielonym pokoju nakleja na meble karteczki: „moja szafa", „moje biurko" itd. Jest nieśmiały i zazdrosny, ale z czasem się odnajduje. Z przybranym braciszkiem, który miał przykurcz mięśni nóg, gra w piłkę w ogrodzie: Piotrek lekko kopie, „brat" odbija piłkę rękami. Tamte lata odcisną na nim duże piętno.

W jego życiu piłka jest od zawsze: bracia zostaną piłkarzami, ojciec to trener i wuefista, a matka chodzi na mecze Piotrka, by później dawać mu wskazówki. Po latach Zieliński wspomni: „Byłem też na spotkaniu Wisły Kraków z Lechem Poznań w Superpucharze Polski w 2009 r., który Lech wygrał w karnych. Stałem za bramką, na którą strzelali piłkarze. Podawałem piłki Robertowi Lewandowskiemu".

O tym okresie jego życia wiemy co nieco z mediów społecznościowych: Zieliński to pierwsze pokolenie, po którego dzieciństwie został ślad cyfrowy. Jako siedemnastolatek pisze: „6 jedynek na 10 dni przed wystawieniem ocen ;/ .. ciezar".

Rodzinne Ząbkowice Śląskie (przedwojenna niemiecka nazwa: Frankenstein) opuszcza szybko. W wieku 17 lat wyjeżdża do Włoch – sam, bez znajomości języka. Trafia do dobrego włoskiego klubu, Udinese. Italii już nie opuści: gra tam do dziś, otrzymał obywatelstwo. Niektórzy cieszą się, że nie zdążył zadebiutować w ekstraklasie – podobnie jak Grzegorz Krychowiak czy Wojciech Szczęsny ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ wyjechał na tyle wcześnie, aby boiskowo dojrzeć w innej kulturze piłkarskiej.

Łzy w szatni

Euro 2016 to najpiękniejszy turniej polskiej reprezentacji od Mundialu w 1982 r. To też czas, gdy po latach rozczarowań kibice zaczynają pozytywnie patrzeć na kadrę i PZPN, które mają wtedy oblicza Adama Nawałki i Zbigniewa Bońka. Nietrudno wyobrazić sobie, aby Polska, która odpada wówczas w karnych z Portugalią, została mistrzynią Europy. Tytuł był niemal na wyciągnięcie ręki.

Dla Zielińskiego ten turniej nie jest jednak udany. 22-letni zawodnik wystąpił w jednym meczu, z Ukrainą. Został ściągnięty po pierwszej połowie, zastąpił go Jakub Błaszczykowski, który strzelił zwycięską bramkę, a Zieliński przyznał potem, że gdy został sam w szatni, rzewnie się rozpłakał.

Później stanie się jednak filarem kadry, w której do dziś rozegrał 105 spotkań. To trzeci najlepszy wynik w historii reprezentacji: więcej razy wystąpili jedynie Lewandowski i Błaszczykowski, którego Zieliński niebawem zapewne prześcignie.

– Zawsze dawał nadzieję, że będzie wielkim piłkarzem, który przejmie pałeczkę po „Lewym". Dziś nie zadajemy już sobie pytania, co będzie z polską piłką po Lewandowskim, ale co ją czeka po Lewandowskim i Zielińskim – mówi mi Piotr Żelazny z TVP Sport. – Jednocześnie „Zielek" nie jest typem lidera. Gdy selekcjoner Michał Probierz pokłócił się z Lewandowskim i na moment mianował Zielińskiego kapitanem, ten dukał zdenerwowany, nie był w stanie wziąć drużyny na swoje barki.

Gdy po odejściu Adama Nawałki, a potem Paulo Sousy styl reprezentacji się zmieni, ze swoją techniczną wirtuozerią Zieliński nie będzie pasował do topornej taktyki, polegającej na przepychaniu meczów, którą Polska zaprezentuje na mundialu w Katarze.

W mieście Maradony

Po Euro 2016 ściąga go do siebie Napoli, klub, w którym największe sukcesy święcił Diego Maradona. Tutaj jego talent objawi się w pełni. W Neapolu zostanie osiem lat, choć w tym czasie starać się będą o niego największe kluby, a Jürgen Klopp, żeby przekonać go do przejścia do Liverpoolu, wyśle po niego prywatny odrzutowiec i ugości w swojej rezydencji.

> Choć jednym podaniem potrafi przeprojektować atak, nie jest bożyszczem tłumów. Gdy wielu zawodników przenosi się do arabskich klubów, **on odrzuca bajońskie kontrakty.**

Ekspert opisałby „Ziela" tak: nieskazitelna technika, świetny refleks, subtelność, nigdy nie traci piłki, perfekcyjnie obunożny, a jednym kopnięciem potrafi przeprojektować atak. Nie jest jednak bożyszczem tłumów. – Bo trzeba dobrze znać się na futbolu, żeby go w pełni docenić – mówi Rafał Stec. – Dyryguje akcjami i jest niezbędny, ale jego udział kończy się często o jedno podanie przed asystą, czyli decydującym podaniem do strzelca bramki. Dlatego przeciętny kibic może go nie zauważyć.

Miłośnik futbolu może również nie dostrzec tego, iż Zieliński zakłada fundację Piotruś Pan i już jako gwiazda Napoli kupuje w swoich ojczystych stronach dwa domy, które przekształci w rodzinne domy dziecka. Nie chwali się tym jednak, jego media społecznościowe są stonowane. Taką też ma naturę: introwertyczny, wycofany. Nie ma wokół niego kontrowersji, nie eksponuje zdjęć z żoną i dzieckiem. Ceni prywatność, ma silną więź z rodzicami. Być może również dlatego w czasie, gdy tak wielu zawodników przenosi się z Europy na Półwysep Arabski, odmawia przyjęcia bajońskich sum i zostaje we Włoszech.

– I właśnie z powodu swojego charakteru nigdy do końca nie pasował do Neapolu: miasta namiętnego, dzikiego, szalonego – mówi mi Stec. – Pamiętam fetę po mistrzostwie: miejscowi, dopóki nie dowiedzieli się, że jestem z Polski, wspominali o wielu zawodnikach, ale rzadko o Zielińskim.

Najlepsze wciąż przed nim?

Wiosną 2023 r. odnosi swój największy sukces. Jako jeden z liderów Napoli prowadzi zespół do pierwszego od czasów Maradony mistrzostwa Włoch. Dziś jest największą po Zbigniewie Bońku (a może już obok?) polską legendą w *calcio*. Wśród zagranicznych zawodników, którzy rozegrali największą liczbę spotkań w Serie A, zajmuje piąte miejsce. Zapewne je poprawi: piłkarze z wyższą liczbą meczów są już na emeryturze, a on ma dopiero 32 lata. Na jego pozycji, nazwijmy ją środkowym pomocnikiem, można grać długo. Wystarczy popatrzeć na 41-letniego dziś zawodnika Milanu, wielkiego Lukę Modricia.

Po zdobytym w Neapolu mistrzostwie przenosi się do Interu – ubiegłorocznego finalisty Ligi Mistrzów i klubu dziś klasyfikowanego na 3. miejscu w rankingu UEFA. Giganta, zespołu z niepomiernie większymi tradycjami i pieniędzmi niż Napoli. Inter to też jedna z trzech najbardziej utytułowanych drużyn we Włoszech: obok Juventusu i Milanu, z którym dzieli stadion, niedawną arenę olimpijską.

Minie jednak rok, zanim Zieliński zdoła przebić się do pierwszego składu Interu. Jest bowiem jeszcze jeden powód, dlaczego wielu nie docenia jego talentu.

– Potrafi rozegrać wybitne spotkania, a potem zupełnie zniknąć. Gra tak dobrze jak jego zespół, a gdy ten zawodzi, on również wtapia się w tło. Jest zależny od wszystkiego, co dzieje się wokół – mówi Piotr Żelazny. – Wchodzi też w bliską relację z trenerami, synowsko-ojcowską. Największe kluby nie są jednak miejscami, gdzie szuka się opieki: to okrutny świat, w którym bez wybujałego ego i mocnego charakteru trudno przetrwać.

Rafał Stec komplikuje jednak ten obraz: – Po raz pierwszy w karierze Zieliński ma tak wysoką dyspozycję przez tak długi czas. Już nie tylko znawcy to dostrzegają. Może więc najlepsze wciąż przed nim?

■■■

Historia Piotra Zielińskiego jest inna niż wielu innych piłkarskich wirtuozów: to opowieść o unikaniu rozgłosu, o człowieku kruchym i szlachetnym, światowej klasy boiskowym wizjonerze, który jednego dnia odmawia Jürgenowi Kloppowi, a następnego wpada na rodzinny Dolny Śląsk, by pograć z podopiecznymi fundacji Piotruś Pan na konsoli. Najchętniej – w „Fifę". © ZBIGNIEW ROKITA

eprasa.pl c90e1c6c76

OLGA

Drenda:
Zimny budyń

Nigdy nie przekonywała mnie obiegowa opinia, że ludzie biorą swoje wyobrażenia o miłości z komedii romantycznych i melodramatów. To przykry brak zaufania do rozumu widza, który na ogół doskonale wie, że ogląda fikcyjną historię. Romanse służą czemuś innemu – przeżyciu przygody, która jest ekscytująca, ale niemożliwa, a czasem może nawet lepiej, że zdarza się komuś innemu. Tarzanie się w trawie lub na plaży podczas ulewy wygląda efektownie na ekranie, lecz dobrze wiemy, że w rzeczywistości jest wtedy głównie zimno i mokro.

To nie znaczy oczywiście, że napotkany w dobrą godzinę film, komiks, powieść nie zilustruje nam trafnie naszej własnej potrzeby, wyobrażenia, które w nas siedziało i domagało się zwięzłego przykładu. W moim przypadku filmową parą, która trafiła w to niewypowiedziane marzenie, byli bohaterowie serialu anime „Kronika wojny na Lodoss", który oglądałam jako nastolatka. Szybko okazało się, że nie mam głowy do rozbudowanych światów fantasy i wszystko zaczyna mi się w nich kiełbasić, ale relację Parna i Deedlit zapamiętałam jako źródło dyskretnych wzruszeń. Nie ma między nimi zamaszystych gestów, ale solidna, cicha więź na mur beton, taka miłość, która wyrasta z przyjaźni. Stabilność i spokój w obecności życiowego kompana, z którym się dobrze rozumiem – to dla mnie najbardziej ekscytujące. Jednocześnie wiem, że marny to materiał na porywającą fabułę. Dla uśrednionego widza opowieść romantyczna to antyteza zwyczajnego życia, coś niecodziennego, dramatycznego, na wysokiej amplitudzie, wszystkie te sceny, gdzie ludzie najpierw na siebie krzyczą, a chwilę później wpijają się sobie w usta, i historie, gdzie miłość (a może raczej fascynacja) wdziera się w życie jak piorun kulisty. I na ogół nie jest to historia szczęśliwa.

Miłość chodzi własną drogą

OLGA DRENDA

Zapewne, jak tysiące innych, obejrzę nową adaptację „Wichrowych Wzgórz" i nowe „Lalki". To dzieła i wspaniałe, i przerażające: uczucie jest w nich siłą niszczycielską, które – albo jak u Emily Bronte – miażdży i głównych bohaterów, i osoby postronne, albo jak u Prusa, zaślepia, osamotnia i więzi w iluzji, przesłaniając i cały świat, i sam obiekt fascynacji (warto wrócić do wspaniałego wglądu Zofii Nałkowskiej w postawę Wokulskiego: „nie ma miejsca na porozumienie, na żadną tkliwość. Jest tylko surowe żądanie od niej, aby była doskonała"). Ale obie te powieści są wizjami z czasów konwenansu, gdy zakochanie i małżeństwo rzadko bywały zbiorami łącznymi. Uczucie w nich pociąga pomimo, a może z powodu swojej destrukcyjności. Pokazują, że konwenans nigdy nie trzyma ludzi w aż tak żelaznym uścisku, by ktoś nie poddał się pokusie stracenia głowy dla drugiej osoby.

Ale ludzie chcą wracać do klasycznych historii i zapewne nie tylko dlatego, że już je dobrze znają. Można pomyśleć: „piękne kostiumy, piękna historia, ale jak to dobrze, że to nie moje życie". To prawda; dzisiaj koszty utraty głowy w porównaniu z XIX wiekiem są nikłe. Życie solo, rozstanie, wychowanie dziecka w pojedynkę – kwestie, które niegdyś decydowały o czyimś być albo nie być – dziś bywają dobrowolnym wyborem i czasem jest z tą decyzją ludziom lepiej. Towarzyszy życia również wybiera się dobrowolnie, jeśli więc zakochaniu towarzyszy tragizm, to musi mieć odmienne przyczyny.

Tragizm ma jednak swój zaskakujący rewers i nie jest nim satysfakcja, a coś o fakturze zimnego budyniu. Sposób, w jaki opowiada się o miłości i związkach, często dzisiaj zniechęca. Gdy czytam rozmaite rozmowy czy analizy, momentami łapię się za głowę myśląc: kto chciałby sobie to robić? Mówię tutaj o języku biznesowo-zootechnicznym, w którym zamiast „miłość" czy „bycie razem", mówi się „dobieranie się w pary" albo „rynek matrymonialny", rozważając parametry powodzenia fizycznej transakcji dwójki człowiekowatych. Obleśny chłód tego slangu sprawia, że nie dziwię się, iż wielu ludzi cieszy się z życia w pojedynkę.

Jesteśmy wolni, ale też asekuracyjni. Obecnie możliwości podbudowania w sobie takiej postawy są niemal niezmierzone. Popnauki i pseudonauki podpowiadają coraz to nowe zaklęcia, by utrwalić w sobie myśl, że „życie to forma istnienia białka". Przypuszczam, skąd to się bierze: z nadziei, że ludzie wyeliminują w ten sposób z siebie potrzebę tak niebezpiecznych dla ego rzeczy jak miłość, a tym samym możliwość przykrego rozczarowania.

Czy jednak miłość musi kojarzyć się z dramatem? Czegoś brakuje mi w tym krajobrazie. Zastanówmy się, co z niego wypadło: bliskość, sympatia, lojalność, zaufanie, szacunek, odpowiedzialność, troska, a nawet stara, dobra przyjaźń. Pozostaje zastanawiać się, dlaczego. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl c90e1c6c76

Joanna Kulig jako Jolanta Wadowska-Król w serialu „Ołowiane dzieci", Netflix, 2026 r.

SIŁACZKI, IKONY, AKTYWISTKI

Prawdziwa śląska historia, znakomici śląscy aktorzy, ale w efekcie: zmarnowana szansa. Dlaczego mamy problem z „Ołowianymi dziećmi".

WOJCIECH ŚMIEJA

eprasa.pl c90e1c6c76

ROBERT PAŁKA / NETFLIX

W roku 1964 na ekrany polskich kin weszła zapomniana dziś komedia Sylwestra Chęcińskiego (tego od „Samych swoich"), pt. „Agnieszka 46". Film na podstawie powieści Wilhelma Macha opowiadał o zasiedlaniu Ziem Odzyskanych.

Oto w maleńkich Białobrzegach osiedlają się żołnierze z rodzinami. Wioska funkcjonuje niczym obóz wojskowy, rządzona twardą ręką przez dawnego dowódcę, a dziś sołtysa. Mężczyźni piją bimber, wspominają heroiczne czasy i z obojętnością lub okrucieństwem traktują kobiety, zwierzęta i dzieci. Symbolem tego ostatniego jest fakt, że dzieci mają kołtuny.

Na szczęście do odciętej przez mokradła sołdackiej enklawy przybywa młoda nauczycielka, tytułowa Agnieszka, która krok po kroku odwojowuje rzeczywistość tak, żeby była bardziej znośna. Na początku ma trudno, musi walczyć nie tylko z sołtysem-dowódcą i jego zdemoralizowanym oddziałem, ale też z uprzedzeniami kobiet, zwłaszcza starszego pokolenia, które nie akceptują przekroczeń genderowych, jakich aktywna, młoda kobieta (w powieści zna nawet judo!) się dopuszcza. W końcu jednak kołtuny zostaną ścięte, a podzielona i nieznośna rzeczywistość Białobrzegów się reintegruje.

Filmowa opowieść Chęcińskiego związek z powojenną rzeczywistością zachodnich kresów miała więcej niż luźny. Niezbyt udany i słusznie zapomniany film opierał się na prostych kontrastach, grał stereotypami, jego wymowa była całkowicie podporządkowana bieżącym potrzebom propagandowym. Jeśli szukać w nim jakiejś prawdy historycznej, to raczej tej, która mówi o gomułkowskiej wizji kultury popularnej niż o powojennej rzeczywistości.

Ale można też spojrzeć na ten film szerzej, dostrzegając, że filmowa Agnieszka była kolejną wariacją na temat pozytywistycznych Siłaczek. Łączą one macierzyńskość Matki Boskiej, niezłomność Antygony z oczywistą gotowością wyrzeczeń i cierpienia dla nieoświeconej, biernej zbiorowości.

Po cichu

Wydawało się, że po groteskowym rozegraniu figury Siłaczki w „Konopielce" nie będzie już dla nich miejsca w naszej kolektywnej wyobraźni, ale „Ołowiane dzieci" Macieja Pieprzycy przywracają tę figurę. Figurę, bo raczej nie rzeczywistą postać Jolanty Wadowskiej-Król.

Żeby ta figura mogła być czytelna, potrzebne jest tło. Widzimy je już w pierwszej scenie. Rolę kołtuna pełnią tu robaki w ranie dziecka, które śląska matka leczyła, dając ją lizać psu. Jakie i czyje kompleksy ma leczyć ten inicjalny obraz? Czy naprawdę jest potrzebny dramaturgicznie? Czy stanowi jakiś symboliczno-afektywny naddatek? Dlaczego Jolanta Wadowska-Król, urodzona w Katowicach absolwentka Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrzu, przedstawiana jest jako obca i nierozumiejącą szopienickich „troglodytów" przybyszka z jakiegoś lepszego „polskiego" świata, „biała" wśród wrogich jej „dzikusów"?

Wiemy, że tak nie było. Że charyzma i poświęcenie Wadowskiej były przyjmowane może z pewną ostrożnością, zwłaszcza przez hutników, ale nie z wrogością.

Ślązacy byli zresztą znacznie nowocześniejsi niż reszta Polski – tak było przed wojną (sprawdźcie sobie współczynniki alfabetyzacji), ale też i po niej, kiedy w śląskim ciele pozostawała pamięć mięśniowa funkcjonowania w Niemczech, państwie nieporównywalnie bardziej nowoczesnym niż imaginacyjne imperium zwane Rzeczpospolitą. Nie dziwię się więc tym głosom moich krajan, którzy serialem Netfliksa czują się upokorzeni.

Jedną z osób, która ma największe zasługi w przywróceniu pamięci o bohaterce serialu, jest prof. Lucyna Sadzikowska z Uniwersytetu Śląskiego. Tak mówi o tym, co w netfliksowej wersji nadmiarowe:

– Zupełnie inny jest obraz kliniczny ołowicy. Na ekranie oglądamy raczej małych gruźlików. Ołowica nie powodowała tak drastycznych objawów, również statystyka zgonów dzieci w dzielnicy w tamtym czasie nie była wyższa niż gdzie indziej. Nie było też żadnych wieców, zebrań, gdzie doktor Wadowska miałaby organizować społeczność do buntu. Przeciwnie: w rozmowach z nią powracało sformułowanie, że działa „po cichu". Działając po cichu, miała jednak niezwykłą charyzmę. Kobiety jej słuchały, mężczyźni się bali.

Bez empatii

Trudno oczywiście domagać się wierności historycznym faktom od serialu. Oglądamy wszak kolejną po „Wielkiej wodzie" wariację na temat „Czarnobyla" i – jak to bywa z takimi powtórkami – każda kolejna jest bledsza. Mam jednak wrażenie, że owa netfliksowa generyczność pożarła w tym przypadku całą historię. Filmowa postać grana przez Joannę Kulig nie zostanie ikoną, nie porusza, bo historia oglądana po raz kolejny siłą rzeczy blednie.

Serial jest, mam wrażenie, najlepszy w tych – nielicznych – momentach, w których rekonstruuje przeszłość najwierniej. Wygląd przychodni czy ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ wystrój mieszkań w familokach, a nawet słynna „kryka" Jorga, czyli wojewody Ziętka, zakotwiczają opowieść w lokalności i historycznym konkrecie.

Z kolei momenty, w których serial staje się ortodoksyjnie netfliksowy, są w nim najsłabsze i dramaturgicznie, i realizacyjnie. Scena wizyty Breżniewa rozmachem przypomina niesławnego „Gierka" Michała Węgrzyna, a komputerowo animowana huta czy orwellowski sposób kadrowania Spodka po prostu nie wyglądają dobrze, szczególnie po tym, co widzieliśmy w „Heweliuszu".

Inwestowanie w te sztuczne sceny odbywa się kosztem nierozegrania napięć dramatycznych, które miały np. miejsce w domach pracowników huty uwikłanych w konflikt wartości. Sadzikowska zwraca uwagę, że przedstawiona jako happy end wyprowadzka z zatrutego osiedla 251 rodzin happy endem tak naprawdę nie była.

– Wyprowadzka rozrywała więzi. Znana jest historia rodziny pacjenta 0, której później nie było stać na czynsz, więc po prostu musieli wrócić do Szopienic. Mieszkańcy dzielnicy – kontynuuje Sadzikowska – wyrażali obawy, że serial pokaże ich w krzywym zwierciadle. Z jednej strony Netflix informuje, że serial jest zaledwie inspirowany wydarzeniami sprzed 50 lat, ale z drugiej, przez tak wyraźną sygnaturę nazwiska głównej bohaterki i miejsca akcji, w naturalny sposób będziemy odbierać go jako opowieść o nas, a wiele osób wciąż żyje i będzie to traktować bardzo osobiście.

W pierwszych dniach po emisji serialu na Śląsku zawrzało. Z jednej strony grają w nim wielkie tutejsze nazwiska aktorskie – Robert Talarczyk, Grażyna Bułka, Barbara Lubos-Rokita. To osoby rozpoznawalne, walczące o śląski język i rozwój śląskiej kultury. Z drugiej strony czytam kolejne posty oburzonych tym, jak śląska trauma została przejęta i wykorzystana bez żadnego poszanowania dla staromodnych wartości, takich jak prawda, szacunek czy empatia.

Nie oczekując od serialu wierności faktograficznej, nie mając w sobie daru oburzania się na zawołanie, przyznaję, że rozumiem negatywne emocje, jakie netfliksowa obróbka skrawaniem prawdziwej historii ze sobą niesie. Jeśli zaś miałbym powiedzieć o swojej, to jest mi po prostu przykro z powodu zmarnowanej szansy.

ADAM HAYDER / FORUM

Dzieci idące do szkoły. Katowice, 1978 r.

Z oddechem

Nie byłem ołowianym dzieckiem, choć znam ich kilkoro. Byłem za to dzieckiem astmatycznym. Jakość powietrza na Śląsku zawsze była fatalna, a moje miasto rodzinne, Pszczyna, ścigała się jeszcze 3-4 lata temu z Żywcem, Rybnikiem, Krakowem i Suchą Beskidzką o europejski prymat w niechlubnym wyścigu o tytuł miasta z największym smogiem.

Dziś jest już trochę lepiej. Na monitorującej jakość powietrza stronie Airly nasze miasta to już nie kropki czerwone, ale zaledwie pomarańczowe. Na odtrutkę mieliśmy sanatoria w Rabce i ośrodek chorób płuc na Kubalonce w Beskidzie Śląskim.

Pamiętam swoje dzieciństwo jako nieprzerwany ciąg chorób i duszności. Mógłbym powiedzieć – gorzko żartując – że było ono bardzo proustowskie, ale rzeczywistość była inna, na wskroś prozaiczna. Lekarka z rejonowej przychodni długo nie potrafiła rozpoznać tej – zdawałoby się oczywistej – przyczyny mojego słabego zdrowia i faszerowała mnie jakimiś dewastującymi zdrowie antybiotykami, po których (dziękuję tetracyklinie) zżółkły mi zęby.

Gdyby nie względny przywilej polegający na posiadaniu rodzinnych koneksji medycznych – mąż siostry mojej mamy był lekarzem medycyny pracy, jego brat dyrektorem wspomnianego ośrodka na Kubalonce – to nieskuteczne i szkodliwe leczenie byłoby kontynuowane pewnie do jakiegoś kompletnego kolapsu dziecięcego organizmu.

Na szczęście zostałem zdiagnozowany. Na szczęście mieliśmy dostęp do zagranicznych „dewizowych" lekarstw, dzięki którym przestałem się dusić. Nie wiem, czy jesteście w stanie zrozumieć, co znaczy „przestać się dusić". Tak, dla takich dzieci jak ja dorastanie na Śląsku było, jak poezja w wierszu Różewicza, „walką o oddech". Pamiętam ośmioletniego siebie i rzesze podobnych mnie nieszczęśników wywożonych autokarami do Rabki na dwumiesięczne turnusy lecznicze, które w mojej – i chyba wszystkich innych, którzy tego doświadczyli – pamięci zachowały urok kolonii karnej.

W pewnym sensie to, kim jestem dziś, cały wybór ścieżki zawodowej i życiowej, związane są z tymi dusznościami i zdrowotnymi ograniczeniami. Nie skarżę się. Moja mama zrobiła wszystko, żebym był zdrowy: miała dużą świadomość zdrowotną, nie leczyła mnie psim sadłem w każdym razie. Na pewno miał tu znaczenie nieco wyższy kapitał społeczny i kulturowy, ale wydaje mi się, że w latach 80. świadomość tego, jak dewastujący na zdrowie dzieci wpływ ma śląski *stadtluft*, była dość powszechna.

Przy czym traktowano to, jak sądzę, jako dopust boży i korzystano z możliwości – ochłapów – jakie dawał system w postaci właśnie turnusów sanatoryjnych. Choć dziś już astma ustąpiła, pozostał mi trochę świszczący oddech, niższa wydolność płuc (raczej w Himalaje nie pojadę, zostają Tatry) i strach przed powrotem astmy na starość.

eprasa.pl c90e1c6c76

O smogu

A jednak są na Śląsku ulice i całe kwartały, których nie trzeba by podrysowywać komputerowo, a które mogłyby – w 50 lat później – zagrać w serialu Pieprzycy. Może tylko mniej na nich dzieci. Są też podobne problemy.

Rozmawiamy o nich z dr Moniką Glosowitz z Uniwersytetu Śląskiego. Literaturoznawczyni, urodzona w górniczej rodzinie w Rybniku, zwróciła uwagę na losy kobiet z rodzin górniczych. Organizowane przez nią konkursy pamiętnikarskie dla mieszkanek Śląska pozwalają odkryć zupełnie inny wymiar historii regionu i cieszą się niezwykłą wprost popularnością. Gdy pod koniec ubiegłej dekady została matką, zaangażowała się we współtworzenie Rybnickiej Rady Kobiet, organu doradczego prezydenta miasta.

– Postulat był oddolny – mówi Glosowitz – wyszedł od kobiet, działaczek lokalnych, prezydent się na to zgodził. Miałyśmy mieć rolę opiniodawczą, natomiast mało kto nas pytał w ogóle o jakąkolwiek opinię, więc myśmy się zorganizowały same.

Na początku Rada miała dzielić się na sekcje i działać w różnych obszarach.

– Ja chciałam być przedstawicielką, która zajmuje się obszarem kultury. Inne członkinie zajmowały bardzo różne pola. Natomiast szybko doszłyśmy do wniosku, że mamy tak katastrofalny stan jakości powietrza, że nie ma w ogóle opcji, żebyśmy się zaczęły zajmować czymś innym. Powiedziałyśmy sobie jasno: zajmujemy się smogiem, mimo że nikt nas o to nie prosił, a co więcej okazało się, że jest to problematyczne, bo wtrącałyśmy się tam, gdzie się miałyśmy nie wtrącać.

Kiedy Glosowitz zaczynała aktywnie zajmować się polityką lokalną, odczuwała konflikt wewnętrzny, że oto staje przeciwko górniczej tożsamości regionu i własnej rodziny. Dziś już tak tego nie odbiera.

– Przy zupełnie innej okazji, bo przy okazji poszukiwania głosów kobiet z rodzin górniczych, odkryłam, że te postulaty związane z poprawieniem jakości powietrza, ale też stanu wód, wód gruntowych, gleby, roślinności i całego środowiska naturalnego, były w Rybniku zgłaszane i to w sposób radykalny i wywierający presję w czasach, kiedy wydawałoby się, że to powinno być wszystko cenzurowane – opowiada. – Mam przeanalizowany korpus artykułów z prasy lokalnej od roku 1971, a śmiałabym przypuszczać, że trzeba przeprowadzić badania górnośląskich dyskursów publicznych całego powojnia.

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

dr Jolanta Wadowska-Król. Katowice, 2013 r.

Już w latach 60. utworzono pierwsze zespoły badawcze zajmujące się problematyką zanieczyszczeń przemysłowych i ich wpływu na zdrowie, powstał Instytut Podstaw Inżynierii Środowiska PAN w Zabrzu. Działała tam Irena Szalonek, która wykazywała istnienie „stref bardzo dużego skażenia" związkami fluoru w rybnickiej dzielnicy Paruszowiec. Prowadziła porównawcze badania zanieczyszczeń środowiska w Rybniku, Koninie i Skawinie.

Dla zmian

Glosowitz i części kobiet z RRK odkrycie, że są kolejnym ogniwem wielopokoleniowego łańcucha, który kwestionuje ekologiczne *status quo*, przyniosło ulgę i pewność co do zasadności działań. Fakt istnienia świadomości ekologicznej i zdrowotnej, dokumentowanie dążeń pracowników Huty i mieszkańców Rybnickiego Okręgu Węglowego, jakie były podejmowane cztery czy pięć dekad temu, sytuuje ją zupełnie inaczej wobec współczesności.

Już nie myśli o sobie jako o wyrodnej córce podnoszącej rękę na świętą tradycję regionu. Inaczej: wpisuje siebie w tradycję, szuka jej śladów, przypomina poprzedniczki w tej walce.

Glosowitz, wspominając swój aktywizm, zwraca uwagę, że miejscy włodarze mówili członkiniom rady, że są zbyt radykalne, że chcą wszystkiego za szybko, a zmiany wymagają czasu. Pamięta też argumenty, że płeć i macierzyństwo stanowią rodzaj wartości dodanej. Miejscy decydenci z jednej strony powściągali radykalizm żądań przedstawicielek rady, z drugiej mówili im, że ich radykalizm to potrzebna awangarda. Dzisiaj, znając historię zmagań o czyste powietrze, pyta z goryczą: no to ilu lat wymagają te zmiany – całego stulecia?

Dziś Rybnik chwalony jest za to, jak uporał się z dręczącym go jeszcze kilka lat temu smogiem. Czy byłoby to możliwe bez działań RKK? To Rybniczanki zaprosiły wybitnego specjalistę od epidemiologii środowiskowej z Belgii, prof. Tima Nawrota, który wykazał na podstawie próby porównawczej, że normy cząsteczek „czarnego węgla" w moczu dzieci w Rybniku są wyższe o ponad 400 proc. O tym, jaki wpływ na zdrowie dzieci mają zanieczyszczenia powietrza, wielokrotnie opowiadała mieszkańcom i Radzie Miasta członkini RKK, dr Katarzyna Musioł.

Paradoks sprawił, że Rada się rozwiązała, choć wymusiła na władzach miasta skuteczniejsze działania, a mieszkańcom pomogła uświadomić wagę problemu. Dopiero jednak, zauważa Glosowitz, głos mężczyzny z zewnątrz musiał poręczyć, że starania Rybniczanek nie są nadmierne i pochopne.

– Jako badaczka zagadnienia wiem, że wszelkie działania na rzecz poprawy środowiska naturalnego są wysiłkiem zbiorowym, często żmudnym i angażują wielu aktorów. To długotrwałe procesy. Natomiast jako aktywistka i obywatelka wiem też, że potrzebujemy ikon, postaci odważnych i charyzmatycznych. Jolanta Wadowska-Król bez wątpienia jest dla mnie i dla wielu osób na Śląsku taką ikoną.

Czy serial Netliksa pozwala ją poznać? Mam sporo wątpliwości. Na pewno pokazuje, po co nam w środku Europy Środkowej refleksja postkolonialna.

© WOJCIECH ŚMIEJA

Autor (ur. w 1997 w Pszczynie) jest literaturoznawcą, profesorem Uniwersytetu Śląskiego. Zajmuje się gender studies, wydał m.in. książkę „Po męstwie. Historia polskiej męskości w XX wieku".

eprasa.pl c90e1c6c76

ŚWIAT

WALEC SIĘ TOCZY

Proponowana przez Trumpa odbudowa Strefy Gazy to w istocie kolejne narzędzie likwidowania wspólnoty narodowej Palestyńczyków.

MAREK MATUSIAK

Rzeczywistość Strefy Gazy po pięciu miesiącach formalnego rozejmu pomagają zrozumieć liczby. Ponad sześciuset: tylu Palestyńczyków zostało w tym czasie zabitych (to populacja sporej polskiej wsi, jak tatrzańskie Małe Ciche). Dwa i pół tysiąca: tyle budynków Izrael w tym okresie zburzył (to z kolei nieduże polskie miasto, np. Puck).

Tylko w styczniu u 4435 dzieci zdiagnozowano ostre niedożywienie. Kilkadziesiąt osób zmarło z wychłodzenia, kilkadziesiąt kolejnych zginęło pod gruzami walących się budynków. Około 1,4 mln ludzi (dwie trzecie populacji) żyje w namiotach i prowizorycznych schronieniach. Niemal cała ludność Strefy stłoczona jest na mniej niż połowie jej przedwojennego obszaru, bo jego większość okupuje Izrael. Oznacza to, że populacja większa od Warszawy gnieździ się wśród ruin na terenie o powierzchni kilku warszawskich dzielnic.

REALIA POKOJU | Dostęp do Gazy z powietrza, wody i lądu zarządzany jest przez Izrael i nikt oraz nic nie może wjechać czy wyjechać bez jego zgody. Dotyczy to też dostaw pomocy humanitarnej – niezmiennie poddanych systemowej obstrukcji – i ewakuacji medycznych (pilnie potrzebuje jej obecnie przynajmniej 18 tys. osób).

Czego liczby nie ujmują, to np. przenikliwe zimno (śródziemnomorska zima łagodna wydaje się tylko tym, którzy nie przeżyli jej w plastikowym namiocie), wlewająca się do namiotów woda, żałoba po stracie bliskich oraz poczucie beznadziei i strachu przed przyszłością. Zwłaszcza tą, którą Gazie szykują USA do spółki z Izraelem (o czym za chwilę).

Takie są realia rzekomego pokoju. Tego pokoju, który w październiku 2025 r. prezydent Trump zaprowadził na Bliskim Wschodzie po raz pierwszy od, jak sam stwierdził, trzech tysięcy lat. Amnesty International oraz izraelska organizacja praw człowieka B'Tselem nazywają tę sytuację „trwającym nadal ludobójstwem".

CELE | Nie ma wątpliwości, że warunki, jakie Izrael wytwarza w Gazie, nie są dziełem przypadku, lecz częścią polityki. Polityki prowadzonej (różnymi metodami) świadomie i konsekwentnie na wszystkich okupowanych terytoriach palestyńskich.

Jej celem jest zniszczenie Palestyńczyków jako wspólnoty narodowej, a zatem jako grupy historycznie zamieszkującej określone terytorium, zachowującej wspólną tożsamość i poczucie łączności (mimo fizycznego rozdzielenia między Zachodnim Brzegiem Jordanu, Wschodnią Jerozolimą i Gazą) oraz wspólną aspirację do własnego państwa.

Na Zachodnim Brzegu polityka ta prowadzona jest metodą przyspieszonej żydowskiej kolonizacji, zaboru terytorium, przyzwalania na przemoc ze strony osadników, osłabiania i rozbijania Autonomii

eprasa.pl c90e1c6c76

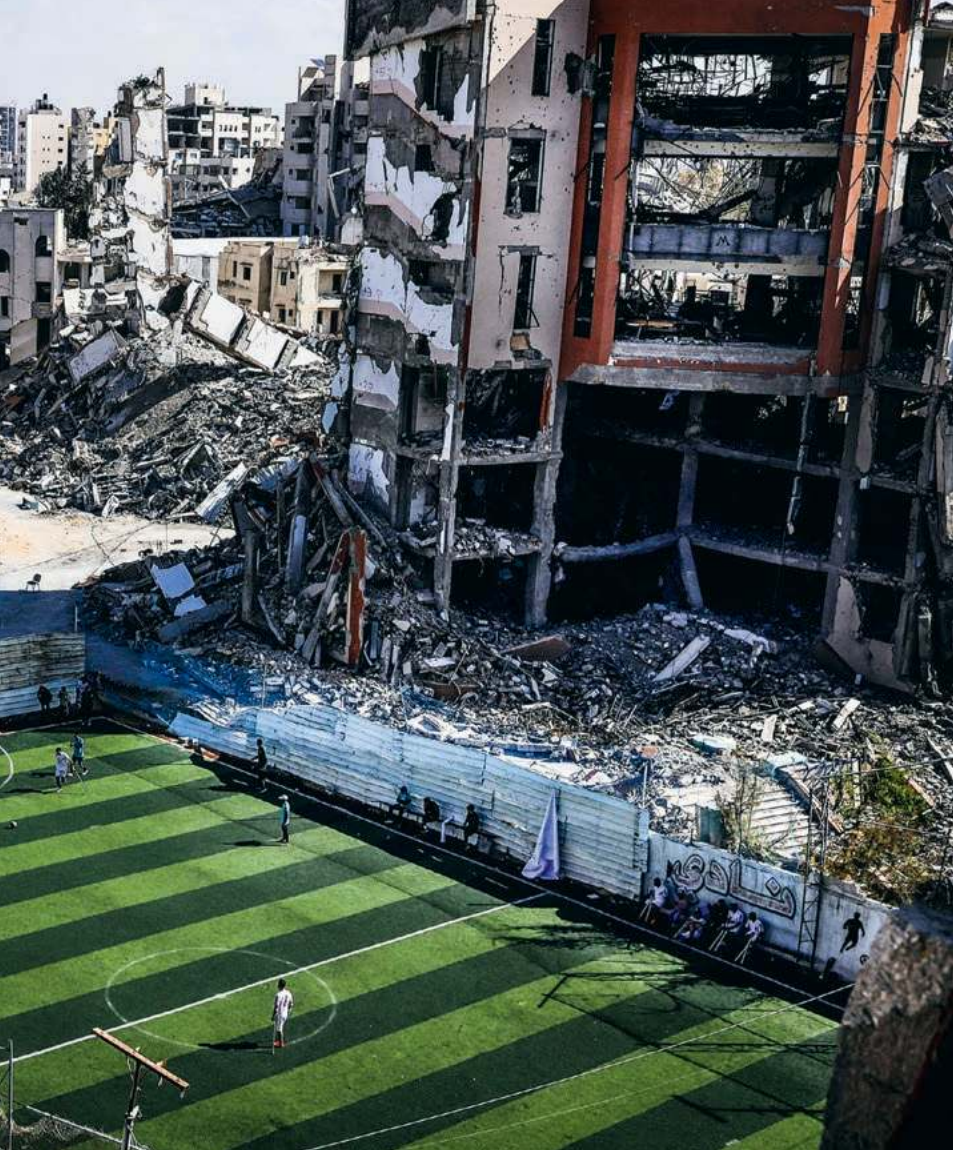

SAEED M.M.T. JARAS / ANADOLU / AFP / EAST NEWS

Mecz z udziałem Palestyńczyków, którzy stracili ręce lub nogi w wyniku izraelskich nalotów. Utworzyli oni drużynę piłkarską o nazwie Gaza Azim Team. Strefa Gazy, 11 lutego 2026 r.

oraz, mówiąc przenośnie, odcinania tlenu żyjącym tu Palestyńczykom.

O celach Izraela otwarcie mówi nie tylko minister finansów Becalel Smotricz, znany z radykalizmu (to: docelowa aneksja, a dla Palestyńczyków do wyboru podporządkowanie, emigracja lub śmierć), ale też minister gospodarki Nir Barkat, polityk Likudu, partii premiera Netanjahu. W niedawnym wywiadzie stwierdził, że Autonomię należy „rozerwać na strzępy", a następnie zastąpić siatką niezależnych od siebie palestyńskich enklaw oblanych żydowsko-izraelskim morzem. Taki wywiad nie mógłby ukazać się bez politycznej koordynacji.

LISTA | W Gazie przez ostatnie dwa lata Izrael konsekwentnie dążył do uczynienia tego terytorium niezdatnym do życia. Robił to, maksymalizując straty ludzkie i materialne.

Dla przypomnienia, wbrew własnym niekończącym się zapowiedziom nie pokonał Hamasu, za to zabił co najmniej 72 tys. ludzi. Dane palestyńskiego ministerstwa zdrowia w tej kwestii – przez dwa lata dezawuowane przez Izraelczyków, m.in. za pomocą porównań do oskarżenia o mord rytualny – w styczniu potwierdziły izraelskie siły zbrojne.

Statystyka ta obejmuje ofiary znane z nazwiska, płci, wieku, daty śmierci i numeru ewidencyjnego; do tego dochodzi 3 tys. niezidentyfikowanych ciał. Pełna lista tych pierwszych – na której 1186 pozycji to dzieci w wieku rok lub mniej – opublikowana została 19 lutego po hebrajsku także w Izraelu (przez liberalny dziennik „Haaretz"). Komentując ją, historyk z Uniwersytetu Hebrajskiego, Lee Mordechai, stwierdził, że błędy na niej obejmować mogą co najwyżej jeden procent.

Do tych 72 tysięcy zabitych dodać należy nieznaną liczbę tych, których szczątki leżą pod gruzami. Szacunki wahają się tu zwykle między dziesięć a dwadzieścia kilka tysięcy.

KAMPANIA WYBURZEŃ | Brak też miarodajnych informacji o osobach, które zmarły w wyniku niedostępności leczenia (np. pacjenci onkologiczni) i/lub sztucznie wywołanego przez Izrael głodu. W grudniu 2024 r. Alex de Waal, brytyjski antropolog i specjalista w zakresie badań nad głodem, sugerował, że może to być nawet 10 tys. osób. Osiem miesięcy później – po okresie całkowitej blokady Strefy i w warunkach oficjalnie stwierdzonego głodu – mówił już o potencjalnej wielokrotności tej liczby.

Skalę i metodyczność działań Izraela pokazują też wskaźniki zniszczeń materialnych – niewidziane od II wojny światowej, a już na pewno od wojny na Półwyspie Koreańskim. Według szacunków centrum satelitarnego ONZ (UNOSAT), całkowicie lub częściowo zniszczono w Gazie 81 proc. budynków.

Przy czym nie są to wyłącznie efekty uboczne działań wojennych, ale też rezultaty świadomej i systematycznej kampanii wyburzeń ścierających z powierzchni ziemi całe kwartały. Jej ofiarą padły budynki mieszkalne, szpitale, uniwersytety, urzędy, cmentarze, budynki gospodarcze, szklarnie, zbiorniki wody, odsalarnie wody morskiej. Wiele z tych zniszczeń izraelscy żołnierze uwiecznili sami. Inne są udokumentowane np. przez brytyjską organizację Forensic Architecture.

Po tym, jak w październiku 2025 r. weszło w życie tzw. zawieszenie broni, ten przetaczający się przez Gazę izraelski walec toczy się dziś wolniej. Bez wątpienia jednak toczy się nadal i zmierza ku temu samemu celowi.

SYSTEM NADZORU | Przykładem obszaru, w którym Izrael zacieśnia kontrolę nad Gazą, jest pomoc humanitarna. W związku z wprowadzeniem przez Izrael nowych regulacji, pod koniec lutego 37 międzynarodowych organizacji (m.in. Duńska Rada ds. Uchodźców, Norweska Rada ds. Uchodźców, Caritas, Lekarze bez Granic, Oxfam czy World Vision) utraci możliwość prowadzenia tam działalności pomocowej. ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

SAUL LOEB / AFP / EAST NEWS

Gdy formułowano plan Trumpa dla Gazy, żadna reprezentacja Palestyńczyków nie była pytana o zdanie. Na zdjęciu: spotkanie „Rady Pokoju" w Waszyngtonie, 19 lutego 2026 r.

↦ W ich miejsce wejdą organizacje zaakceptowane przez Izrael. W tym takie, które – jak wskazano w artykule opublikowanym 11 lutego przez „The New Humanitarian" – ściśle współpracują z Izraelem i unikają komentarzy na temat jego polityki. Kilka z nich pojawiało się już wcześniej w kontekście tzw. Centrów Dystrybucji Pomocy – alternatywnego wobec ONZ i kontrolowanego przez Izrael systemu dystrybucji żywności, ustanowionego w Gazie w połowie 2025 r.

System ten charakteryzował się masakrami palestyńskiej ludności, regularnie powtarzającymi się w pobliżu Centrów, a dokonywanymi przez ochraniających je amerykańskich najemników lub armię izraelską (zginęło w ten sposób niemal tysiąc osób).

Jedna z organizacji zatwierdzonych dziś do działalności w Gazie była bezpośrednio zaangażowana w funkcjonowanie tego systemu. Przedstawiciele kilku innych uczestniczyli w działaniach mających na celu poprawę wizerunku przedsięwzięcia wtedy, gdy informacje o masakrach zaczęły wydostawać się poza Gazę.

RADA TRUMPA | O przyszłości Gazy, przynajmniej w wymiarze formalnym, decydować ma – przewidziana w planie Trumpa i usankcjonowana rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ – tzw. Rada Pokoju. W miniony czwartek, 19 lutego, w Waszyngtonie odbyło się jej pierwsze posiedzenie.

Jest to *de facto* prywatna organizacja Donalda Trumpa (to on jest jej przewodniczącym, w założeniu dożywotnim), do której akces zgłosiło dotąd nieco ponad 20 państw. W tym Armenia, Azerbejdżan, Uzbekistan i Kazachstan z obszaru postsowieckiego; Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar i Bahrajn z Zatoki Perskiej; a także Turcja, Indonezja, Pakistan, Mongolia, Argentyna i Węgry (jedyne w tym gronie państwo Unii).

ONZ udzieliła „Radzie" autoryzacji jako ciału, które miało nadzorować realizację planu pokojowego dla Gazy. W praktyce jednak „Rada Pokoju" ukonstytuowała się jako organizacja o globalnych celach, a nawet potencjalna alternatywa dla ONZ. Dopiero gremia i stanowiska jej podległe – takie jak: Rada Wykonawcza ds. Gazy, Wysoki Przedstawiciel ds. Gazy czy Narodowy Komitet ds. Administracji Gazą (grupa palestyńskich technokratów) – mają zajmować się sytuacją w samej Strefie.

Deklarowanym celem tych struktur ma być stabilizacja i rekonstrukcja. W czasie szczytu „Rady Pokoju" ujawniono, że tym pierwszym mają zająć się tzw. międzynarodowe siły stabilizacyjne (20 tys. żołnierzy z Indonezji, Kazachstanu, Kosowa i Albanii, pod dowództwem amerykańskiego generała), a na rzecz odbudowy państwa członkowskie „Rady" miały zadeklarować łącznie 7 mld dolarów.

NIEOBECNI | Ani na etapie formułowania planu Trumpa, ani przy tworzeniu „Rady Pokoju" żadna reprezentacja Palestyńczyków nie była pytana o zdanie. Wspomniany wyżej palestyński Narodowy Komitet to grupa ludzi arbitralnie wskazanych, niemających mandatu (ich zadaniem ma być administracja na podstawowym szczeblu, nie reprezentacja polityczna).

Natomiast gdy idzie o Izrael, plan Trumpa był z nim na każdym etapie koordynowany i dostosowywany do jego oczekiwań (włącznie z wszystkimi personaliami). Izrael ma też w strukturach „Rady" szereg reprezentantów swojego interesu.

Z kolei rekonstrukcja Gazy – przewidująca stworzenie tam śródziemnomorskiej riwiery – oznacza nie tylko terytorialne okrojenie Strefy i jej trwałe rozczłonkowanie na szereg oddzielonych od siebie „obszarów mieszkalnych", przemieszczanie się pomiędzy którymi byłoby kontrolowane i reglamentowane. Oznacza też całkowite zniszczenie tkanki społecznej i zatarcie śladów materialnego dziedzictwa.

Ludność palestyńska byłaby w tej wizji – kolportowanej głównie przez Jareda Kushnera, zięcia prezydenta USA – sprowadzona do roli taniej siły roboczej dla zagranicznych inwestorów z branży nieruchomości i turystycznej (ci podobno przebierają już nogami).

SCENARIUSZE | Tak prowadzona odbudowa Gazy byłaby więc w istocie kolejnym narzędziem likwidowania Palestyńczyków jako wspólnoty narodowej. Bez fizycznego wyniszczenia (przynajmniej na dużą skalę), ale prowadzonej za pomocą jak największego przestrzennego rozdrobnienia, atomizacji, cyfrowego nadzoru, odebrania dziedzictwa i prawa do jakichkolwiek kolektywnych aspiracji. Palestyńczycy staliby się na własnej ziemi tym, czym są dziś gastarbeiterzy w wielu państwach arabskich Zatoki Perskiej.

Niestety, w obecnych warunkach nie byłby to dla Palestyńczyków scenariusz najgorszy. Tym byłoby bowiem wznowienie wojny. Np. pod pretekstem, że Hamas nadal się nie rozbroił (czego trudno oczekiwać, biorąc pod uwagę, że leżąca na stole oferta nie przewiduje dla Palestyńczyków żadnego prawa do samostanowienia). Albo że palestyńskie społeczeństwo nie dość szybko się reedukuje (to także jeden z izraelskich postulatów). Takiego scenariusza nie można więc wykluczyć.

© MAREK MATUSIAK

eprasa.pl c90e1c6c76

ADRIAN CUESTA

Przez 20 lat istnienia fundacja Any Belli (blondynka w środku) pomogła tysiącom kobiet.

Niewidzialne łańcuchy

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII

HISTORIE KOBIET | Co trzecia Hiszpanka doświadczyła przemocy od partnera lub byłego partnera – fizycznej, psychicznej, cyfrowej. Choć prawo chroni kobiety, system wsparcia jest przeciążony. Ale są tu także opowieści z happy endem.

Umawiamy się na rozmowę w poniedziałek w Sewilli. Przed szóstą rano przychodzi wiadomość: „Przykro mi, ale jestem na porodówce z kobietą z Gwinei Bissau. Chyba muszę przełożyć nasz wywiad" – pisze Ana Bella, szefowa fundacji, która pomaga kobietom.

Po kilku dniach wracamy do rozmowy. Jest zmęczona, ale szczęśliwa. Kobieta, której towarzyszyła, urodziła zdrową córeczkę. Ana do ostatniej minuty walczyła o przyznanie jej pozwolenia na pobyt w Hiszpanii i miejsca w ośrodku dla kobiet.

Ana Bella najbardziej pamięta historię z Estremadury. Jest początek stycznia, sprawę zgłasza 15-letnia córka. Kobieta ma piątkę dzieci, z czego najmłodsze dopiero kończy roczek. Nastolatka prosi, by Ana Bella przyjechała osobiście, bo boi się iść na policję.

Aby przewieźć tak liczną rodzinę, Ana prosi o pomoc wolontariuszkę, która ma auto na dziewięć miejsc. Muszą pokonać 400 km. Gdy docierają do wsi, mąż kobiety śpi. Ona zabiera tylko trochę rzeczy; nie ma nawet pampersów dla najmłodszego.

Ana: – W drodze do Sewilli 4-letnia córka tej kobiety pyta mnie, czy u nas w mieście są parki, bo nigdy nie była. Ojciec zabraniał dzieciom wychodzić do parku i na plac zabaw. Nie pozwalał żonie się malować ani używać perfum. Gdy wchodziła do domu pomocy dla kobiet, była w takim stanie, że nie mogła przypomnieć sobie imienia męża.

Choć mąż ją bił i znęcał się psychicznie, żona bała się zgłosić na policję. Dlatego do Any zadzwoniła jej córka, bo usłyszała o fundacji w telewizji.

W ciągu 20 lat istnienia fundacja Any pomogła ponad 52 tysiącom kobiet różnych narodowości. Najrzadziej o pomoc prosiły Chinki – w ciągu 20 lat tylko dwie.

Z PIWNICY | Polek było więcej, w tym Joanna. O Joannie, będącej w piątym miesiącu ciąży, Ana słyszy dzięki nauczycielce religii ze szkoły średniej swoich dzieci. Jest rok 2012, a Polka jest więziona przez partnera w piwnicy.

Ana pomaga jej zacząć od zera. Po tygodniach poszukiwań okazuje się jednak, że nikt nie chce zatrudnić ciężarnej. Zbiega się to z momentem, gdy fundacja Any Belli dostaje nagrodę za swoją działalność, 25 tys. euro.

– Wiedziałam, że muszę stworzyć miejsce pracy dla Asi i innych kobiet w jej sytuacji. Założyłam firmę cateringową – wspomina Ana.

Joanna nie wróciła do Polski. Urodziła córkę, została w Hiszpanii. Wstydziła się reakcji bliskich, pochodziła z ubogiej rodziny ze wsi.

OCALAŁE | To była wielka miłość. Zaczęło się niewinnie. Ona wybierała właśnie uczelnię. Zdała egzaminy wstępne z tłumaczeń i interpretacji w języku angielskim. Miała najlepszy wynik w całej Hiszpanii, wszystkie uczelnie stały dla niej otworem.

Chłopak powiedział jej, by wybrała: albo studia, albo ich miłość. Ana Bella nie zaczęła więc studiów. On bił ją, ale ona nie ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ chciała odejść, nie czuła się przecież ofiarą. Gdy w końcu odeszła, została z czwórką dzieci. Pomogli rodzice i przyjaciele. Rodziców w szkole swoich dzieci prosiła o ubrania, których już nie używali. Rzuciła się w wir pracy, by utrzymać dzieci.

Ana Bella ma dziś 54 lata. Wysoka kobieta o krótkich włosach. Mówi szybko, energicznie. W 2006 r. założyła fundację. Chciała, by jej historia stała się inspiracją dla innych kobiet. Choć od terminu *víctimas* (ofiary) Ana woli słowo *supervivientes* (ocalałe; te, które przeżyły przemoc).

STATYSTYKI | María wylądowała na intensywnej terapii ze złamaną nogą i czterema złamanymi żebrami. To nie był pierwszy raz, gdy partner ją pobił. Nie pierwszy raz także, gdy zgłaszała sprawę na policję, a potem wycofywała oskarżenie. Czasem na policję dzwoniła sąsiadka, ale ona potem przed policją udawała, że nic się nie stało.

Wpadała w alkohol, narkotyki, miała próbę samobójczą. Nie przemoc fizyczna była dla niej najgorsza, lecz psychiczna: poniżanie, wyzwiska, lekceważenie.

Gdy w końcu zdecydowała się odejść, została sama z córką i wielkimi długami. Rodzina się od niej odwróciła. Bliscy mówili, że jeśli chce jeść, niech prosi w Caritasie.

– Ludzie ciebie obwiniają. Pochodzę z wykształconej i dobrze sytuowanej rodziny. Mówią: „Jak to możliwe, że osoba o twoim charakterze i wykształceniu tak skończyła". Ale nikt nie jest przygotowany na przemoc – mówi mi María José Ferrero z Gran Canarii.

Jej słowa potwierdzają statystyki z 2019 r., opracowane przez delegaturę rządu ds. przemocy ze względu na płeć. Kobiety, które nie potrafią pisać i czytać, potrzebują zwykle ośmiu lat, by zgłosić sprawę policji. Te, które mają wyższe wykształcenie, ponad 12 lat.

PRZEŁOM | W rankingach Hiszpania to dziś kraj z jednymi z najlepszych przepisów chroniących kobiety przed przemocą. Ale nie zawsze tak było, a zmiana zaczęła się od presji społecznej.

Po 1978 r., po przyjęciu konstytucji gwarantującej równość kobiet i mężczyzn, Hiszpanki wchodziły na rynek pracy, uzyskiwały pełnię praw w małżeństwie, mogły założyć konto bez zgody męża. Z kodeksu karnego zniknęło cudzołóstwo, za-

ARCHIWUM PRYWATNE

MARÍA JOSÉ FERRERO z Gran Canarii: *Nikt nie jest przygotowany na przemoc.*

ARCHIWUM PRYWATNE

ANA BELLA *z dzieckiem podopiecznej, styczeń 2026 r.*

legalizowano rozwody i antykoncepcję. Ale choć prawo się zmieniało, przemoc, ta domowa, była poza „radarem".

Zmieniło się to w 1997 r. Ana Orantes, 60-latka z Andaluzji, przyszła do studia telewizji Canal Sur i opowiedziała swoją historię: 40 lat upokorzeń i strachu. Zrobiła coś, co wówczas było niewyobrażalne: wyniosła przemoc z domu, by prosić o pomoc.

Krótko potem, w tym samym programie, dziennikarka poinformowała o jej śmierci: „Coś poszło nie tak. Zawiedliśmy jako społeczeństwo".

Anę zamordował były mąż. To wstrząsnęło krajem. Stało się jasne, że państwo musi coś zrobić. Zaczęto zaostrzać kary, debata o ochronie ofiar przebiła się do politycznego centrum. Dwa lata później kraj obchodził po raz pierwszy Międzynarodowy Dzień Eliminacji Przemocy wobec Kobiet. W 2004 r. przyjęto przełomową ustawę o przemocy ze względu na płeć – dokument, który stworzył system ochrony prawnej, policyjnej i socjalnej.

OPASKI | Jednym z filarów systemu ochrony jest policyjna baza VioGén: ogromny, przeciążony mechanizm, w którym figuruje ponad 100 tys. kobiet uznanych za zagrożone. Jeden policjant bywa odpowiedzialny za monitorowanie kilkudziesięciu kobiet.

– Brakuje ludzi i pieniędzy. Są jednak rozwiązania, które realnie ratują życie: elektroniczne opaski z geolokalizacją, zakładane sprawcom. Alarm uruchamia się, gdy zbliża się on do kobiety objętej ochroną. Statystyka jest bezwzględna: żaden mężczyzna monitorowany w ten sposób nie zabił kobiety. Opasek jest jednak zaledwie kilka tysięcy, to za mało – mówi Ana Bella w rozmowie z „Tygodnikiem".

Były partner Marii przez cztery lata miał założoną opaskę połączoną z aparatem, który miała ona. Gdy przekraczał dozwoloną odległość, aktywował się alarm.

Zdaniem Marii system ma błędy, ale jest potrzebny. Bywa, że mężczyźni wykorzystują opaski, by znęcać się nad kobietami: zbliżają się do nich, by specjalnie aktywować alarm. Zdarzały się już za to wyroki sądowe. – Wyobraź sobie, że pracujesz w urzędzie, a kilka razy w ciągu dnia aktywuje się alarm. Wszyscy na ciebie patrzą – mówi Ana Bella.

ZAKAZ | Sprawy o przemoc wobec kobiet trwają w sądach średnio od trzech miesięcy do roku. W tym czasie sąd może zastosować dodatkowe środki ochrony. Takie jak wspomniane opaski, areszt czy zakaz komunikacji.

Prokuratorka ds. przemocy wobec kobiet w Almerii, Déborah Díaz-Jiménez Triviño, przy wnioskowaniu o zakaz zbliżania się bierze pod uwagę także wielkość miejscowości. – Jeśli to miasteczko, w którym jest jeden supermarket, wnioskuję o nakaz przeprowadzki dla mężczyzny. Inaczej trudno egzekwować tych 15 metrów, na które nie może się zbliżać – mówi Triviño.

LICZBY | Od uchwalenia ustawy o przemocy wobec kobiety minęły prawie

eprasa.pl c90e1c6c76

22 lata. Od roku 2003 ponad 1,3 tys. kobiet zostało w Hiszpanii zamordowanych przez partnerów lub byłych partnerów. W 2025 r. było ich 46 – najmniej, od kiedy prowadzone są statystyki.

O każdej ofierze informuje telewizja publiczna, a także lokalne oddziały rządowe ds. przemocy wobec kobiet. Większość lokalnych samorządów upamiętnia zmarłe tak kobiety minutą ciszy na placu przy ratuszu.

Z niedawno opublikowanej ankiety, którą przeprowadziło Ministerstwo Równości, wynika, że w Hiszpanii co trzecia kobieta doświadczyła w życiu przemocy ze strony partnera lub byłego partnera; to blisko 6,5 miliona.

W tym prawie 3 mln kobiet padły ofiarą przemocy fizycznej lub seksualnej. Ponadto wiele doświadczyło przemocy psychicznej i ekonomicznej. Z badania wynika, że tylko 16 proc. kobiet, które doświadczyły przemocy fizycznej lub seksualnej, zgłosiło to na policję.

ŁAŃCUCHY | Plagą, zwłaszcza wśród nastolatków, staje się dzisiaj przemoc cyfrowa. – Czasem partner wydaje zgodę na zdjęcia, które publikujemy w mediach społecznościowych, albo kontroluje nasz telefon, bo ma do niego hasło. To także rodzaje przemocy cyfrowej – mówi Ana Bella.

– Nazywam to niewidzialnymi łańcuchami. Zaczyna się niewinnie. Kontrola telefonu. Potem teksty: „Wolę, byś spinała włosy, po co się malujesz. Lepiej wyglądasz bez makijażu. Twoja rodzina i przyjaciele mnie nie lubią, nie spotykajmy się z nimi". Zanim się obejrzysz, jesteś w pajęczynie. Nie dostrzegasz tej kontroli, mylisz ją z miłością. Potem przechodzi się często do przemocy psychicznej i fizycznej – mówi María José Ferrero.

POTEM | María uważa, że najtrudniejsze w walce z przemocą wobec kobiet jest dalsze życie po tym, jak zdecydujesz się zgłosić sprawę na policję. – Nikt nie przygotowuje cię na to, co nadejdzie, a potem jest tylko trudniej. W instytucjach, które mają pomagać, brakuje finansowania, psychologów – wylicza.

Największym wyzwaniem są jednak mieszkania: po opuszczeniu tzw. domu tymczasowego kobieta często nie ma gdzie się podziać. – W Madrycie, wychodząc z domu wsparcia dla kobiet z pięciorgiem dzieci, możesz otrzymać 486 euro, za co trudno wynająć nawet pokój w stolicy. To dlatego wiele kobiet w ogóle nie zgłasza przemocy – ocenia María.

WYROK | Zmiany widać w sądach. We wrześniu 2025 r. sąd w Las Palmas de Gran Canaria wydał precedensowy wyrok, uznając po raz pierwszy w Hiszpanii zabicie psa przez mężczyznę za *violencia vicaria* – formę przemocy wobec partnerki, poprzez szkodzenie jej bliskim.

Sędzia orzekł, że mężczyzna celowo zrzucił czworonoga z klifu, z zamiarem wyrządzenia krzywdy psychicznej swojej byłej partnerce. Zostało to potraktowane jako element przemocy psychicznej i przemocy ze względu na płeć. Sprawca został skazany na 12 miesięcy i jeden dzień więzienia.

KOBIETA SZCZĘŚLIWA | 55-letnia María José Ferrero dwa lata temu wydała książkę „Superando las Sombras para Abrazar la Vida" (Przezwyciężając cienie, by objąć życie).

– Nie zatrzymałam się na byciu ofiarą i chcę, aby inne kobiety robiły to samo. Napisanie tej książki było dla mnie *katharsis*, oczyszczeniem. Odkryłam mój wewnętrzny potencjał – mówi mi María José Ferrero.

Teraz znów jest szczęśliwa, choć na nową miłość czekała prawie siedem lat. I choć wciąż spłaca długi. Jest dziennikarką radiową. Pracuje nad drugą książką i wraz z innymi ocalałymi kobietami prowadzi szkolenia i warsztaty.

Ana Bella przygotowuje się do świętowania 20-lecia swej fundacji. Dziś jest szczęśliwą mężatką. Film animowany na podstawie jej historii pt. „Bella" nominowano do Nagrody Goya, hiszpańskich Oscarów. Pod koniec stycznia został wyróżniony przez Andaluzyjską Akademię Filmową.

María zachęca kobiety do zgłaszania przemocy na policję: – Nie wierzcie, że ktoś się zmieni i przestanie was ranić. Straciłam rodzinę, przyjaciół i zostałam z długami. Ale to wszystko można odbudować. Nikt nie przywróci wam jednak straconego czasu.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

REKLAMA

Fundacja Dorastaj z Nami

www.dorastajznami.org

Dla Ciebie zginął żołnierz, strażak, policjant, a dla nich tata

Pomóż, by chciało im się żyć

Przekaż 1,5% podatku

KRS 0000 361265

eprasa.pl c90e1c6c76

PIROSCHKA VAN DE WOUW / REUTERS / FORUM

33-letni miliarder Michal Strnad (z lewej) podczas debiutu giełdowego jego koncernu zbrojeniowego. Amsterdam, 23 stycznia 2026 r.

Bogaty jak Czech

KRZYSZTOF DĘBIEC

MILIARDERZY | Majątek tej czwórki stanowi równowartość jednej piątej całego czeskiego PKB. Jak doszli do takich fortun, niespotykanych w innych krajach Europy Środkowej? Oraz co to mówi o Czechach?

Ma 33 lata i właśnie trafił na czołówki mediów, po wymarzonym debiucie koncernu zbrojeniowego Czechoslovak Group na amsterdamskiej giełdzie. Michal Strnad to dziś najbogatszy człowiek w Europie Środkowej. Jego majątek przewyższa fortunę dziesięciu najzamożniejszych Polaków razem wziętych.

Strnad jest też w siódmej dziesiątce listy najbogatszych ludzi świata (według agencji Bloomberg). Wśród pierwszych czterystu osób z tej listy jest również troje innych obywateli Czech.

Mister 155 milimetrów

„Im gorzej, tym lepiej" – tak czeskie media relacjonowały informacje o sukcesie Strnada. Nie jest tajemnicą, że atak Putina na Ukrainę – największy od 1945 r. konflikt w Europie – ma też beneficjentów: złoty czas przeżywają firmy zbrojeniowe.

Zwłaszcza te, które odpowiadają na potrzeby Ukrainy. Jak Czechoslovak Group (CSG): koncern ma w Czechach zakłady, które naprawiają posowiecki sprzęt, a na Słowacji wytwarza amunicję artyleryjską. Stał się kluczowy dla projektu poprzedniego rządu Petra Fiali: pod koniec 2025 r., po 20 miesiącach realizacji tzw. czeskiej inicjatywy amunicyjnej, grupa CSG odpowiadała za prawie dwie trzecie dostaw. Jedna z gazet nazwała Strnada „Mister 155 mm" (nawiązując do kalibru pocisków).

Kilka danych, które pokazują skalę sukcesu Strnada. Około 20 mld dolarów, o które zwiększył się jego majątek w ciągu roku, stawia go w czołówce światowej – wyraźnie jedynie za Elonem Muskiem, ale już w jednym szeregu z takimi potentatami jak Larry Page i Sergey Brin (współzałożyciele Google'a) i Mark Zuckerberg (właściciel spółki Meta).

Strnad to także trzeci najbogatszy człowiek świata w kategorii „do lat 40" – tu ustępuje tylko Lukasowi Waltonowi (wnuk założyciela sieci marketów Walmart w USA) i Markowi Mateschitzowi (austriacki właściciel 49 proc. udziałów w Red Bullu). Walton w tym roku skończy 40 lat i Strnad wkrótce będzie drugi.

CSG: korzenie sukcesu

Biznes Strnada rósł zwłaszcza ostatnio. W latach 2021-24 przychody grupy CSG zwiększyły się siedmiokrotnie, a zysk

eprasa.pl c90e1c6c76

operacyjny dziesięć razy. Debiut giełdowy, który miał miejsce 23 stycznia, podniósł wartość holdingu o jedną trzecią. Jego kapitalizacja rynkowa stała się wtedy wyższa niż Orlenu, dotąd lidera w Europie Środkowej. Strnad to pierwszy Czech w historii, którego majątek (grubo ponad 30 mld dolarów) mógłby pokryć wszystkie wypłacane w tym kraju w ciągu roku emerytury i renty.

Historia CSG to przykład udanej sukcesji i rozwoju, w którym wykorzystano okazje. Zaczyna się w 1995 r., gdy 23-letni Jaroslav Strnad, ojciec Michala, założył spółkę Excalibur Army. Był to czas zmian w krajach aspirujących do NATO – w 1999 r. do Sojuszu dołączyły Czechy, Polska i Węgry. Firma nie dostarczała jednak nowych technologii – skupowała zużyty sprzęt i sprzedawała na złom lub wydobywała z niego części. Czasem nabyte czołgi udawało się upłynnić w całości w Afryce i na Bliskim Wschodzie.

Strnad senior zyskał opinię „handlarza złomem", ale z czasem poszedł dalej: kupił halę po zakładzie remontowym sprzętu wojskowego, odnowił i zaczął działalność naprawczą.

Cezurą był 2013 r., gdy przejął spółkę Tatra Trucks – bankruta, ale z perspektywą wznowienia produkcji ciężarówek wojskowych i cywilnych. Kolejny przełom to 2015 r.: ojciec powierzył synowi zarządzanie holdingiem Excalibur, zawiązanym rok wcześniej. Syn miał 23 lata – tyle co ojciec, gdy zaczynał biznes.

Okazja Michala Strnada

Decyzja 45-letniego Jaroslava Strnada budziła w Czechach pytania. Niektóre media spekulowały, że miał trudności ze zdobyciem poświadczenia bezpieczeństwa po zaostrzeniu przepisów, i że dzięki zmianie właściciela grupie CSG łatwiej było zdobywać państwowe kontrakty.

Z Michalem jako prezesem koncern zmienił nazwę na Czechoslovak Group. To Strnad junior, który po dwóch latach przejął też kontrolę właścicielską, odpowiada za odważne decyzje o ekspansji koncernu na Zachód (w tym duże przejęcia firm we Włoszech i USA). A także za wykorzystanie okazji, którą stał się atak Putina na Ukrainę.

Choć młody miliarder nie ma wyższego wykształcenia, ma – jak piszą czescy komentatorzy – „biznes we krwi". Już od kiedy skończył 15 lat, był wdrażany w działalność firmy. W jej halach miał spędzać nawet wakacje.

Najbogatsza kobieta Europy Środkowej

Strnad nie jest przypadkiem odosobnionym. Z grona trzynastu państw Inicjatywy Trójmorza w „pięćsetce" Bloomberga jest siedem osób, w tym aż czworo Czechów (poza nimi wspomniany już Austriak i dwie Greczynki). Z Czech są to także: Renáta Kellnerová (miejsce 147.), Daniel Křetínský (miejsce 310.) i Karel Komárek (miejsce 315.).

Kellnerová dysponuje majątkiem stanowiącym nieco ponad połowę fortuny Strnada, ale większym niż dwukrotność majątku najzamożniejszego Polaka, Michała Sołowowa. Jest najbogatszą kobietą Europy Środkowej i piątą najbogatszą kobietą w całej Europie (za dwoma Francuzkami, Greczynką i Niemką), a także siedemnastą najzamożniejszą kobietą świata.

58-letnia dziedziczka imperium biznesowego, który zbudował jej mąż Petr (zmarły w 2021 r. w wypadku śmigłowca na Alasce), zdążyła już odcisnąć na nim własne piętno. Należąca do niej grupa PPF wycofała się w ostatnich latach z Chin i Rosji, gdzie Petr Kellner był aktywny, mierząc w grę w globalnej biznesowej ekstraklasie. Teraz 53 proc. obrotów przypada na Czechy, a grupa unika ryzykownych inwestycji.

Biznesy Renáty Kellnerovej

Grupa PPF dywersyfikuje dziś działalność, inwestując w spółki biotechnologiczne i e-commerce – obok tradycyjnej aktywności w finansach, nieruchomościach i telekomunikacji. W zapomnienie odchodzą negatywne skojarzenia, towarzyszące firmom Kellnera w latach 90. XX w. i pierwszych dwóch dekadach wieku XXI, a związane z niejasnościami wokół tzw. kuponowej prywatyzacji (pierwotnie PPF było skrótem od „Pierwszy Fundusz Prywatyzacyjny"), pożyczkami na wysoki procent i niejasnymi kontaktami z politykami.

Ważną rolę w kreowaniu nowej struktury grupy PPF miał odegrać 53-letni Tomáš Otruba, prawnik i inwestor (i w wolnych chwilach himalaista). Prywatnie z czasem stał się nowym mężem Renáty Kellnerovej.

Grupa PPF jest też największym akcjonariuszem polskiej spółki InPost: ma 28,75 proc. jej udziałów (po zapowiedzianych niedawno zmianach ma zachować 10 proc.). Z kolei Warszawiacy, wsiadając do metra, mogą korzystać z taboru produkowanego w Pilznie – w 2022 r. na warszawskie tory wyjechał pierwszy z 37 zamówionych składów. Ich dostawcą jest Škoda Group, która od 2017 r. należy do PPF.

Mimo zbieżności nazwy i loga z autami z grupy VW, są to różne firmy. Nieporozumienia, do jakich tu może dochodzić, wkrótce się zakończą: w 2022 r. PPF i VW zawarły umowę, na mocy której ta pierwsza zrzekła się, za odszkodowaniem, praw do logo i nazwy Škoda, począwszy od 2030 r. (w polskim kontekście warto też wspomnieć o wsparciu dla powodzian w 2024 r.: grupa PPF przesłała na zbiórkę w naszym kraju 2 mln euro).

Daniel Křetínský: król energetyki

W przeszłości kilka wspólnych projektów z Petrem Kellnerem rozwijał Daniel Křetínský, półtora raza bogatszy od najbardziej zamożnego Polaka. Przy okazji rozmów o interesach poznał córkę Kellnera – Annę. Została jego partnerką życiową i była nią jeszcze w 2021 r., gdy reprezentowała Czechy na olimpiadzie w Tokio w jeździectwie. Křetínský był wtedy typowany do przejęcia schedy po założycielu PPF, ale relacja jego i Kellnerovej nie przetrwała próby czasu.

50-letni Křetínský, prawnik z wykształcenia, jest coraz bardziej rozpoznawalną postacią także w Europie Zachodniej. Jego główne pole aktywności to energetyka, a swoje aktywa skupia w holdingu EP Group. To największa kapitałowo czeska grupa pod względem obrotów (choć tylko 7 proc. z nich przypada na Czechy), zysku i liczby pracowników.

Křetínský przez lata stawiał na to, że transformacja energetyczna zajmie więcej czasu, niż chcieliby brukselscy architekci polityki energetyczno-klimatycznej Unii. Za bezcen kupował aktywa węglowe np. w Niemczech, trafnie zakładając, że dostanie wsparcie od państwa na podtrzymanie działalności, a później rekultywację. Dziś pozbywa się jednak węglowych udziałów, a skupia na energetyce gazowej i produkcji baterii.

„Czeski sfinks"

Křetínský jest też aktywny w przejęciach medialnych i sportowych. W Czechach ma największy tytuł prasy bulwarowej ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ („Blesk”), a od ponad dwóch dekad szefuje czołowej piłkarskiej drużynie kraju, Sparcie Praga. To pole, na którym od niedawna rywalizuje ze Strnadem – ten w 2025 r. stał się właścicielem Viktorii Pilzno.

W 2019 r. Křetínský wywołał burzę we Francji: kupił mniejszościowe udziały w „Le Monde”, najpoczytniejszym dzienniku opiniotwórczym (sprzedał je w 2023 r.). Francuski dziennikarz napisał wtedy jego biografię pt. „Mister K”. To aluzja do Józefa K. z „Procesu” Kafki, autora instynktownie kojarzonego z Czechami. Miało to budować aurę tajemniczości. Podobnie jak przydomek „czeski sfinks”, używany wobec niego w mediach anglojęzycznych.

Określenia te mogą świadczyć o stereotypowym patrzeniu na obszar za dawną „żelazną kurtyną”. To jednak się zmienia – także za sprawą takich ludzi jak Křetínský. Na Wyspach jest on dziś kojarzony jako właściciel głównej spółki pocztowej Royal Mail i akcjonariusz klubu futbolowego West Ham United. Media biznesowe stawiają go za przykład wizjonerstwa.

Karel Komárek: od ropy...

Nasz kolejny bohater, 56-letni Karel Komárek, pochodzi z Hodonína – miasta, które Czesi kojarzą z Tomášem Garrigue'em Masarykiem, jedną z najważniejszych postaci ich historii. Pierwszy prezydent Czechosłowacji (z lat 1918-35) nie mieszkał tu już jednak, gdy na początku XX w. teren ten stał się kolebką wydobycia ropy w ówczesnych Czechach, wtedy prowincji monarchii Habsburgów.

Wprawdzie dziś południowe Morawy straciły pod tym względem na znaczeniu, ale Komárek zdążył zdobyć przydomek „ropnego magnata”. Dziś jednak pływa już po wodach globalnych: czeskie spółki odpowiadają tylko za 8 proc. obrotów jego holdingu KKCG.

Z czasem Komárek zróżnicował swą działalność, wcześniej skupioną na energetyce. Tym zajmuje się wciąż spółka Morawskie Kopalnie Ropy Naftowej (MND), należąca do holdingu. Nazwa jest tradycyjna, ale aktywności szerokie: nie tylko wydobycie ropy i gazu, lecz także produkcja energii z OZE, odwierty geotermalne, składowanie dwutlenku węgla, produkcja zielonego wodoru, magazynowanie energii. Morawskie Kopalnie są obecne w dziewięciu krajach Europy (najbardziej aktywne są w Czechach, Niemczech i Ukrainie).

Państwo nie było rywalem czeskich miliardów, zostawiało biznes „ręce rynku” w większej mierze niż w Polsce. A może to zebrany kapitał ułatwiał oligarchom wpływanie na politykę?

...do loterii i filantropii

Drugi filar działalności Komárka to branża loteryjna, skupiona w grupie Allwyn. Ma ona aktywa w Czechach, Wielkiej Brytanii (jest tu operatorem głównej loterii), USA, Austrii, Grecji, Włoszech. Od niedawna jej logo widnieje na bolidach McLaren w Formule 1.

W przeszłości Komárek współpracował z Gazpromem, co wystawiło go na krytykę. Po inwazji Rosji na Ukrainę przekonuje jednak, że zerwał te relacje, angażując się także w projekty na rzecz Ukrainy. Uwagę zwraca zwłaszcza inicjatywa Ark for Ukraine, stawiającą sobie za cel ochronę tamtejszego dziedzictwa kultury (w zbiórki w ramach tego projektu angażował się były brytyjski premier Boris Johnson).

Komárek w ogóle wyróżnia się filantropijnym rozmachem. Od kilkunastu lat organizuje jeden z najważniejszych festiwali muzyki klasycznej w regionie Dvořákova Praha (jest jego pomysłodawcą). Wspiera młode talenty muzyczne, a ostatnio zaangażował się finansowo w renowację bazyliki św. Jerzego na Hradczanach (w wieku X była to siedziba pierwszego czeskiego klasztoru, którego przeoryszą była Mlada, siostra Dobrawy, żony Mieszka I).

Niezwykła koncentracja

Majątek tych czworga stanowi równowartość jednej piątej PKB Czech (analogiczny wskaźnik dla Polski i Wielkiej Brytanii wynosi 2 proc., Niemiec 3 proc., Węgier 4 proc., a Słowacji 6 proc.). A przecież prócz nich w Czechach są jeszcze inni potentaci – jak magnat węglowy Pavel Tykač czy premier Andrej Babiš (branża chemiczna i rolno-spożywcza, numer siódmy na czeskiej liście „Forbesa”).

Skąd taka koncentracja majątku akurat w Czechach? Jedna z możliwych odpowiedzi to wdrożenie w czasach transformacji szeroko zakrojonej prywatyzacji kuponowej – jednym z jej celów było wszak uniknięcie sprzedaży państwowego majątku inwestorom zagranicznym, wówczas znacznie zamożniejszym niż ci krajowi.

To przypadek Kellnera: aktywność na tym polu była jego pierwszym krokiem w biznesie. Na późniejszym etapie on i jemu podobni mogli liczyć na relatywną życzliwość kolejnych rządów – nie podejmowano znaczących prób dekoncentracji fortun czy obciążania specjalnymi podatkami. Państwo nie było ich rywalem, gdyż według dominującej doktryny zostawiało biznes „niewidzialnej ręce” – w znacznie większej mierze niż w Polsce. A może to szybko zgromadzony kapitał ułatwiał krajowym oligarchom wpływanie na rzeczywistość polityczną? Ale z pewnością nie jest to jedyne wytłumaczenie.

Szukanie własnej niszy i wpisanie się w potrzeby chwili – to Strnad i Křetínský – także odegrało swoją rolę. Dla tego ostatniego, pochodzącego z rodziny brneńskich profesorów, stawianie sobie ambitnych celów było z pewnością czymś naturalnym. Ale też nie odbiera mu to zasług za dobre strategicznie (choć nieoczywiste) decyzje biznesowe.

Następcy

Czechy to też w końcu kraj z silną bazą przemysłową, tradycjami na tym polu i rozwiniętym kształceniem technicznym. Z tego bogactwa korzystają teraz PPF czy CSG. Tytuł „inżyniera” waży w Czechach więcej niż nad Wisłą, a jego dumni posiadacze chętnie eksponują go np. na drzwiach swoich mieszkań. Z przedstawionego grona miliarderów takie wykształcenie ma Komárek.

W każdym razie, po epoce socjalizmu wielcy czescy przedsiębiorcy sprzed lat – jak obuwnik Tomáš Baťa, prekursor zbrojeniówki Emil Škoda czy założyciele największego producenta aut w Austro-Węgrzech Václav Laurin i Václav Klement – doczekali się następców.

© KRZYSZTOF DĘBIEC

Autor jest doktorem ekonomii, ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich ds. Czech i Słowacji, wcześniej pracował w ambasadach w Pradze i Brukseli.

eprasa.pl c90e1c6c76

BEN STANSALL / PA / EAST NEWS

Larry, Główny Myszołap, na posterunku w sali posiedzeń rządu przy Downing Street 10.

Koty z Downing Street

PATRYCJA BUKALSKA

WIELKA BRYTANIA | Zamieszkujący oficjalnie siedzibę brytyjskiego premiera kot Larry zaczął szesnasty rok urzędowania jako Główny Myszołap.

Jest biało-szary, pręgowany. Na Downing Street, pod numerem 10, ma rekordowy staż pracy: dłuższy niż szefowie rządów, którym towarzyszy. Od lutego 2011 r., gdy wprowadził się pod ten znany londyński adres, premierów było sześciu: od konserwatysty Davida Camerona po obecnego laburzystę Keira Starmera. Przetrwał wszystkich, a także ich psy, koty, żony i dzieci. Kto wie, czy – zważywszy na złe notowania rządu – nie doczeka się siódmego premiera.

RZĄDOWA POSADA | Choć Larry jest dziś najbardziej znanym kotem w Wielkiej Brytanii, początki jego życia owiane są tajemnicą. Został adoptowany ze schroniska Battersea Dogs & Cats Home w Londynie ze względu na swój instynkt łowiecki. Otrzymał oficjalny tytuł Myszołapa i zadanie: uporać się z gryzoniami na Downing Street.

O tym, że w brytyjskich urzędach to problem, mógł zobaczyć każdy. Niedawno, na początku lutego, szefowa Partii Konserwatywnej Kemi Badenoch udzielała wywiadu w swoim biurze w budynku parlamentu – i nagle wzdłuż ściany za jej plecami przebiegła mysz.

Gdy Larry dostał rządową posadę, był już dorosły, teraz może mieć więc nawet 19 lat. Sporo jak na kota. Ale nic nie wskazuje, by nie wywiązywał się z obowiązków, może tylko trochę zwolnił tempo. Ściga nie tylko myszy – w 2022 r. słynna była jego potyczka z lisem przed siedzibą premiera.

Jego codzienne zadania są opisane na stronie rządowej: witanie gości, sprawdzanie systemu bezpieczeństwa i testowanie antycznych mebli jako miejsca do drzemki. Szczególnie to pierwsze jest istotne – nie ma chyba zagranicznego przywódcy odwiedzającego Downing Street, który nie chciałby mieć zdjęcia z Larrym. Ten nie zawsze odwzajemnia zainteresowanie, ale miał polubić np. byłego prezydenta USA Baracka Obamę.

KAWAŁ HISTORII | Relacje z urzędującymi premierami bywają różne. Kiedyś przed wejściem do budynku nie pozwolił się pogłaskać premierce Liz Truss, która zresztą zabawiła na Downing Street rekordowo krótko, kilka tygodni. Podobno za Larrym nie przepadała Theresa May; wolała psy. Za to Cameron żarliwie zaprzeczał w parlamencie plotkom, że nie lubi Larry'ego i prezentował żartobliwie jako dowód swoje zdjęcie z nim (faktycznie, Larry mościł mu się na kolanach). Larry i premierzy – to kawał brytyjskiej historii.

Gdy w tych dniach brytyjskie media celebrowały 15-lecie panowania Larry'ego na Downing Street 10, pojawiła się też smutna informacja: odszedł kot Palmerston, czarne kocisko, które dobrych kilka lat oficjalnie rezydowało tuż za rogiem, w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Tak jak Larry, z zadaniem rozwiązania problemu gryzoni. Podobnie jak Larry, Palmerston został adoptowany ze schroniska. Oba koty za sobą, delikatnie mówiąc, nie przepadały, a nawet, bywało, ze sobą walczyły.

W 2020 r. Palmerston przeszedł na oficjalną emeryturę, a w 2025 r. objął, można rzec, pół etatu w rządowej placówce na Bermudach. Tam zmarł 12 lutego.

KOCI LOKATORZY | Palmerston i Larry to jedne z wielu kotów w brytyjskiej polityce. Pierwszym rządowym myszołapem, którego imię zapisano, był Peter (w 1929 r.). Z kolei Nelson zamieszkał z Winstonem Churchillem na Downing Street w 1940 r. Na początku musiał się zmierzyć z Bobem, pupilem ustępującego premiera Neville'a Chamberlaina. Churchill nadał Bobowi przydomek „Munich" (ang. Monachium), trochę złośliwie nawiązując tym do podpisanego przez Chamberlaina układu monachijskiego, który w jego intencji miał zapobiec nowej wojnie światowej.

Już wtedy życie kocich mieszkańców Downing Street, Boba (Municha) i Nelsona, przyciągało uwagę prasy i Brytyjczyków. Potem sławę zyskiwały kolejne, np. Humphrey, który na Downing Street przyplątał się za czasów Margaret Thatcher i pozostał tam w roli myszołapa przez niemal 10 lat. Jego przejście na emeryturę po objęciu władzy przez Partię Pracy wywołało lawinę spekulacji co do jego losu i ostrą wymianę zdań w parlamencie.

Premier Starmer ma dwa własne koty: JoJo i Prince, ale pozostają one w prywatnej części rezydencji. W tej oficjalnej niepodzielnie rządzi Larry. Jego pozycja jest pewniejsza niż przywódców rządów, którzy przychodzą i odchodzą. W sondażach popularności też bije ich wszystkich na głowę. ©℗

eprasa.pl c90e1c6c76

PRAWDA | WOLNOŚĆ SŁOWA
NIEZALEŻNOŚĆ | RZETELNOŚĆ
WIARYGODNOŚĆ | DIALOG
MIŁOŚĆ SPOŁECZNA | WOLNOŚĆ
DEMOKRACJA | ZNACZENIE
AUTENTYCZNOŚĆ | WOLNA
CZŁOWIEKA | DZIEDZICTWO
PAMIĘĆ | ODPOWIEDZIALNOŚĆ
SPOŁECZEŃSTWO | UCZCIWOŚĆ
GODNOŚĆ | SZACUNEK | DOBRO
NAUKA | KULTURA | EDUKACJA

1,5%

To, co ważne, zapisaliśmy w statucie Fundacji.
To, co możliwe, zależy od Waszego wsparcia.
Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

OPP

eprasa.pl c90e1c6c76

Przedstawicielki firm biorących udział w programie Fundacji Integralia „Sprawny Staż" odebrały specjalne certyfikaty. Od lewej: Aleksandra Jóźwiak-Bosy, Bayer; Magdalena Galant-Bielecka, Accenture Poland; Agnieszka Zborowska, Fundacja Grupy ERGO Hestia Integralia; Małgorzata Chrzanowska-Rokacz, LPP; Natalia Feliga, mBank; Magdalena Moszkowska, Siemens Healthineers. Sopot, 12 lutego 2026 r.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK SPECJALNY
„TP" 09/2026

Milion niewykorzystanych talentów

MICHAŁ SOWIŃSKI

Raport przygotowany przez Fundację Grupy ERGO Hestia Integralia odsłania skalę marnowanego potencjału na polskim rynku pracy. To oparta na danych diagnoza oraz konkretne wnioski dla firm i decydentów.

W Polsce żyje ponad 5 milionów osób z niepełnosprawnościami – na rynku pracy aktywna jest jedynie część z nich. Luka zatrudnieniowa między osobami z niepełnosprawnościami a ogółem społeczeństwa jest w Polsce jedną z najwyższych w UE. Szczególnie uderzające jest to w kraju, który od lat mówi o brakach kadrowych i demografii jako o największych wyzwaniach nadchodzących dekad. To liczby, obok których trudno przejść obojętnie.

Premiera raportu Fundacji Grupy ERGO Hestia Integralia „Milion niewykorzystanych talentów" była próbą zmierzenia się z tym paradoksem w sposób rzeczowy i konkretny. Zamiast opowieści o dobrej woli i wrażliwości, pojawiły się konkretne pytania: dlaczego tak wiele osób pozostaje poza rynkiem pracy i co sprawia, że firmy częściej wybierają pozornie łatwiejsze rozwiązania niż realne otwarcie się na niezwykły potencjał tej grupy pracowników? Dlatego dyskusja szybko przeniosła się z ogólnych deklaracji na poziom systemowych rozwiązań – od uprzedzeń i obaw po mechanizmy, które w praktyce utrwalają wykluczenie.

Systemowa luka

Diagnoza przedstawiona przez Fundację Integralia była brutalnie prosta: „Nie mówimy o niszy. Mówimy o milionie osób, które mogłyby pracować" – podkreślały Dagmara Senda i Daria Uljanicka, prezentujące główne tezy raportu. Skala problemu nie sprowadza się do kilku punktów procentowych. To systemowa luka, która w warunkach rynku pracownika zaczyna być widoczna jak nigdy wcześniej.

Przy niskim bezrobociu i coraz trudniejszych rekrutacjach mówimy o realnym zasobie kompetencji, z którego firmy ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

wciąż korzystają w ograniczonym stopniu. Część przedsiębiorstw woli zapłacić obowiązkową składkę na Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych – którą ponoszą firmy niespełniające ustawowego wskaźnika zatrudnienia – niż zmieniać swoje procedury rekrutacyjne i realnie otwierać się na osoby z niepełnosprawnościami. Instrument, który miał mobilizować do zatrudniania, bywa traktowany jako wygodne rozwiązanie zastępcze.

Autorki raportu zwracały uwagę, że bariera rzadko ma charakter wyłącznie architektoniczny. Oczywiście schody bez windy czy brak odpowiednich toalet potrafią skutecznie uniemożliwić normalne funkcjonowanie (tylko 7-10 proc. osób mających trudności z poruszaniem się używa wózka). Ale dużo częściej przeszkodą okazują się fałszywe wyobrażenia. Obawy o częste zwolnienia lekarskie, przekonanie, że dostosowania logistyczne będą kosztowne i skomplikowane, wątpliwości, czy dana osoba odnajdzie się w zespole.

Stereotypy i selekcja

Podczas prezentacji wielokrotnie podkreślano, że lęki te nie mają potwierdzenia w danych. Statystyki nie potwierdzają wyższej absencji ani niższej efektywności, a większość tzw. racjonalnych usprawnień okazuje się prostsza i tańsza, niż się powszechnie zakłada. Mimo to stereotypy wciąż działają na nas silniej niż rzetelna analiza.

Efekt jest widoczny już na etapie rekrutacji. Kandydaci z niepełnosprawnościami rzadziej są zapraszani na rozmowy i częściej odpadają na pierwszym etapie selekcji. Nie dlatego, że brakuje im kompetencji, ale dlatego, że system filtruje ich wcześniej – zanim pojawi się realna szansa na sprawdzenie umiejętności. To właśnie ten niewidoczny mechanizm – jak przekonywały autorki raportu – najczęściej sprawia, że osoby z niepełnosprawnościami wciąż pozostają poza rynkiem pracy.

W czasie spotkania kilkakrotnie wracało stwierdzenie, żeby nie traktować tego problemu wizerunkowo czy nawet w kategoriach etycznych (jakkolwiek jest to jak najbardziej wskazane). Chodzi o to, że zatrudnianie osób z niepełnosprawnościami nie ma być aktem dobrej woli, lecz elementem rozsądnej strategii. W warunkach niedoboru pracowników i rosnącej konkurencji pytanie brzmi już nie „czy warto?", ale „czy stać nas na to, by ten potencjał nadal pomijać?".

DLACZEGO WARTO SIĘGNĄĆ PO RAPORT MILION NIEWYKORZYSTANYCH TALENTÓW?

- *Pokazuje skalę problemu na twardych danych liczbowych.*

  429 tys. pracujących wobec ponad miliona osób z orzeczeniem w wieku produkcyjnym. Wskaźnik aktywności zawodowej wynosi 33,1 proc., podczas gdy w całym społeczeństwie – 73,4 proc. Różnica sięga 42,8 punktu procentowego. To strukturalna luka na rynku pracy.

- *Rozbiera na czynniki pierwsze mechanizm składek na PFRON.*

  Pokazuje, dlaczego część firm wybiera opłacanie składki na PFRON zamiast zwiększania zatrudnienia osób z niepełnosprawnościami.

- *Identyfikuje „siedem grzechów głównych" pracodawców.*

  Siedem najczęstszych barier to: mit wysokich kosztów, obawy o absencję i efektywność, wątpliwości co do dopasowania do zespołu, brak wiedzy o wsparciu oraz traktowanie wymaganego 6-procentowego zatrudnienia jako obowiązku do „odkupienia" składką na PFRON – zamiast realnej zmiany. Do tego dochodzą stereotypy i brak doświadczenia.

- *Obala mit wysokich kosztów dostosowań.*

  Większość racjonalnych usprawnień okazuje się prosta i niedroga. Raport pokazuje, że problemem jest często wyobrażenie o trudnościach, a nie ich realna skala.

- *Wskazuje, gdzie naprawdę zaczyna się wykluczenie.*

  Problem nie zawsze tkwi w architekturze – często w procedurach. Od ogłoszenia o pracę, przez preselekcję kandydatów, po pytania zadawane podczas rozmów. To konkretna wskazówka dla działów HR, gdzie szukać pierwszych zmian.

- *Pokazuje realne tempo zmian.*

  A jest ono dziś zbyt wolne, by zrealizować cele zapisane w strategii do 2030 r. Oznacza to konieczność zdecydowanego przyspieszenia działań.

- *Łączy diagnozę z rekomendacjami.*

  Od poziomu zarządu i decyzji strategicznych, przez spójną politykę firmy, po konkretne procesy: sposób formułowania ogłoszeń, rekrutację, onboarding, organizację pracy i codzienną kulturę zespołu.

Różnorodność poznawcza

Drugą część spotkania poświęcono neuroróżnorodności. Kari Goldyn – biolożka i psycholożka specjalizująca się w tym obszarze – zwracała uwagę, że w rozmowie o zatrudnianiu często koncentrujemy się na formalnych kategoriach i wskaźnikach, pomijając różnice w sposobie myślenia i pracy. Jej teza była prosta: różnorodność poznawcza to fakt, z którym organizacje muszą nauczyć się funkcjonować. To kolejne wyzwanie rynku pracy, ale też realny potencjał, który można wykorzystać – pod warunkiem, że firmy są gotowe zmienić sposób organizowania pracy.

Goldyn przypominała, że osoby neuroatypowe – z ADHD, w spektrum autyzmu, z dysleksją czy innymi różnicami rozwojowymi – stanowią znaczącą część populacji. Pracują na co dzień w wielu zespołach, choć nie zawsze otwarcie mówią o swoich potrzebach. Często uczą się dopasowywać do środowiska zaprojektowanego pod jeden dominujący model działania: szybkie tempo, wielozadaniowość, nieustanną dostępność i komunikację w otwartej przestrzeni. – Różnorodność poznawcza nie jest modą – podkreślała. – To naturalna cecha ludzkich społeczności, która jest z nami od zawsze, tylko od niedawna nauczyliśmy się ją odpowiednio nazywać i diagnozować.

Jednym z pojęć, które wybrzmiało najmocniej, był „profil kolczysty". Oznacza on nierównomierny rozkład kompetencji – bardzo silne strony w jednym obszarze i wyraźne trudności w innym. Osoba może mieć ponadprzeciętną zdolność analizy danych, świetną pamięć do szczegółów czy być wyjątkowo kreatywną, a jednocześnie doświadczać problemów z organizacją czasu, pracą w hałaśliwym otoczeniu czy nieformalną komunikacją. W tradycyjnym modelu rekrutacji takie różnice bywają traktowane jako wada. W podejściu uwzględniającym neuroróżnorodność stają się informacją o tym, jak projektować zadania i środowisko pracy.

Goldyn zwracała uwagę, że wiele trudności, które przypisuje się osobom neuroatypowym, wynika z niedopasowa-

eprasa.pl c90e1c6c76

Agnieszka Szamal, specjalistka w Departamencie Marketingu i PR w ERGO Hestii

System 6 proc. i składki

Ponad połowa firm nie osiąga ustawowego progu 6 proc. zatrudnienia osób z niepełnosprawnościami. Jeśli firma nie spełnia tego wymogu, płaci składkę na PFRON – 40,65 proc. przeciętnego wynagrodzenia za każdy brakujący etat. Część wskaźnika 6 proc. bywa „osiągana" przez pracowników, którzy nabyli niepełnosprawność już w trakcie zatrudnienia.

nia warunków. Niejasne polecenia, brak struktury, ciągłe przerywanie pracy czy nadmiar bodźców mogą utrudniać funkcjonowanie. Jednocześnie w jasno określonych rolach, z przewidywalnym rytmem i klarownymi oczekiwaniami, te same osoby często osiągają bardzo dobre wyniki. – Nie chodzi o obniżanie wymagań – zaznaczała. – Chodzi o to, by stworzyć warunki, w których konkretna osoba może wykorzystać swoje mocne strony.

W tym ujęciu neuroróżnorodność przestaje być kategorią „specjalną", a staje się elementem umiejętnego zarządzania kadrami. Różnice w stylach myślenia mogą wzmacniać zespoły, jeśli są świadomie uwzględniane. W przeciwnym razie pozostają źródłem napięć i nieporozumień. Wystąpienie Goldyn poszerzyło perspektywę całej dyskusji. Pokazało, że dostępność w pracy to coś więcej niż techniczne dostosowanie stanowiska. Zaczyna się od prostego założenia: nie ma jednego, uniwersalnego sposobu funkcjonowania w zespole.

I zaczęły się schody

Po danych, wskaźnikach i analizach na scenie pojawiła się Agnieszka Szamal, która od lat pracuje w ERGO Hestii. Opowiadała o swoim wejściu na rynek pracy jako o historii bardzo typowej dla osoby z niepełnosprawnością ruchową. „To było dla mnie oczywiste. Idę do pracy, trzeba się utrzymać" – mówiła o decyzji podjętej zaraz po studiach. Nie było wahania ani pytania, czy w ogóle powinna próbować. Szkoła, studia w Gdańsku, akademik, wyprowadzka z domu. Samodzielność była czymś oczywistym.

Pierwsze rozmowy kwalifikacyjne wspomina jako stresujące – ale tak bywa zawsze, gdy jest się młodym i na początku kariery. Szukała pracy, która nie będzie wymagała intensywnych czynności ruchowych – myślała o stanowiskach, gdzie pracuje się głównie przez telefon. ↦

Luka zatrudnieniowa

Wskaźnik aktywności zawodowej wynosi 33,1 proc. Dla porównania – w całym społeczeństwie to 73,4 proc. Różnica wynosi 42,8 p.p. To jedna z najwyższych luk w Unii Europejskiej (średnia UE to 21,4 p.p.).

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ „Chcieli mnie zatrudnić, ale były schody" – to zdanie mówi bardzo wiele, bo w jej przypadku to nie metafora. Agnieszka porusza się na wózku, więc dostępność architektoniczna jest warunkiem pracy. Rekrutacja przebiegła pomyślnie, kompetencje nie budziły wątpliwości, ale o wszystkim zdecydowała konstrukcja budynku. Do biura prowadziły schody, których nie dało się ominąć. To nie kwalifikacje okazały się barierą, lecz infrastruktura.

Podobne sytuacje zdarzały się częściej. Na początku nie wpisywała w CV informacji o niepełnosprawności. Telefonów było dużo – miała doświadczenie, odpowiadała na oferty. Dopiero przy pytaniu o dostępność architektoniczną rozmowy zaczynały się komplikować. „Mamy jeden stopień", „mamy windę, ale często się psuje", „nie mamy windy" – słyszała. W pewnym momencie zdecydowała się dodać informację o orzeczeniu. Telefonów było mniej, ale – jak zauważyła – odzywali się pracodawcy bardziej świadomi, lepiej przygotowani.

Zdarzały się też sytuacje absurdalne. Jedna z rozmów kwalifikacyjnych zapadła jej w pamięć z powodu pytania o... ulubioną zupę. Aplikowała na stanowisko pomocy biurowej. Do dziś nie wie, jaki to miało związek z zakresem obowiązków. „Myślę, że to było zakłopotanie. Już nie wiedzieli, o co pytać" – mówiła z dystansem. Dziś takich sytuacji doświadcza się rzadziej. Jej zdaniem rynek pracy powoli się zmienia, a rozmowy kwalifikacyjne stają się bardziej profesjonalne.

Zmiana podejścia

Największą barierą – podkreślała – bywa nie architektura, lecz nastawienie. Pojawiały się pytania o ustawowy siedmiogodzinny dzień pracy, przysługujący części osób z niepełnosprawnościami, o dyspozycyjność i wyjazdy służbowe. „Pojadę do Warszawy, jeśli trzeba. Może potrzebuję

Tempo zmian

Zgodnie ze Strategią na rzecz Osób z Niepełnosprawnościami wskaźnik aktywności zawodowej powinien wzrosnąć do 45 proc. do 2030 r. Obecnie wynosi 33,1 proc., a tempo wzrostu jest wolniejsze, niż zakładano.

Realny potencjał

Raport wskazuje 1,06 mln osób jako realny potencjał zatrudnieniowy. Chodzi o osoby w wieku 20-60 lat (mężczyźni) i 20-55 lat (kobiety), czyli w grupie najaktywniejszej zawodowo.

Skala zjawiska

W Polsce żyje 5,45 mln osób z niepełnosprawnościami.
To niemal co siódmy mieszkaniec kraju. W tym 4,01 mln osób ma formalne orzeczenie.
1,29 mln z nich jest w wieku produkcyjnym.
To osoby, które potencjalnie mogłyby być aktywne zawodowo.
Pracuje tylko 429 tys.
Oznacza to, że ponad połowa tej grupy pozostaje poza rynkiem pracy.

Zmiana modelu zatrudnienia

W 2010 r. 74 proc. pracujących osób z niepełnosprawnościami było zatrudnionych w Zakładach Pracy Chronionej (ZPCh).
Dziś to tylko 17 proc.
W tym czasie:

- *liczba ZPCh spadła o 71 proc.,*
- *zatrudnienie w nich zmniejszyło się o 64 proc.,*
- *zatrudnienie na otwartym rynku wzrosło z 69 tys. do 355 tys.*

Zmiana ta wynikała głównie z przekształceń prawnych i organizacyjnych, a nie z masowego przejścia pracowników na otwarty rynek pracy.

eprasa.pl c90e1c6c76

zaplanować przejazd dzień wcześniej, ale pojadę" – mówi. Nie oczekuje szczególnych przywilejów. „Dajcie mi możliwość, to się wykażę".

Jej opowieść nie jest historią o szczególnych wymaganiach ani o heroizmie. Raczej o tym, że czasem wystarczą proste, dobrze przemyślane rozwiązania. Winda. Odpowiednio dostosowane stanowisko. Zmiana myszki na model dla osób leworęcznych – dopiero w pracy spróbowała takiego rozwiązania i okazało się, że to znacznie wygodniejsze. Niekiedy to właśnie takie techniczne detale przesądzają o realnej samodzielności.

Dostępność – architektoniczna i mentalna – nie powinna być wyjątkiem ani gestem dobrej woli. Powinna być standardem. Wtedy zatrudnianie osób z niepełnosprawnościami przestaje być tematem specjalnym, a staje się zwykłą częścią rynku pracy.

Sprawny staż

W trakcie spotkania mówiono nie tylko o barierach i systemowych ograniczeniach. Przedstawiono także programy, które mają na nie odpowiadać i które są już realizowane.

Jednym z nich jest program „Sprawny Staż", realizowany przez Fundację Integralia powołaną przez ERGO Hestię. To nie akcja jednorazowa ani projekt wizerunkowy, lecz stały element działań fundacji na rzecz zatrudniania osób z niepełnosprawnościami. W IV edycji programu, uruchomionej w 2025 roku, udział wzięło ponad 40 osób, które odbywają płatne staże w 12 dużych firmach partnerskich – od sektora finansowego po branżę produkcyjną i technologiczną.

Program ma jasną konstrukcję: uczestnicy przechodzą rekrutację, dołączają do zespołów i realizują konkretne zadania. Firmy równolegle przechodzą szkolenia i konsultacje z zakresu dostępności oraz tzw. racjonalnych usprawnień. Efekty są wymierne – w poprzednich edycjach wielu stażystów zostało w organizacjach na stałe.

To istotne, bo „Sprawny Staż" potwierdza w praktyce to, o czym mówiono podczas całego spotkania: problemem nie jest brak kompetentnych kandydatów, lecz sposób organizowania pracy. Gdy procedury są dobrze zaprojektowane, a zespół odpowiednio przygotowany, różnorodność przestaje być wyjątkiem i może stać się standardem. Program pokazuje, że taki model da się wdrożyć – i może on być punktem odniesienia dla innych firm.

Raport „Milion niewykorzystanych talentów" diagnozuje skalę problemu, a programy takie jak „Sprawny Staż" pokazują, że rozwiązania mogą być praktyczne i skuteczne. Ostatecznie wszystko sprowadza się do jednego: to kwestia konkretnych decyzji, które zapadają w konkretnych organizacjach.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

integralia
fundacja Grupy ERGO Hestia

Cały raport do pobrania za darmo:

https://integralia.pl/milion-niewykorzystanych-talentow/

Fundacja Grupy ERGO Hestia Integralia działa od 22 lat, wspierając osoby z niepełnosprawnościami w wejściu i utrzymaniu się na rynku pracy.

W tym czasie wsparciem objęła 1 678 osób, a 46 proc. uczestników programów stażowych znalazło zatrudnienie po ich zakończeniu.

Fundacja współpracuje z 432 firmami, pomagając im wdrażać dostępne i włączające rozwiązania w rekrutacji.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 09/2026

REDAKCJA: Michał Sowiński
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
Zdjęcia: materiały prasowe Fundacji Grupy ERGO Hestia Integralia

eprasa.pl c90e1c6c76

WIARA

JEST ŚWIATŁO W OGRODZIE

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA, POETKA I BOTANICZKA:

Czasami się w tym smutku tarzam.
Ale gestem miłości wobec Stefana jest to, że umiem powiedzieć:
„Nie, nie będę teraz cierpieć. Może potem”.

ARCHIWUM PRYWATNE URSZULI ZAJĄCZKOWSKIEJ

eprasa.pl c90e1c6c76

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Zrobiłaś tę elektrykę?

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA: Pociągnięty kabelek, izolacja schowana pod tynkiem, a ten zaszpachlowany i pomalowany, zamontowane wszystkie wyłączniki i lampy. Jest światło.

Gdzie się tego nauczyłaś?

Z filmików instruktażowych na YouTubie: jak sobie poradzić z naprawami, drobnymi remontami. Szczególnie, gdy wszystko wymaga ciągłego doglądania i dłubaniny. Jeszcze lepsze instrukcje są na TikToku, tam jest esencja tematu, bez zbędnych wstępów. Krótko i treściwie: pływak w spłuczce regulujesz śrubą na poziom ok. 1-2 cm nad odpływem. Kilka ruchów kluczem francuskim i jest szczęście: nie cieknie! Duma niemal jak po własnej habilitacji.

A dom stary i trzeba remontować?

Kupiliśmy go ze Stefanem na początku małżeństwa. A kiedy Stefan zaczął chorować, zaczął chorować i dom. Lodówka wysiadła, wyciek gazu z instalacji, dach dziurawy, trzeci mikser do rozdrabniania zup się zepsuł... Szczytem katastrof było to, jak w czasie jazdy samochodem pękł tłok w silniku. A tam, gdzie był gabinet Stefana... Nie, o tym nie będę mówić...

O czym?

O chorowaniu Stefana. Nie chcę, by osią opowieści stawało się odchodzenie bliskiej osoby ani publiczne rozbieranie jej intymności na części. W takim geście łatwo pojawia się nacisk emocjonalny, którego odbiorca nie ma jak uniknąć. A przecież człowiek, o którym się mówi, nie może już sam nic dopowiedzieć ani postawić granicy. To jego tajemnica i jego godność ciała. Dlatego nie napiszę książki o jego chorowaniu i całym tym strasznym czasie. Zostało kilka wierszy, ale one prowadzą w inną stronę. Są zapisem mojego doświadczenia.

A Stefan?

Po prostu miłość mojego życia. I ja byłam jego miłością życia, pierwszą. Zanim mnie poznał, siedział wyłącznie w laboratorium, a nocą na Centralnym, żywiąc się w barach lub w domu konserwami. Człowiek całkowicie zassany przez naukę.

Ze Stefanem na plaży, sierpień 2025 r.

Pierwsze spotkanie?

Mam 21 lat, on 57. Ja studentka, on nauczyciel akademicki. Na salę wchodzi w tureckim sweterku, w okularach z grubymi szkłami, o żółtawym kolorze skóry, bo palił też 60 papierosów dziennie. Zaczyna mówić o termodynamice świata przyrody... a mi opada szczęka. I koniec, przepadam. Jeszcze w myślach się szamoczę: Nie, nie. Co się dzieje? Dopiero co wyszłam z fatalnej, miłosnej historii. A tu coś takiego?

W uczuciach hamulce nie działają.

Wzięłam Stefana całego, z tą miłością do roślin, myśleniem o fizyce świata przyrody, pasją i wyobraźnią. On był wspaniałym botanikiem teorii, który kilka lat pracował na Harvard Forest i University Berkeley. Najbardziej to lubił siedzieć i rozmyślać. Rozpracował teorię pól przepływu hormonów w pniach drzew. Moment, pokażę ci gazetę. To jest „ITD" numer z 29 maja 1977 roku. Rok przed moimi narodzinami... Artykuł o doktorze Stefanie Zajączkowskim. Dziennikarz pyta: „Czy naukowcem trzeba się urodzić?". Doktor Zajączkowski odpowiada: „Nie wiem. Wiem tylko, że nauką trzeba żyć".

A poza nauką?

Skromny, ale pasjonujący człowiek. Z ogromną pogodą ducha, nietrzymający urazy. Żywe dobro. A nasza miłość szła błyskawicznie, po kilku miesiącach od pierwszej randki Stefan się oświadczył.

Rodzina?

Moja młodsza siostra wpada kiedyś do pokoju i mówi: „Ulka, wstawaj, o tobie gadają". Razem kucnęłyśmy na schodach i słyszę głos mamy: „A pamiętasz nas, naszą miłość? Jakiekolwiek zakazy spowodowałyby całkowicie odwrotną reakcję, jeszcze bardziej byśmy chcieli być ze sobą". Ojciec jej słuchał uważnie, bo początkowo ciężko było mu zaakceptować fakt, że Stefan jest starszy od niego. W końcu mówi: „ No tak, Jadwiga Andegaweńska biorąc ślub z trzydziestoletnim Jagiełłą miała dwanaście lat".

No!

A mama Stefana, kobieta bogobojna, słuchaczka Radia Maryja, mądra i pogodna, zapytała tylko: „Nie boisz się brać takiego starego dziada?".

Nie bałaś się?

Byliśmy razem przez 23 lata. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Stefan pochodził z rodziny przyrodników. Urodził się w 1943 r. na wozie uciekających z Wołynia Polaków. Po wojnie jego ojciec został nadleśniczym w Miechowie pod Krakowem. Stefan miał czwórkę rodzeństwa, wszyscy są leśnikami-naukowcami, a siostra została architektem krajobrazu. Więc przyroda była treścią jego życia i częścią czasu także po śmierci.

Po śmierci?

Stefan jest pochowany na cmentarzu w Wołominie. Jego nagrobek wygląda tak, że w szarogłazie jest wykute jego imię i nazwisko, a wkoło są głazy i rośliny – borówka brusznica, kostrzewa owcza, macierzanka piaskowa, paprocie, skrzyp, mała sosna kosówka. Jakby przeniesiony fragment Tatr. I teraz muszę zrobić małą retrospekcję: kiedy Stefan pracował w Stanach, robił tysiące zdjęć, zostało tysiące slajdów, w 99 procentach są na nich jedynie rośliny. W któreś Boże Narodzenie Stefan poleciał na Hawaje. Sam spędził tam święta, mówił, że to był piękny czas. I że obserwował wtedy niezwykłe burze, przerywane słońcem, i różne gatunki palm. Zdjęcia tych palm do dziś wiszą w naszym instytucie i ze wszystkich podróży profesorów, botaników, jego akurat są tylko te palmy. A teraz wracam do meritum. Jakoś czas temu coś mi mówi: muszę odwiedzić grób Stefana i to teraz! Idę... A tam znalazłam to. Spójrz...

Odpustowy kicz: zepsuta przyszywka z palmami.

Leżała na kamieniu, tuż przy jego nazwisku. Przyniosły krukowate. Dość typowe zachowanie: zostawiają drobne przedmioty w wybranych miejscach, czasem układając je względem siebie.

Ha!

A ja stałam się wiaderkową wdową.

Kim?

No, jedną z tych które regularnie są na cmentarzach wyposażone w wiaderko, zmiotkę, płyn do mycia, zapalniczkę. Wcześniej też je zauważyłam i miałam z tyłu głowy, że ja kiedyś do nich dołączę ze względu na różnicę wieku między mną a Stefanem. A teraz już się rozpoznajemy, ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

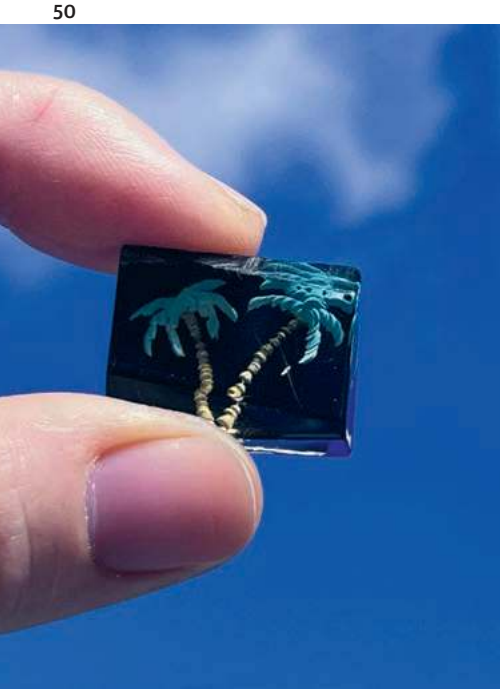

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

– A tam znalazłam to. Spójrz...
– Odpustowy kicz:
zepsuta przyszywka z palmami.
– Leżała na kamieniu, tuż przy jego nazwisku.

↦ wiemy, która co ma do pracy, taka mała społeczność.

Od śmierci Stefana minęło półtora roku.

Kobiety głównie sprzątają. To chyba rodzaj modlitwy. Albo przeciągania stanu, w którym możesz się o kogoś fizycznie zatroszczyć, możesz coś mu dać. Ja też byłam szczęśliwa, gdy Stefanowi postawiłam właśnie taki nagrobek i chodzę tam dość często z moim wdowim wiaderkiem, które używam do podlewania i noszenia narzędzi.

To daje spokój?

Na cmentarzu jest spokój. A ja siedzę przy jego atomach, które tam się uwalniają, jak się stwarzają otoczeniem, tym, które widzę. Więc zaczynam też i kochać to miejsce. Rozmawialiśmy ze Stefanem, jak chcemy być pochowani, że spopieleni. Nie wiedzieliśmy przecież, kto pierwszy z nas umrze. A jako przyrodnicy wiemy, co dzieje się ze zwłokami: najpierw zaczyna się autoliza, czyli samorozpad komórek. Potem gnicie bakteryjne z gazami i zapachem, a następnie upłynnienie tkanek miękkich. Zostaje wysychanie i stopniowa mineralizacja. Przez płomień można skrócić fazę przejścia z ciała do atomów i oszczędzić działania wyobraźni. To wyzwolenie naszych cząstek i jednoczesne ich zaraz przemienienie w korzeń, liść, grudkę ziemi. W przyrodzie, w ciągłej wymianie energii i materii, współtworzę całość, sama będąc czyjąś przeszłością i później stając się nią dla innych.

Teraz mówiła „pani od przyrody".

Nie da się do pustki przyzwyczaić. Mózg nie zna: nie ma. Więc nawet te dwa słowa „nie ma" jest stworzeniem ich istnienia w samym języku. Nie ma czego? Tego nie ma, jego nie ma. Nie ma, że nie ma Stefana, bo on cały czas jest. W różnych obszarach. W pracy, badaniach, w roślinach, nawet w sposobie nauczania.

Czyli?

Stefan mnie uczył, jak postawić studentom granice, że trzeba to robić bezpośrednio. I mówił, że jestem dla nich zbyt łagodna. Kiedy ja dawałam trójе, to on dawno by postawił dwóje. Uważam, że wiedza na temat roślin jest tak potężna, że właściwie studentów i moja jest niemal na tym samym poziomie. Czyli prawie żadna. Moją zasadniczą rolą jako nauczyciela akademickiego jest zainteresować studentów przyrodą do takiego stopnia, że będą sami chcieli ją zgłębiać i że będą czuli, iż całe to stworzenie z natury swojej jest nie tylko fascynujące, ale i dobre. A Stefan uważał, że studenci mają mieć solidną podstawę, by umieć przyrodniczo myśleć. On był zdecydowanie bardziej dla nich wymagający.

I słusznie.

Wiesz, gdzie jeszcze jest obecny Stefan? W moim języku. On w końcówce mejla pisał takie swoje: łączę pozdrowienia. Czasami pisząc do poważnego urzędnika tak samo, uśmiecham się do siebie, że ja też łączę te jego pozdrowienia. Obecny też jest w Hani, naszej córce. Spójrz na to zdjęcie Stefana z młodości, przecież oni są identyczni. Hania jest też podobna do Stefana pod względem charakteru: i łagodna, i niespotykanie na dzisiejszy czas twarda. Tyle się mówi o bardzo trudnym czasie licealistów: że mają problem z sobą, że plaga depresji, że samotni. To naprawdę pokolenie wrażliwców. A Hania tyle musiała znieść: na początku liceum dowiaduje się o diagnozie ojca. Po dwóch latach dowiaduje się o diagnozie matki. Po trzech latach ojciec umiera. A teraz Hania jest w czwartej klasie i zaraz będzie pisać maturę.

Za nią już najtrudniejszy egzamin dojrzałości.

Hania trzyma się w sobie. Zadaniowa. Jakby wiedziała, że coś w niej musi pozostać nieugięte. Dla mnie, może. Bałam się, że jest dzielna dla chorych rodziców, przez co traci czas swojego dojrzewania. Więc robiłam, co mogłam, by w domu był spokój. A pod spodem ogień.

MAŁY ŁOŚ / ARCHIWUM URSZULI ZAJĄCZKOWSKIEJ

Wśród braci studenckiej na naszym weselu. Zabawne, w starym stylu. I szczęśliwy Stefan. 16 kwietnia 2001 r.

eprasa.pl c90e1c6c76

Niepokój?

Na wlewy jeździłam głównie sama. No bo Stefan nie dał rady, już był leżący. Nie chciałam obarczać rodziców, bo mają swoje lata, choć mama ze mną była trzy razy. Siostra raz. Kogo tu prosić? No wiesz... wszyscy pracują, mają swoje życie.

Niechęć do bycia petentem?

Kiedy prosisz, czasem więcej czasu i energii kosztuje samo objaśnianie niż zrobienie tego własnymi rękami. Bywa szybciej. Na wlewach widziałam mężów krążących jak satelity wokół żon, bo gdy obok jest ktoś kochający, można wypuścić całe rozdrażnienie i ból, więc one grymasiły nad kanapką, przerażone i zmęczone, a ja wracałam do domu i gotowałam obiad. Kiedyś po wlewie wsiadam do auta, zaraz dzwonię do kolegi i mówię: „Słuchaj, Gogol, pogadaj ze mną chwilę, wracam po chemii do domu i boję się, że zasnę za kierownicą, bo zawsze w żyłę dają coś na uspokojenie". On: „Dobra, jaka temperatura?". Ja: „Osiemnaście stopni." On: „A stan wód?".

Ludzi jak Gogol było więcej?

Nie. Więc błogosławić tych, którzy wtedy cię nie opuszczają. Bardzo już było ciężko w czasie czerwonej chemii, po której leżałam plackiem kilka dni, już dawno bez włosów, bez sił, w gorączce. Na szczęście rodzice wpadali, ludzie czasem pisali. Na bramie raz wisiała zupa od przyjaciółki. W paczkomacie od siostry, która jest rolnikiem ekologicznym, czekały warzywa. A koleżanki opieprzyły mnie, że za mało proszę.

Małe wielkie gesty.

Mówi się, że cierpienie uszlachetnia, że niby nabywa się specjalne cnoty. Bzdura. Wcale cię nie uszlachetnia, tylko tarza w błocie, sprowadza do poziomu robala. Jedynie co: cierpienie, którego ty zaznajesz, może uszlachetniać ludzi, którzy są obok. Oni na chwilę zrezygnują z rytmu własnego życia i poświęcą czas tobie.

A czas jest dziś bezcenny.

Odwołując się do mineralogii: uszlachetnia jak kamień bez inkluzji w środku, czyli bez wewnętrznych zakłóceń, które coś rozpraszają albo pękają pod naciskiem. Trudno mnie teraz wyprowadzić z równowagi, właściwie się nie da.

HANNA ZAJĄCZKOWSKA

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA – poetka, botaniczka, profesor SGGW. Mieszka w Wołominie.

Kiedy w domu jest umierający mąż, a ty stoisz trzydziesta siódma w kolejce do onkologa i po wlewie ledwo trzymasz się na nogach, a w domu zaraz będzie zmęczona po szkole córka, to jednak uczysz się cierpliwości. Jedyny bonus. A właściwie dwa: są jeszcze onkosiostry.

Nikt nie zrozumie chorego jak ten, kto sam choruje?

My się szybko zaprzyjaźniamy. Może dlatego, że tu wszystko dzieje się naraz. Poznałyśmy się na różnych etapach: chemioterapia, operacja, radioterapia, kwas. Słowa jak stacje. Z czterema szczególnie. Rechot na wlewach – gdzie inni widzą tylko ciszę.

Śmiech odstresowuje?

Jedenaście moich koleżanek umarło. Jedna z nich powiedziała kiedyś: „Jak ja bym chciała dożyć jeszcze pięciu lat". Za miesiąc jej nie było. Przyniosła mi kompot z wiśni, bo na chemii czasem masz wstręt do wody. Chce się pić, a sama myśl o wodzie wywołuje mdłości. Nie dałam rady potem wypić tego kompotu.

Dlaczego założyła pięć lat życia?

Trwają badania nad spersonalizowanymi szczepionkami dla raka trójujemnego. To kierunek, który wygląda obiecująco, bo m.in. wykorzystuje precyzyjne informacje z guza i uczy układ odpornościowy rozpoznawania konkretnych cech nowotworu. Ona na to czekała.

Nadzieja.

Mam szczęście, że trafiłam na fenomenalną onkolożkę Agnieszkę Jagiełło-Gruszfeld. Za czasów mojego leczenie dwa razy zmieniała szpital tylko dlatego, że nie miał kontraktu z NFZ-em i nie mogła zastosować leczenia, jakie powinno być wdrażane jej pacjentkom. Więc znajdowała takie miejsce, w którym mogła leczyć. A my, jej pacjentki, szłyśmy za nią. Osoba błyskotliwa, z rozbrajającym poczuciem humoru. Kiedyś w listopadzie, przy wypisywaniu chemii ziewnęła – tłumacząc się zaraz, że zmęczona. Na co odpowiadam, że nie ma się co dziwić pani doktor, jest listopad. Ciemno, nie ma liści, wszystkie zgniły. Podnosi wzrok zza kartki i pyta: „A iglaste?".

Pełna czujność.

Pamiętam, jak reanimowali dziewczynę, która po chemii dostała wstrząsu, miała już zielone usta. A nasza onkolożka stała i spokojnie mówiła, co podawać: adrenalina itd. Siedziałam na wlewie przywiązana do butli, widziałam jej pięści za plecami, pulsujące. Dla mnie horror. W pewnym momencie odwróciła się do mnie, mówiąc ciepło: „Taka samiutka sobie siedzi, tak?".

Widzi człowieka.

I wywleka go do życia całym swoim pięknym człowieczeństwem. Zapewne płacąc za to ogromem sił.

Ktoś jeszcze?

Radiolożka Katarzyna Dobruch-Sobczak. Fenomen. USG to czarne otchłanie obrazu, dla niej czytelny język. Wydała „Atlas ultrasonograficzny guzów piersi". Po którymś badaniu wyjęła go i z pasją pokazała grafiki, które nic mi nie mówiły, za to patrząc na nią, zobaczyłam siebie nad atlasem liści, pędów i kwiatów. Uspokoiło mnie, że należę do rzeczy już opisanych, że to także należy do życia. Dzięki jej wrażliwości oka, odnalazła mi drugą zmianę, zrobiła biopsję i okazało się, że wcale nie mam raka, a dwa różne raki i że ten mały to najgorszy, jaki się da – trójujemny. To odkrycie prawdopodobnie uratowało mi życie. Na koniec dodała: „To się leczy. Jest pani w dobrych rękach". ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ I nie było wyjścia, jak w to wszystko szybko uwierzyć.

Można wyzdrowieć także dzięki temu, że najpierw radiolog czyta ciało z naukową precyzją i uważnością oka.

Oko, które ratuje?

Rak to jednak jest wyrok, lecz pod warunkiem, że się nie leczysz. Kiedyś los mnie skazał, dziś żyję dzięki naukowcom, laborantom, lekarzom, pielęgniarkom i niekończącemu się strumieniowi ludzi niosących pomoc, dzięki sumie ich wiedzy i decyzji. Obecnie leczy się już nie tyle narząd czy nawet nazwę raka, ile to, co naprawdę w nim działa, konkretne komórki z ich mutacjami. Pod nie dobiera się terapię. Jestem człowiekiem, który dostał drugie życie. I jak na razie tomografia jest czysta.

Ty wiesz, jak ja się cieszę!

Kiedy się o tym dowiedziałam, od razu wzięłam pożyczkę na wymianę dachu. Nie chcę zostawić Hanki z długiem, zakładam, że zdążę ją spłacić. W takiej chorobie wchodzi się na wysoki poziom pragmatyzmu. Trzeba zdążyć zrobić pewne rzeczy i zabezpieczyć dziecko. A gdy usłyszałam diagnozę, pierwsze co zrobiłam, to wyrzuciłam z mojego pokoju niepotrzebne rzeczy, żeby było po mnie mało sprzątania.

Co z ogrodem?

To był ogród Stefana i mój, wspólnie sadziliśmy rośliny. Rozmaite gatunki, także te szczególnie ważne dla niego, jak sosna oścista, bo należy do jednej z najdłużej żyjących sosen na świecie. A oko botanika powoduje, że patrzysz na drzewo jak na książkę, którą czytasz w geometriach, w kształtach konarów, rysunków na korze. Jeśli masz ogród, nie potrzebujesz już niczego więcej, by widzieć podstawę życia i śmierci, bo tam jest wszystko. I to się toczy w detalach: krawędzi liścia i powietrza, pąku kwiatu, grudce ziemi.

A jak Stefan chorował?

To zasadziłam dla niego rabatę chronionych gatunków bylin polskich lasów. Bo Stefan uwielbiał chodzić po lesie. Ze szwagrem zbudowaliśmy też małą szklarnię, licząc na to, że Stefan będzie tam sobie mógł popracować. A śmialiśmy się ze Stefanem, że zaglądał tam wyłącznie, by jeść. Solidnie zasuwałam w ogrodzie dla niego, jeszcze nie wiedząc, dlaczego jestem taka słaba...

Ktoś kiedyś powiedział, że żałoba to miłość, która nie ma gdzie pójść.
Więc zostaje i szuka miejsca obok tych, którzy są.

Ten ogród nawet zimą nie traci urody.

Miesiąc przed śmiercią Stefana umierał w cierpieniach mój ukochany dziewiętnastoletni kot. W środku nocy z Hanią pojechałyśmy z kicią do Warszawy, by skrócić te męki. Już wtedy myślałam, że rozsadzi mnie ból. Sama po operacji, przed radioterapią, z kiepsko gojącą się blizną, bo ręka ciągle w pracy. Kotka była drobna, biała. Pochowałam ją rano w ogrodzie pod białym kamieniem. I zasadziłam róże. Więc ten ogród wszędzie jest pełen przeszłości i teraźniejszości, wzrastania i obumierania.

Dynamika istnienia?

Cała konstrukcja życia jest oparta na nieustannym dostawaniu. Słońce, które nieustannie daje, daje, daje. Grawitacja, która trzyma to wszystko na ziemi. Wyewoluowaliśmy w ten sposób, że mamy gnaty i sobie chodzimy, mamy piękne umysły i wyobraźnię, zadzieramy wysoko nos, ale i bardzo nisko.

A ten storczyk w przedpokoju?

Prezent od Stefana na urodziny. Ojciec mi go dostarczył, tak się umówili. I włożyłam storczyk do wody, przeczytałam, że lubi moczenie, i kompletnie zapomniałam o nim, byłam wtedy w kiepskim stanie. Za dwa tygodnie Stefan umiera, a korzenie storczyka gniją. Po śmierci Stefana z Hanką odpaliłyśmy jego komputer i zobaczyłyśmy w historii przeglądarki wpisane dwie frazy: kwiat pamięci, kwiat nadziei. Tego szukał dla mnie. A przeze mnie ten kwiat umierał.

Ból na każdym poziomie.

Przez pół roku stawałam na uszach, żeby ten storczyk odratować. Bez liści, ze zgniłym korzeniem. Używałam ekstraktów z glonów, fitohormonów, specjalnych związków aktywnych, które odkażają. Wycięłam martwe tkanki, dotarłam do tych kilku centymetrów życia, które się jeszcze tliło. Po pół roku zobaczyłam milimetr korzonka wyrastającego z trzonu storczyka.

Odrodzenie?

Jeszcze lepiej! Kiedy odebrałam dobre wyniki tomografii, storczyk zakwitł. A później Hania kupiła mi storczyk z klocków Lego. Teraz mam dwa. Obydwa stoją w szklarence.

Masz tę myśl: dlaczego ja?

Nigdy tego pytania sobie nie zadałam. Pewnie przyroda pomaga uświadomić sobie, że takie rzeczy się dzieją naprawdę często, choćby te miliony nasion drzew umierają na dnie lasu, liście, korzenie, owady, miliardy bakterii. Na Ziemi przede wszystkim panuje śmierć.

Ta świadomość pomaga?

Pomogła mi też lektura Junga „Odpowiedź Hiobowi". To erudycyjny, prowokacyjny esej o Bogu i człowieku, o złu i o tym, że w obrazie Boga jest pęknięcie. Jung czyta Hioba jak dramat, w którym Bóg zostaje skonfrontowany z człowiekiem i nie może mu odpuścić. Kiedy Stefan chorował, a ja byłam po kolejnym wlewie, siedziałam w wannie, czytałam Junga i śmiałam się na głos. Łysa śpiewaczka chichra się na głos!

A teraz jaki jest czas?

Solidnej żałoby. Ktoś kiedyś powiedział, że to miłość, która nie ma gdzie pójść. Więc zostaje i szuka miejsca obok tych, którzy są. Tu jest Hania, rodzina, przyjaciele. Jest też las. Jeśli kochasz, chcesz dla tej drugiej osoby tego, czego ona by chciała. Wiem więc, że ostatnią rzeczą, jakiej Stefan by chciał, byłoby tracenie życia na smutek przez niego.

Ula...

Czasami się w tym smutku tarzam... Ale jest też pewien poziom decyzji, w którym mówisz stop, masz kontrolę nad tym, co się dzieje. Nie brniesz w to dalej. Widzę, że właśnie jest piękne światło w ogrodzie, więc na to teraz chcę patrzeć. Gestem miłości wobec Stefana jest to, że umiem powiedzieć: nie, nie będę teraz cierpieć, może potem.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

eprasa.pl c90e1c6c76

BREE ANNE / UNSPLASH

Nabożeństwo w Bethel Church, Redding, USA 2019 r.

Prorocy z Facebooka

MONIKA BIAŁKOWSKA

NADUŻYCIA | Duchowe dary czy wyrachowana mistyfikacja? Amerykański megakościół, wzór dla wielu wspólnot ewangelizacyjnych także w Polsce, przyznaje się do przemocy i kłamstwa.

Bethel Church to jeden z amerykańskich megakościołów w nurcie protestanckim. Na nabożeństwach charyzmatycznych z muzyką uwielbieniową, proroctwami i uzdrowieniami gromadzi tysiące ludzi, co fascynuje wiele osób, także w Kościele katolickim, z którym Bethel teoretycznie niewiele ma wspólnego. Choć gdyby dobrze się przyjrzeć, można rozpoznać katolickie wspólnoty, także w Polsce, wzorujące się na przykładzie megakościoła z Kalifornii.

Duchowe konsorcjum

Założony został w 1954 r., od trzydziestu lat na jego czele stoi Bill Johnson, za którego rządów Bethel Church przeobraziło się z kościelnej wspólnoty w prawdziwe konsorcjum, które prowadzi profesjonalną działalność muzyczną, wydawnictwo oraz sieć szkoleniową dla liderów. Bethel School of Supernatural Ministry to szkoła, która uczy praktyk charyzmatycznych, czyli proroctw, uzdrawiania, „słyszenia Boga" i ulicznej ewangelizacji. Aktualnie liczy ponad 13 tys. absolwentów w ponad stu krajach. Dzięki nim duchowość i sposób działania Bethel Church promieniuje na cały świat, w tym również na wspólnoty katolickie.

Skuteczność tego promieniowania zapewnia w dużej mierze mechanizm świadectw, wygłaszanych natychmiast po modlitwach, sprawiających wrażenie, że modlitwa „zadziałała", wydarzył się cud. Działania modlitwy trudno kwestionować, choć warto pamiętać, że w czasie takich z rozmachem organizowanych wydarzeń łatwo o autosugestię czy efekt placebo (długotrwałych skutków „uzdrowień" najczęściej się już nie weryfikuje). A emocjonalne i natychmiastowe świadectwa wzmacniają przede wszystkim autorytet lidera czy osoby prowadzącej modlitwę.

Innym znakiem przenikania duchowości z Bethel Church do katolickiego świata jest muzyka – w USA jeden z najważniejszych nośników teologii. To ona kształtuje język modlitwy i wyobrażenie o Bogu. Muzyka z Bethel jest eksportowana na cały świat wraz z modelem pobożności, emocjonalnymi uwielbieniami, narracją o „niebie na ziemi" oraz naciskiem na znaki, cuda, słowa poznania i uzdrowienia.

Wiatr z Kalifornii

Także w Polsce znajdziemy ślady kalifornijskiej wspólnoty. Ben Armstrong, jeden z liderów Bethel, we wrześniu ubiegłego roku był w Warszawie na organizowanej przez Społeczność Chrześcijańską Północ Konferencji Proroczej „Sny i wizje". Organizatorzy zachęcali do udziału, przekonując: „Czy wiedzieliście, że przesypiamy prawie 1/3 naszego życia? W ciągu 60 lat to aż około 20 lat spędzonych we śnie! Sen to nie tylko czas odpoczynku – to także przestrzeń, w której Bóg może przemawiać do nas i dzielić się swoją mądrością poprzez sny".

↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ Z Bethel Church związany był także znany charyzmatyk Marcin Zieliński, który w publicznych wypowiedziach nie ukrywał, że zna liderów kalifornijskiego Kościoła i jeździ do jego siedziby w Redding. Nie jest również żadną tajemnicą, że działaniami Bethel Church inspirowali się organizatorzy warszawskiego wydarzenia „Jezus na Stadionie" z o. Johnem Bashoborą.

Zjawisko przenikania protestanckich inspiracji do Kościoła katolickiego nie jest oczywiście niczym nowym ani zdrożnym. Członkowie obu Kościołów wierzą przecież w tego samego Jezusa Chrystusa, wzywają Ducha Świętego, mogą więc modlić się tymi samymi słowami i pieśniami. Nie było i nie ma niczego nagannego w tym, że wiele katolickich wspólnot właśnie w taki sposób próbuje szukać własnej odnowy, nie porzucając katolickiej ortodoksji.

Cień proroka

Skandal wybuchł w połowie stycznia tego roku, kiedy to na platformie YouTube opublikowany został długi, bo liczący prawie sześć godzin film ze świadectwami osób skrzywdzonych w Bethel Church.

Oskarżenia wobec liderów Kościoła pojawiały się już wcześniej. Koncentrują się zasadniczo wokół dwóch wątków. Pierwszym są przestępstwa seksualne. Już w 2019 r. Shawn Bolz, jeden z głównych liderów Bethel Church, charyzmatyczny mówca, autor książek i programów telewizyjnych, uznawany za „głos proroczy", był oskarżany o niewłaściwe zachowania wobec podwładnych. W filmie poznajemy szczegóły tego „niewłaściwego zachowania": ekshibicjonizm, wysyłanie zdjęć genitaliów, masturbacja w obecności osób, które były od niego zależne zawodowo lub znalazły się w sytuacji bez wyjścia, na przykład podczas wspólnej podróży. Przypomnijmy: mówimy o wielkim charyzmatycznym liderze, występującym publicznie, by przekazywać ludziom głos prosto od Boga.

Liderzy Bethel Church wiedzieli od początku o tych oskarżeniach, co sami dziś przyznają, przekonując, ze łzami w oczach, że nie byli pewni, czy oskarżenia są prawdziwe, a nie chcieli przecież „krzywdzić człowieka".

Mistyfikacje

Nie mniej skandaliczny jest drugi wątek oświadczenia liderów: przyznanie,

YOUTUBE.COM/@MIKEWINGER

Shawn Bolz

że „proroctwa" w Bethel Church były fałszowane. Co może oznaczać, że wszystko, dzięki czemu „charyzmat wspólnoty" promieniował na cały świat, było mistyfikacją, a nie odpowiedzią Ducha Świętego na modlitwę liderów.

Shawn Bolz miał zwyczaj w czasie charyzmatycznych modlitw wywoływać z imienia i nazwiska osoby obecne na sali. Podawał różne szczegóły dotyczące ich życia – adres zamieszkania, liczbę i imiona dzieci. Wiedział, jak wabi się ich pies, jakie mają kłopoty zdrowotne czy zawodowe. Wszyscy uznawali, że taka wiedza pochodzić może jedynie z objawienia Ducha Świętego, o czym zresztą sam Boltz zapewniał. Podawane przez niego informacje przyjmowano z entuzjazmem i aplauzem. Wywoływane osoby miały „dowód", że są dla Boga ważne, skoro się nimi interesuje.

Liderzy Bethel Church przyznają w filmie, że prawdę o ludziach przekazywał Boltzowi jednak nie Duch Święty, ale Facebook. Charyzmatyczny lider miał dostęp do listy uczestników, więc w łatwy i szybki sposób mógł się przygotować do „objawień".

Boże małżeństwo

Jednym z najbardziej szokujących momentów w filmie – i pokazującym skutki działania Bolza – jest świadectwo Jubilee Dawn. Gdy w 2015 r. kobieta poszła na modlitwę z Bolzem, była w szczęśliwym związku. Jednak niespodziewanie Bolz objawił jej nowego partnera, którego wywołał po imieniu i ogłosił, że „Bóg daje mu tę oto dziewczynę".

Jubilee była wstrząśnięta. Bolz nigdy jej wcześniej nie spotkał, ale dostrzegł ją w tłumie, wymienił jej imię i nazwał Bożym darem dla obcego mężczyzny. Dziś przyznaje, że sama zaczęła wierzyć w Bożą wolę. Nie wiedziała wtedy, że Bolz dzień wcześniej spotkał się z jej nowym partnerem, ustalając sposób działania. Nie pomyślała, że jej dane były publicznie dostępne w mediach społecznościowych. Także informacja o związku, w którym dotąd była.

Jeszcze tego samego roku Jubilee wyszła za wskazanego przez proroka mężczyznę. W małżeństwie, rzekomo danym od Boga, bardzo szybko doświadczyła przemocy psychicznej, fizycznej i duchowej. Po czterech latach uciekła od męża, który omal jej nie zabił.

W pułapce szarlatanów

Wydarzenia w Bethel Church są modelowym przykładem łamania drugiego przykazania – „nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno". W charyzmatycznej wspólnocie cynicznie wykorzystywano imię Boga do budowania własnej chwały, zdobywania wyznawców, a co za tym idzie – także pieniędzy.

A skoro Bethel Church zbudowany był nie na działaniu Ducha Świętego, ale na oszustwie, również ci wszyscy, którzy się nim inspirowali, powinni zadać sobie pytanie o wiarygodność tego modelu ewangelizacji. I zastanowić się, czy warto nadal modlić się o uzdrowienie i prorokować tak, jak uczono ich w Bethel.

Bo nie chodzi jedynie o kryzys zaufania wobec jednej, znanej wspólnoty, ale o utratę wiarygodności różnego rodzaju „proroctw" i „słów poznania". I dobrze. Bóg nikomu nagle niczego innego nie objawia, poza tym, co przekazał przez tysiące lat w Objawieniu. Nie odpowiada na losowe pytania z sali. Nie udowadnia swojej obecności, niczym duch na seansach spirytystycznym. Nie sypie złotym pyłem czy piórami, jak działo się w Bethel. Wszystko, co było konieczne do zbawienia, powiedział w Jezusie Chrystusie. I z nikim nie dzieli się wiedzą na temat imienia czyjegoś psa.

Kryzys w Bethel Church pokazuje, jak wielki mamy problem z rozumieniem charyzmatów. To nie sztuczki, zapewniające sławę człowiekowi. To nawet nie dary dla konkretnego człowieka, ale dary dla całego Kościoła, służące budowaniu wspólnoty. Jeśli nie przynoszą jedności, a burzą i oddzielają – nie są prawdziwymi charyzmatami. Jeśli nie są podporządkowane rozeznaniu Kościoła, prędzej czy później staną się narzędziem w rękach duchowych szarlatanów.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

eprasa.pl c90e1c6c76

Indeks firm przykazanych

MAREK RABIJ

BIZNES I ETYKA | Dwie listy firm działających zgodnie z nauczaniem Kościoła, które właśnie opublikował Watykan, mają przede wszystkim chronić jego finanse i wizerunek. Czy pomogą też katolikom inwestować bezpieczniej?

W wymagającej sztuce brandingu, czyli nazywania podmiotów gospodarczych, watykański Instytut Dzieł Religijnych (IOR) stanowi niedościgły wzór taktycznego kamuflażu. Jedyny komercyjny bank na terenie Stolicy Apostolskiej, czym *de facto* jest ta instytucja, zajmuje się obsługą przepływów finansowych w Kościele oraz obracaniem kapitałem klientów. W ten sposób IOR ma wypracowywać zyski m.in. na wzmiankowaną w nazwie działalność religijną i charytatywną. Sądząc po najnowszych wynikach, z tym zadaniem radzi sobie wciąż najwyżej przeciętnie.

NAD KRESKĄ | W ostatnim raporcie rocznym, opublikowanym w czerwcu ub. roku, watykańscy bankierzy zaraportowali *urbi et orbi* 32,8 mln euro zysku netto, z którego 13,8 mln euro w formie dywidendy przekazali papieżowi. Rok 2024, w porównaniu z poprzednim, przyniósł bankowi wzrost zysku netto o 7 proc. Trudno nazwać to sukcesem w sytuacji, gdy np. banki w Polsce w tym samym czasie zwiększyły zyski średnio o 50 proc., notując najlepszy wynik w dziejach. Z punktu widzenia Stolicy Apostolskiej o wiele ważniejsza jest jednak stabilizacja watykańskich finansów, przez które w poprzednich latach przetoczyła się seria plag, od nietrafionych inwestycji aż po oskarżenia o malwersacje i pranie pieniędzy. W 2024 r. IOR zarządzał łącznie 5,7 mld euro, czyli kwotą o ok. 400 mln euro większą niż rok wcześniej. Dla porównania, największy polski bank, PKO BP, miał w tym czasie pod pieczą równowartość ponad 120 mld euro.

Watykan uważa, że takie wyniki świadczą o „roztropnym zarządzaniu" i strategii inwestycyjnej „zgodnej z zasadami Nauki Społecznej Kościoła". W podsumowaniu raportu jego autorzy z dumą podkreślają, że ponad 12 tysięcy klientów IOR ze 110 krajów może dziś spać spokojnie, bo bank działa wedle międzynarodowych standardów rachunkowości. Aż 79 proc. jego produktów inwestycyjnych osiągnęło wyniki lepsze od branżowej średniej.

BÓG I BIG TECHY | Wątpliwości co do jakości i transparentności watykańskich finansów mają ostatecznie rozwiać dwa indeksy giełdowe, stworzone przez IOR wspólnie ze znaną amerykańską agencją ratingową Morningstar. IOR US Catholic Principles składa się z 50 podmiotów prowadzących działalność zgodną z doktryną katolicką, co w tym przypadku oznacza po prostu biznes trzymający się z dala od „przemysłu śmierci": zbrojeniówki, hazardu oraz zaawansowanych biotechnologii, które mogą wykorzystywać ludzkie komórki. W amerykańskim indeksie dominują bezpieczne z tej perspektywy Big Techy. Jest Meta (właściciel Facebooka i Instagrama), producent chipów Nvidia, nie brakło też Apple, Tesli, Amazonu, Alphabetu (Google). A także potentaci finansowi – jak Visa czy bank inwestycyjny JP Morgan. Drugi indeks IOR Eurozone Catholic Principles skupia podmioty z Europy, na czele z holenderskim ASML Holding, największym na świecie dostawcą sprzętu do produkcji mikrochipów, oraz Deutsche Telekom i niemiecką firmą informatyczną SAP.

Oba indeksy mają w przyszłości służyć głównie watykańskim bankierom. Zakup akcji czy współpraca z którąkolwiek z firm z obu list nie powinny narazić Stolicy Apostolskiej na trudne pytania o pryncypia, z którymi mierzyła się w przeszłości w kontekście innych inwestycji. W 2021 r. Libero Milione, były audytor generalny Watykanu, przyznał w wywiadzie, że Rzym kupił akcje firmy farmaceutycznej produkującej pigułki „dzień po". Kilka lat wcześniej ponad milion euro z kościelnego funduszu zasilanego wpłatami na cele charytatywne trafił na konto producentów filmu „Rocketman" opowiadającego o życiu Eltona Johna. W kinach obraz zarobił na czysto ponad 140 mln dolarów, ale na watykańskim bilansie tej inwestycji zaważyły bardziej kąśliwe uwagi głównego bohatera „Rocketman", który pytał publicznie, jakim cudem Rzym godzi zarabianie na filmowej biografii geja ↦

Siedziba IOR w Watykanie

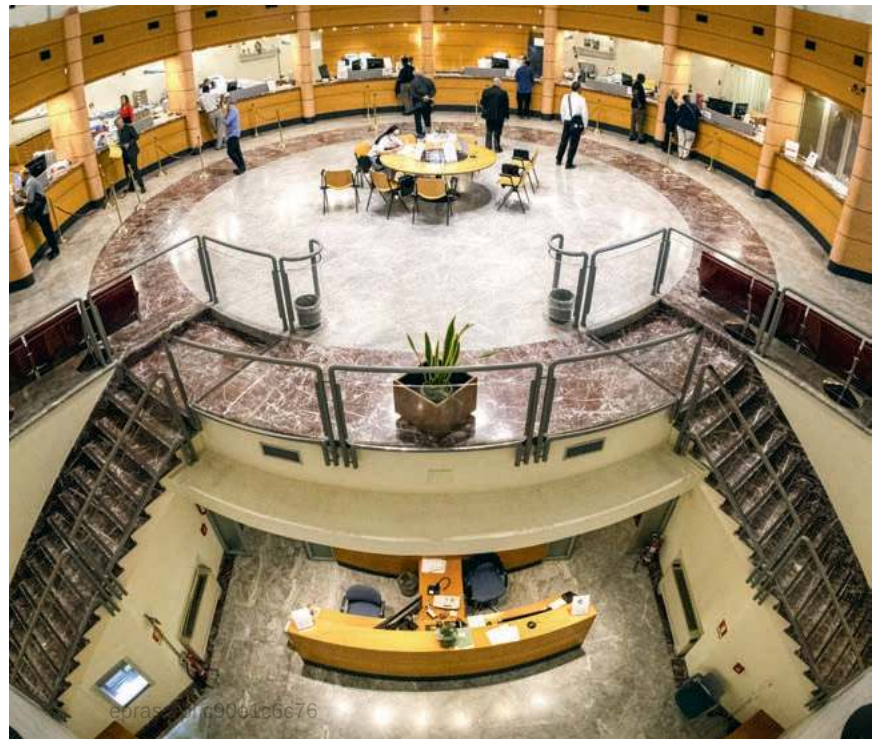

FRANCESCO SFORZA / VATICAN MEDIA

↦ z konsekwentną odmową błogosławieństwa dla par jednopłciowych.

W PAKIECIE | Jeśli watykańscy oficjele liczyli, że tym razem obędzie się całkowicie bez podobnych pytań, to mogą czuć zawód. Rzym tłumaczył się dotąd najczęściej nieznajomością mechaniki międzynarodowych finansów. Pieniądze na cele niezgodne z jego własnym nauczaniem miały iść przypadkiem, w pakiecie z innymi inwestycjami i bez wiedzy deponenta, którego obsługiwał dom maklerski lub fundusz inwestycyjny. Czasem Kościół po prostu miał paść ofiarą cwaniaków i naciągaczy – jak w przypadku głośnego zakupu luksusowej nieruchomości przy londyńskiej Sloane Avenue, na którym Stolica Apostolska popłynęła w sumie na około 140-150 mln funtów.

W odniesieniu do obu indeksów giełdowych ta sprawdzona strategia obrony nie będzie już przydatna. Nad wykazami pracowano ponad rok, korzystając z *know-how* firmy Morningstar, która prześwietla rynki kapitałowe od ponad 40 lat. Dołączone do indeksów spółki znane są szeroko opinii publicznej. Nic też dziwnego, że padają pytania o ich ortodoksję. W odniesieniu do Mety – głównie o *modus operandi* Facebooka, którego algorytmy z premedytacją podsycają polaryzację i który od lat wykazuje podejrzaną bezsilność wobec mowy nienawiści oraz manipulacji informacjami. W odniesieniu do Amazona – o politykę socjalną, o której można powiedzieć wiele, ale nie to, że próbuje nadążyć za literą i duchem katolickiej nauki społecznej. Do JP Morgana – o rolę w kryzysie finansowym z 2008 r. i współpracę z Jeffreyem Epsteinem. Wreszcie do większości spółek z amerykańskiego indeksu – o fundamenty ich polityki kadrowej, której częstym elementem jest np. dofinansowanie do zabiegu *in vitro*. Na listach płac międzynarodowych korporacji widnieją rzecz jasna osoby o różnych wyznaniach i światopoglądzie, nie ma więc powodu, by ich regulaminami wewnętrznymi rządziło nauczanie Kościoła. Pytania o katolickość firm z IOR Catholic Principles są raczej pytaniami o samą możliwość przeszczepienia etyki chrześcijańskiej do świata, w którym mesjaszem jest efektywność.

NA PARKIECIE | Ale studiując oba indeksy, nawet najwierniejszy członek Kościoła katolickiego nie znajdzie wskazówek, jak powinien zarządzać swoimi pieniędzmi. To poprzeczka powieszona stanowczo zbyt wysoko dokumentom, które są w istocie klauzulą wykluczeń odpowiedzialności dla ludzi obracających watykańskim groszem. W poszukiwaniu wskazówek dla inwestowania zgodnego z Ewangelią chrześcijanie nie musieli zresztą czekać na głos Rzymu. Amerykańska giełda od dawna ma dla nich dwa otwarte fundusze inwestycyjne (ETF), które lokują pieniądze w przedsięwzięcia zgodne z Biblią. Fundusz S&P 500 Catholic Values ETF zgromadził aktywa warte 1,2 mld dolarów (jego portfel jest zresztą łudząco podobny do IOR US Catholic Principles). Inspire International ETF łowi z kolei dobrze rokujące przedsięwzięcia spoza USA, w które bez obaw o zbawienie duszy mogliby inwestować purytańscy klienci z USA. Jego wartość dobija już do 500 mld dolarów.

Bez względu na wybór punktu odniesienia dla inwestycji, otwarte pozostaje jednak pytanie, czy ortodoksyjne podążanie za magisterium Kościoła da się pogodzić z grą na giełdzie. Watykan niby na to pozwala, ale w Katechizmie Kościoła Katolickiego nieufnie podchodzi do hazardu, podkreślając, że „gry (...) bądź zakłady nie są same w sobie sprzeczne ze sprawiedliwością. Stają się moralnie nie do przyjęcia, gdy pozbawiają osobę tego, czego jej koniecznie trzeba dla zaspokojenia swoich potrzeb i potrzeb innych osób".

Poważne inwestowanie na parkiecie to strategia budowana na wiedzy i doświadczeniu, nie liczenie na łut szczęścia. W praktyce – zwłaszcza w przypadku zgranych desperatów, niedzielnych inwestorów czy tzw. leszczy, czyli debiutantów – gra na giełdzie to hazard w niemal czystej formie. Badania zachowań uczestników rynków kapitałowych w większości krajów rozwiniętych pokazują, że inwestycje na parkiecie w około 80-90 proc. przypadków kończą się stratą. Większości katolików bardziej przydałby się więc raczej indeks gier zakazanych. Z giełdą włącznie.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl c90e1c6c76

O. WACŁAW

Oszajca:
Współpraca mimo woli

Ewangelista Mateusz wspomina: „Jezus wziął z sobą Piotra, Jakuba oraz jego brata Jana, i wyprowadził ich osobno na wysoką górę. I został wobec nich przemieniony; Jego twarz zjaśniała jak słońce, a Jego szaty stały się białe jak światło. I oto ukazali się im Mojżesz i Eliasz, którzy z Nim rozmawiali". Tym samym odsyła nas do czasów, gdy uczniowie zaczynali odkrywać, kim jest Jezus. Zanim jednak uwierzą, że jest Synem Bożym, „odblaskiem chwały Boga i odbiciem Jego istoty", że przez Niego Bóg potwierdza przymierze zawarte z Mojżeszem i nadzieję związaną z Eliaszem, będą musieli poradzić sobie z Jego śmiercią i odejściem. Uwierzyć, że Bóg przeprowadził Jezusa przez życie i przez śmierć, i że taki sam los czeka każdego człowieka. Przede wszystkim musieli wyzbyć się strachu przed Bogiem i za patriarchą Jakubem wyznać: „Widziałem Boga twarzą w twarz, a jednak pozostałem przy życiu". To dlatego na początku ich zżywania się z Bogiem usłyszeli od Jego Syna: „Wstańcie! Nie bójcie się!", poczekajcie jednak, „dopóki Syn Człowieczy nie zostanie wskrzeszony z martwych".

To już się stało, ale pełna prawda o tym wydarzeniu wciąż przed nami. Mateusz pisze również, że gdy Jezus postawił uczniów na nogi i otworzyli oczy, „nikogo już nie widzieli, tylko samego Jezusa". Nam dzisiaj nie pozostaje nic innego, jak też wstać z klęczek i zobaczyć Jezusa nie gdzie indziej, ale w takim Kościele, jaki mamy, jaki zbudowaliśmy, ze wszystkimi jego obrzydliwościami, ale i pięknością. Który był, jest i przychodzi, to znaczy na różne sposoby stara się dotrzeć do każdego człowieka.

W Dekameronie czytamy, jak to pewien Żyd Abraham wybrał się do Rzymu, żeby się przekonać o „wyższości wiary katolickiej nad judaizmem", a był to czas *saeculum obscurum*. Po powrocie z tego grzesznego i świętego miasta zwierzył się przyjacielowi, który starał się go nawrócić: „Według mego mniemania, wasz pasterz najwyższy, jako i wszyscy jego duchowni z wielką pilnością a staraniem i umiejętnością chcą religię chrześcijańską poniżyć i z oblicza świata ją zetrzeć [a] mimo tych ich wysiłków, wasza wiara coraz bardziej się rozpowszechnia i coraz jaśniejszą i doskonalszą się staje (...) Chodźmy zatem do kościoła, pragnę przyjąć chrzest zgodnie z obyczajem waszej świętej wiary". Wygląda na to, że diabeł również pracuje dla Boga. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Pościć w porę

Cytat lekcjonarza z minionego piątku: „Po powrocie Jezusa z krainy Gadareńczyków podeszli do Niego uczniowie Jana i zapytali: Dlaczego my i faryzeusze dużo pościmy, Twoi zaś uczniowie nie poszczą? Jezus im rzekł: Czy goście weselni mogą się smucić, dopóki pan młody jest z nimi?" (zob. Mt 9, 14-15). Zaintrygowało mnie wprowadzenie, tym bardziej że w samym tekście Ewangelii występuje w tym miejscu greckie słowo *tóte*, oddane przez św. Hieronima łacińskim *tunc* – to znaczy „wtedy": „wtedy podeszli do Niego uczniowie...". To znaczy, że okoliczności są ważne! Kiedy i gdzie padło to pytanie? Lekcjonarz mówi: „po powrocie z krainy Gadareńczyków". Otóż nie! Jezus powrócił z tamtej krainy już dobrą chwilę temu. Po powrocie zdążył już uzdrowić paralityka [i odpuścić mu grzechy, Mt 9, 1-8] oraz spotkać i powołać Mateusza. Teraz właśnie jest u niego w domu na uczcie, którą były już celnik wydał dla Mistrza i Jego uczniów, ale przede wszystkim dla „celników i grzeszników", wobec których chce zaświadczyć o tym, co go spotkało...

Możemy sobie wyobrazić obfitość tej uczty, a jeszcze bardziej panującą przy niej radość. Faryzeusze zdążyli się już oburzyć: „Dlaczego wasz nauczyciel jada wspólnie z celnikami i grzesznikami?" (9, 11); teraz zaś interweniują uczniowie Chrzciciela: „Czemu tak mało pościcie?". A przecież to nie jest impreza, której sens nadaje co najwyżej jakość konsumpcji. To uczta, którą Jezus określa mianem uczty weselnej! Świętowana jest radykalna przemiana życia, jaka dokonała się w Mateuszu, który spotkał Jezusa. Oblubieńca! Doznał wybaczenia. I uzdrowienia. Pozostawił „starego siebie" – już nie jest celnikiem, a więc złodziejem i kolaborantem. Przed chwilą jeszcze przez wszystkich osądzany i potępiany, uważany za nieczystego; teraz przez Mistrza wybrany na ucznia – rozgrzeszony i obdarzony zaufaniem. Wszystko się zmieniło. Jest jednocześnie tym samym, a kompletnie nowym człowiekiem. Tak, jak tym samym, a jednak całkowicie nowym człowiekiem staje się ten, kto zawiera małżeństwo.

Więc trwa wesele! A tu naraz: „Czy wy nie powinniście bardziej pościć?...". Trochę jak starszy brat z Łukaszowej przypowieści o synu marnotrawnym, niepojmujący niczego z radości swojego ojca i swojego brata, którzy odzyskali siebie wzajemnie... ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl c90e1c6c76

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl c90e1c6c76

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 09/2026

TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU

CARLOS BARQUERO / ADOBE STOCK

eprasa.pl c90e1c6c76

SYLWIA ŚLIWKA X5

Dzień spotkań i inspiracji

JACEK NAPORA

Warsztaty w redakcji „Tygodnika Powszechnego" pokazały, że jesteśmy wspólnotą autorów i czytelników, a seniorzy są jej ważną częścią. Odbyły się zajęcia z fotografii mobilnej, rozmowy o podróżach i spotkanie o świadomych wyborach czytelniczych.

Aktywne życie seniorów staje się dziś jednym z kluczowych wyzwań współczesnych społeczeństw. W dobie wydłużającej się średniej długości życia coraz wyraźniej dostrzegamy, że starość nie musi oznaczać wycofania, izolacji ani rezygnacji z dalszego rozwoju. Przeciwnie, może być okresem intensywnego uczestnictwa w życiu społecznym.

Przeciw samotności

Kultura odgrywa w tym procesie rolę szczególną. Nie ogranicza się do biernego odbioru sztuki, obejmuje także twórczość i wejście w dialog z innymi. Seniorzy, którzy odwiedzają teatry, kina, galerie sztuki czy biblioteki, biorą udział w lokalnych inicjatywach i warsztatach, mimo wieku mogą wciąż doświadczać czegoś nowego.

Warsztaty dają seniorom coś więcej niż tylko nowe umiejętności, to przestrzeń spotkania z drugim człowiekiem. Samotność jest jednym z największych wyzwań wieku późnej dorosłości. Zmniejszenie kontaktów zawodowych, odejście bliskich, rozproszenie rodziny – wszystko to może prowadzić do poczucia izolacji. Tymczasem spotkania warsztatowe nadają rytm dnia i tworzą wspólnotę.

Właśnie dlatego postanowiliśmy w „Tygodniku Powszechnym" zorganizować dzień aktywności senioralnej w naszej redakcji. Przestrzeń, w której na co dzień powstają nasze teksty, stała się także miejscem bezpośredniego spotkania z czytelnikami.

Fotografia, podróże i lektura

Jacek Taran poprowadził zajęcia z fotografii. Uczestniczki warsztatów przeszły kurs korzystania z podstawowego narzędzia, jakie zwykle noszą przy sobie – aparatu w smartfonie. W trakcie szkolenia dowiedziały się o regule trójpodziału, mocnych punktach i liniach w kadrze, a także o sposobach obróbki zdjęcia, dostosowania kontrastu, nasycenia czy też odpowiedniego przycięcia obrazu. Seniorki mogły także przeanalizować dotychczas wykonywane zdjęcia, dowiedziały się, co można w nich poprawić, a co świadczy o ewidentnym fotograficznym talencie.

eprasa.pl c90e1c6c76

Warsztaty dla studentek Uniwersytetu Trzeciego Wieku w redakcji „Tygodnika Powszechnego". Kraków, 20 lutego 2026 r.

Kolejnym punktem naszego programu były zajęcia z Wiolettą Drozdowską-Malicką z Albatros Travel, która poprowadziła warsztaty poświęcone podróżom. Już od początku można było odczuć, że temat wywoła żywą dyskusję o tym, czym jest podróżowanie w dojrzałym wieku, jakie daje możliwości, jakie stawia wyzwania i jak podróżować mądrze.

Uczestniczki dzieliły się swoimi doświadczeniami, zarówno tymi sprzed lat, jak i całkiem świeżymi. Opowiadały, dokąd jeszcze chciałyby pojechać i jakie miejsca wciąż pozostają na ich osobistej mapie planów. Spotkanie nie tylko dostarczyło praktycznej wiedzy, ale przede wszystkim wzmocniło przekonanie, że wiek nie jest przeszkodą w odkrywaniu świata. Wręcz przeciwnie – może to być najlepszy moment, by podróżować uważnie, świadomie i z radością.

Osobiście miałem przyjemność poprowadzić ostatni warsztat, podczas którego uczestniczki podzieliły się tym, jak dokonywać świadomych wyborów czytelniczych. Stworzyliśmy wspólnie mapę najważniejszych wydawców literackich w Polsce, a także nagród, czasopism i festiwali, tworząc kompendium wiedzy o współczesnym rynku książki.

Całość zwieńczyła wzajemna rekomendacja książek czytanych w ostatnim czasie. Wszystkie seniorki doskonale wiedziały, co lubią, a za czym nie przepadają, i chętnie polecały sobie wartościowe tytuły. Szybko okazało się, że za ich wyborami czytelniczymi stoi ogromne doświadczenie – lata obcowania z literaturą, powroty do ukochanych autorek i autorów, ale też gotowość do sięgania po nowości.

Więzi między pokoleniami

Organizując dzień warsztatów, chcieliśmy symbolicznie podkreślić, że redakcja to nie zamknięta instytucja, lecz wspólnota autorów i czytelników. Seniorzy są ważną częścią tej wspólnoty – nie tylko jako odbiorcy treści, lecz także jako partnerzy w rozmowie o wartościach, kulturze i życiu społecznym. Wierzymy, że spotkanie w przestrzeni redakcji może umocnić tę więź i stać się początkiem kolejnych inicjatyw. ©℗

eprasa.pl c90e1c6c76

40 lat w drodze

Właśnie mija 40 lat od chwili, gdy Albatros Travel otworzył swoje pierwsze biuro w skromnym lokalu przy ulicy Strøget w Kopenhadze. Na początku firma oferowała tylko jeden typ wycieczek – safari w Afryce, a głównym majątkiem był wówczas samochód terenowy Land Rover z 1959 roku oraz ogromne pokłady optymizmu. Wysłużony samochód woził spragnionych safari turystów na afrykańską sawannę, gdzie rozbijaliśmy wojskowe namioty wokół ogniska, a miejscowi przewodnicy Peter i Rafale przygotowywali posiłki nad ogniem. Komfort był ograniczony, ale widoki i przeżycia niezapomniane.

Z czasem oferta poszerzała się i razem z naszymi klientami m.in. zdobywaliśmy górskie szczyty, nurkowaliśmy z wielorybami i rekinami, odwiedzaliśmy łowców głów w głębokiej dżungli i zwiedzaliśmy najsłynniejsze zabytki architektury. Jednocześnie dbaliśmy o zadowolenie klientów, pracowników i osób współpracujących z nami w destynacji. Mieliśmy także duży szacunek dla natury i lokalnych kultur. Ambicje mieliśmy ogromne, choć sztuki biznesu dopiero się uczyliśmy. Jednak dzięki zapałowi, odważnym decyzjom i wytrwałej pracy udało się nam zbudować firmę, z której jesteśmy dumni.

Po drodze podejmowaliśmy się różnych wyzwań, od prowadzenia hoteli na Grenlandii i w Afryce, przez zakup statków ekspedycyjnych na rejsy arktyczne, aż po wielkie maratony na Wielkim Murze Chińskim oraz wśród starożytnych ruin w Meksyku i Jordanii. Rozszerzaliśmy też działalność o kolejne kraje skandynawskie, a jesienią 2017 roku otworzyliśmy biuro w Polsce. Obecnie mamy międzynarodowy zespół pracowników, a praca rozproszona jest po wielu krajach, jednak wszystkich łączą te same, wyjątkowe wartości Albatrosa, które wyznawaliśmy od samego początku naszej drogi.

Przez wszystkie te lata pozostaliśmy prywatną, rodzinną firmą, utrzymującą bliskie relacje zarówno z pracownikami, jak i naszymi partnerami oraz ze stale rosnącą grupą wiernych, lojalnych klientów, którzy w dużej mierze inspirowali nas do tego, co prezentujemy w naszym katalogu. Ostatecznie to radość i zadowolenie Wasze – naszych podróżników – stanowią dla nas największą inspirację i źródło satysfakcji z pracy.

Świat zmienia się jednak tak szybko, że najbardziej aktualne informacje zawsze można znaleźć na naszej stronie internetowej.

Dziękujemy za wiele lat przygód, wsparcia i inspiracji.

SØREN RASMUSSEN, założyciel Albatros Travel

Na zdjęciu: ze swoim następcą – synem Rasmusem, podczas gali Danish Travel Awards 2025

Albatros travel

epras_pl c90e136c76

MATERIAŁY PRASOWE ALBATROS TRAVEL

Podróżowanie może być bardzo ważną aktywnością w życiu seniora.

Przede wszystkim jest to forma poznawania świata, która ma wyjątkowo terapeutyczne działanie. Nie tylko podnosi zdolności poznawcze, zmniejszające się z wiekiem, ale także podtrzymuje kondycję ciała i umysłu. Podróżowanie jest możliwością wyjścia z domu, spotkania nowych ludzi, utrzymania aktywnego trybu życia. Bardzo często pomaga też w walce z depresją, która jest coraz częstszym zjawiskiem wśród osób starszych. Zmiana otoczenia, nowe bodźce, kontakt z naturą i kulturą działają odświeżająco – pozwalają oderwać się od codziennych trosk i rutyny, a jednocześnie wzmacniają poczucie sprawczości i samodzielności.

Przygotowując programy dla dojrzałych podróżników, zwracamy uwagę, aby zachować odpowiedni balans pomiędzy czasem poświęconym na zwiedzanie i odpoczynek. Zbierając najpełniejsze doświadczenia z odwiedzanych miejsc warto pamiętać, że najważniejsze jest dobre dostosowanie tempa zwiedzania do swoich fizycznych możliwości. Odpowiednio zaplanowane przerwy, komfortowy transport, noclegi w dogodnej lokalizacji sprawiają, że podróż staje się bezpieczna i przyjemna.

Najbardziej popularnymi kierunkami wybieranymi przez seniorów są kierunki europejskie – głównie Norwegia, zwłaszcza norweskie fiordy, które zachwycają majestatem krajobrazu i spokojem natury. Dużym zainteresowaniem cieszą się również wyjazdy do Włoch i Hiszpanii, gdzie łączy się bogactwo kultury z przyjemnym klimatem.

Podróżowanie w dojrzałym wieku to sposób na zachowanie ciekawości świata, budowanie relacji i podtrzymywanie aktywności fizycznej oraz intelektualnej. Każda podróż – bliska czy daleka – może stać się potwierdzeniem, że niezależnie od wieku warto wciąż odkrywać, doświadczać i zachwycać się światem.

WIOLETTA DROZDOWSKA-MALICKA
Albatros Travel Polska

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl c90e1c6c76

SYLWIA ŚLIWKA

Warsztaty dla studentek Uniwersytetu Trzeciego Wieku w redakcji „Tygodnika Powszechnego". Kraków, 20 lutego 2026 r.

Starość nie przychodzi nagle

PROF. PIOTR BŁĘDOWSKI, EKSPERT POLITYKI SPOŁECZNEJ:

Na swoją starość pracujemy przez całe życie. Tymczasem w Polsce nie mamy realnego systemu przygotowania na nią. A powinien on obejmować wymiar ekonomiczny, zdrowotny, społeczny i psychologiczny.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Coraz częściej słyszymy, że Polska demograficznie starzeje się szybciej niż reszta krajów zachodnich. To precyzyjna diagnoza czy publicystyczny skrót?

PIOTR BŁĘDOWSKI: W tej chwili można powiedzieć, że to prawda, choć trzeba pamiętać, że to proces dynamiczny. „Najszybsze starzenie się" nie oznacza, że mamy najwięcej osób starszych, lecz że najszybciej rośnie ich odsetek. A rośnie dlatego, że dramatycznie spada liczba urodzeń. Jeśli młodych jest coraz mniej, to siłą rzeczy udział osób starszych się zwiększa. To właśnie tempo tych zmian przyciąga uwagę polityków i badaczy.

Skoro problem jest rozpoznany, to czy państwo ma tu jakiś plan?

Jakiś plan mamy – z naciskiem na „jakiś". Tempo zmian jest zaskakujące i właściwie stoimy dziś pod ścianą. Oczywiście od dawna było wiadomo, że odsetek osób starszych będzie rósł, więc powinniśmy być przygotowani. Nie byliśmy – i to nie jest wina jednego rządu, lecz całej klasy politycznej. Przez lata kolejne rządy traktowały rodzinę jako alibi dla własnej bezczynności wobec problemów starzenia się i starości. Uznawano, że to ona ma zapewnić opiekę. Dziś widać wyraźnie, że to założenie było nierealistyczne.

Powołanie ministra ds. polityki senioralnej nie było pustym gestem, ale oczekiwania były większe. Ustawa o bonie senioralnym wciąż nie została uchwalona. Trwają prace nad rozwiązaniami dotyczącymi opieki długoterminowej i jej koordynacji – to idzie w dobrym kierunku, lecz za wolno. Problem nie polega na braku świadomości, lecz na opóźnieniu działań systemowych.

A co z innymi aspektami starości – samotnością, aktywizacją, relacjami społecznymi?

Najpierw musimy sobie uświadomić, że mówimy o bardzo zróżnicowanej grupie. Wśród ponad 10 milionów osób starszych są zarówno sprawni siedemdziesięciolatkowie, jak i dziewięćdziesięciolatkowie wymagający stałej pomocy. Nie da się prowadzić jednej polityki wobec „starości". Mamy więc dwa kierunki działań: wsparcie dla osób niesamodzielnych oraz podtrzymywanie aktywności tych, którzy mogą jeszcze funkcjonować społecznie – choćby poprzez wolontariat czy działalność lokalną.

Samotność natomiast jest skutkiem wielu procesów: zmian zdrowotnych, kulturowych, ekonomicznych. Rodzina jest dziś rozproszona – często w skali kraju, kontynentu, świata. Z wiekiem pogarsza się stan zdrowia, rośnie zależność od pomocy innych, a tej pomocy zaczyna brakować. Ponad połowa jednoosobowych gospodarstw domowych w Polsce to osoby w wieku 60+. To nie jest

eprasa.pl c90e1c6c76

styl życia, lecz konsekwencja zdarzeń życiowych: śmierci współmałżonka, odchodzenia rówieśników, wyprowadzki dzieci. Człowiek zostaje sam nie tylko fizycznie, ale też symbolicznie – jako ostatni depozytariusz pamięci rodzinnej. Znika codzienny dialog, znika ktoś, kto potwierdza nasze wspomnienia.

Jakie są tego konsekwencje?

Samotność ma bardzo konkretne skutki zdrowotne. Wiemy z badań, że zwiększa ryzyko depresji, przyspiesza pogorszenie funkcji poznawczych, wpływa na choroby układu krążenia. To nie jest więc problem „emocjonalny", lecz systemowy. A jednocześnie jest trudny do rozwiązania odgórnie. Nie wystarczy program ministerialny. Potrzebna jest gęsta sieć lokalnych relacji, miejsc spotkań, animacji społecznej. Bez infrastruktury społecznej samotność będzie narastać, a jej koszty – także finansowe – będą ponosić system ochrony zdrowia i opieki społecznej.

Co państwo może w tej kwestii zaradzić?

Nie da się tego rozwiązać wyłącznie na poziomie centralnym. Samotność jest widoczna dopiero z bliska, w skali lokalnej. Dlatego polityka senioralna powinna być realizowana przede wszystkim przez samorządy. A tam zawsze pojawia się konkurencja innych potrzeb i ograniczenia finansowe.

Brakuje nam infrastruktury społecznej. W niemieckim Kassel – mieście wielkości Radomia – działa ponad 400 miejsc i instytucji, w których osoby starsze mogą wspólnie spędzać czas: od domów dziennego pobytu po niewielkie klubiki parafialne otwarte kilka godzin w tygodniu. U nas takiej sieci wciąż nie ma. Bez niej trudno mówić o realnym przeciwdziałaniu samotności. A bez rozwiązania problemu samotności trudno mówić o godnym starzeniu się społeczeństwa.

W Polsce wciąż bardzo drażliwy jest temat oddania osoby starszej do domu pomocy społecznej. Towarzyszą temu wstyd, napięcie, poczucie moralnej porażki. Czy to się zmienia?

Trzeba rozdzielić kilka kwestii. Po pierwsze – historia. Przez wiele lat domy pomocy społecznej czy zakłady opiekuńcze były w Polsce niedoinwestowane. Warunki bywały trudne, poziom usług niski. Utrwaliło się więc przekonanie, że to miejsca, na które „skazuje się" osoby zależne. Do tego dochodziło poczucie, że to już „ostatni etap".

Od lat 90. ubiegłego wieku sytuacja zaczęła się zmieniać. Wprowadzono standardy, poprawiła się jakość życia w tych placówkach. Problem w tym, że świadomość społeczna nie nadążyła – wciąż żyjemy dawnymi wyobrażeniami.

Czyli to kwestia stereotypu?

Tak. Ale jest też drugi element: kultura i tradycja. Przez lata państwo eksponowało rolę rodziny – również po to, by uniknąć kosztownych inwestycji w opiekę instytucjonalną. Wytworzyła się presja moralna: to rodzina ma obowiązek się zająć. Jeśli ktoś tego nie robi, jest to postrzegane jako coś wstydliwego. Ta presja słabnie, ale nadal działa.

Trzeba też pamiętać, że w Europie Zachodniej procesy przemysłowe i migracyjne zaczęły się wcześniej. Rodziny szybciej się rozpraszały, a system zabezpieczenia społecznego przejmował część funkcji opiekuńczych. Dlatego porównywanie Polski z Niemcami czy Szwecją bez uwzględnienia kontekstu historycznego bywa mylące.

Czyli dziś to podejście się zmienia?

Coraz częściej osoby starsze same akceptują możliwość zamieszkania w takiej placówce. Nie tylko dlatego, że nie chcą obciążać dzieci, ale dlatego, że wiedzą, iż tam mają całodobową opiekę. W domu – nawet przy najlepszej woli rodziny – zapewnienie takiej opieki bywa niemożliwe. Musimy też uwzględnić rosnącą specjalizację opieki. Coraz więcej osób wymaga wsparcia medycznego czy rehabilitacyjnego, którego rodzina nie jest w stanie zapewnić.

Dużo się dziś mówi także o deinstytucjonalizacji systemu opieki – jak Pan to widzi?

To złożony problem. Takie rozwiązanie ma radykalnych zwolenników, którzy najchętniej zamknęliby wszystkie placówki. Ale wtedy pojawia się pytanie: kto i za jakie pieniądze zapewni profesjonalną opiekę w domach? I skąd wziąć personel? Deinstytucjonalizacja nie powinna polegać na prostym „opuszczaniu placówek". Powinna oznaczać realną możliwość wyboru. Osoba zależna powinna móc zdecydować: zostaję w domu, mając regularne wsparcie opiekunów, albo wybieram placówkę, gdzie w każdej chwili mogę wezwać pomoc. Prawdziwa deinstytucjonalizacja zaczyna się wtedy, gdy ktoś nie idzie do placówki nie z braku miejsc, lecz dlatego, że ma w domu zapewnione godne warunki.

Spójrzmy w przyszłość. Za 20-30 lat przesunięcie demograficzne w stronę senioralną będzie jeszcze wyraźniejsze. Czy to wpłynie na politykę i gospodarkę?

I to znacząco. Wzrost liczby osób starszych oznacza większe wydatki na ochronę zdrowia i opiekę długoterminową. Jednocześnie zmniejszy się liczba osób w wieku produkcyjnym, czyli tych, które finansują system. To wymusi korekty w polityce społecznej, rynku pracy, a nawet w mieszkalnictwie. Potrzebne będą inne typy mieszkań, więcej usług lokalnych, inna infrastruktura.

Zmieni się też polityka. Grupa osób starszych będzie liczniejsza i bardziej wpływowa. To może oznaczać większą presję na bezpieczeństwo socjalne, stabilność i ochronę świadczeń. Najważniejsze jest jednak to, że starzenie się społeczeństwa nie jest epizodem – to trwała zmiana struktury. I jeśli nie dostosujemy do niej instytucji, napięcia będą narastać.

To jak będzie wyglądało społeczeństwo za kilka dekad?

Mam nadzieję, że uda się uniknąć czegoś, co nazywam dziś „gerontokracją" – nie w dawnym sensie tego słowa, czyli rządów ludzi starych, lecz podporządkowania polityki głosom starszej części elektoratu. Już teraz widać, że partie coraz intensywniej zabiegają o ten elektorat, obiecując kolejne świadczenia. To nie jest wyraz podmiotowości wyborców, lecz ich instrumentalizacja.

Problem polega na tym, że taka polityka utrwala krótką perspektywę czasową. Zamiast budować system opieki długoterminowej, reformować rynek usług opiekuńczych czy inwestować w profilaktykę zdrowotną, łatwiej jest zwiększyć transfer pieniężny. Tyle że pieniądz nie zastąpi infrastruktury ani personelu. Nie zastąpi miejsc w domach dziennego pobytu, nie zbuduje systemu wsparcia środowiskowego. ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

Jeżeli polityka zacznie być prowadzona zgodnie z logiką „kto da więcej seniorom", może to w dłuższej perspektywie prowadzić do napięć międzypokoleniowych. Młodsze pokolenia mogą odnieść wrażenie, że ich interesy są marginalizowane, a ciężar finansowania systemu rośnie. To bardzo niebezpieczna droga. Polityka senioralna powinna być elementem ponadpartyjnej umowy międzypokoleniowej, a nie polem rywalizacji wyborczej. Bez takiej równowagi trudno będzie utrzymać społeczną solidarność.

Czyli potrzebny jest trwały konsensus?

Tak. W pierwszej dekadzie XXI wieku pracowałem przy projekcie ustawy o ubezpieczeniu pielęgnacyjnym. Miałem wtedy przekonanie, że budujemy rozwiązanie, z którego kiedyś sam skorzystam. Dziś nie mam pewności, że pokolenie mojej córki będzie miało takie systemowe wsparcie. To pokazuje skalę zaniedbania.

Musimy też zmienić podejście do migracji. W wielu krajach zachodnich znaczną część opiekunów stanowią migranci. To nie jest problem, jeśli są dobrze przygotowani. Problemem jest traktowanie migracji wyłącznie jako narzędzia politycznego sporu.

Jednego możemy być pewni: zapotrzebowanie na opiekunów nie spadnie. Teleopieka, nowe technologie, robotyka – mogą pomóc, ale nie zastąpią relacji. Problemu samotności nie rozwiąże nawet najlepiej zaprogramowana maszyna. Jeśli nie zaczniemy działać teraz, za 30 lat będziemy mierzyć się z bardzo bolesnymi konsekwencjami.

O czym w kontekście starości mówi się dziś za mało – albo wcale?

Nie chodzi o konkretny temat, a raczej o to, że brakuje nam pełnego obrazu. Koncentrujemy się na emeryturach i opiece medycznej, a pomijamy choćby kwestie zależności, nierówności klasowych czy różnic między „młodą starością" a głęboką niesamodzielnością. Nie dostrzegamy też, jak bardzo starość jest doświadczeniem zróżnicowanym – zależnym od miejsca zamieszkania, zasobów, sieci wsparcia. Brakuje nam refleksji nad samotnością jako procesem społecznym, a nie tylko indywidualnym problemem. I wreszcie – zbyt rzadko mówimy o tym, że polityka senioralna to nie tylko reagowanie na kryzysy, lecz projektowanie przyszłości całego społeczeństwa.

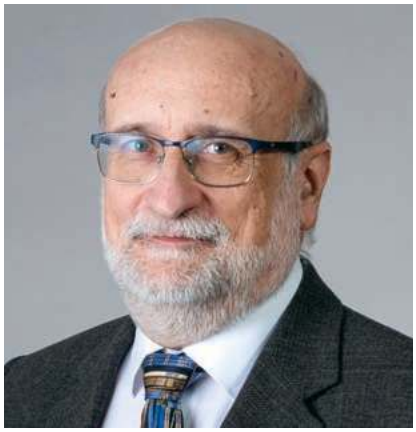

MATERIAŁY PRASOWE

PROF. PIOTR BŁĘDOWSKI jest ekonomistą SGH, specjalizuje się w polityce społecznej.

Co właściwie oznacza „przygotowanie do starości"?

Na swoją starość pracujemy przez całe życie. Tymczasem w Polsce nie mamy realnego systemu przygotowania do starości. Mówi się o oszczędzaniu, o wysokości emerytur, ale to tylko fragment problemu.

Przygotowanie do starości powinno obejmować kilka wymiarów: ekonomiczny, zdrowotny, społeczny i psychologiczny. Jeśli ktoś przez 40 lat funkcjonuje wyłącznie w roli pracownika, to przejście na emeryturę bywa doświadczeniem utraty tożsamości. Nagle znika rytm dnia, sieć kontaktów zawodowych, poczucie bycia potrzebnym. Bez wcześniejszego budowania alternatywnych form aktywności ten moment może być bardzo trudny.

Drugi aspekt to zdrowie. Profilaktyka w wieku 40 czy 50 lat bezpośrednio przekłada się na jakość życia w wieku 70 czy 80 lat. Tymczasem my traktujemy starość jako coś odległego i abstrakcyjnego, co zacznie się „kiedyś". Nie uczymy młodych, jak planować długowieczność. A przecież wydłużenie życia to jeden z największych sukcesów cywilizacyjnych. Jeśli nie będą towarzyszyć mu refleksja i edukacja, stanie się źródłem napięć, a nie dobrostanu.

Czyli problemem jest brak edukacji?

Tak, ale nie w formie symbolicznych gestów. Czasem organizuje się warsztaty, podczas których młodym ludziom zakłada się specjalne kombinezony ograniczające ruch, obciążniki na stawy, okulary symulujące pogorszenie wzroku czy rękawice utrudniające chwytanie przedmiotów. Chodzi o to, by przez chwilę „poczuli", jak to jest mieć mniej siły, gorszą koordynację czy słabszy wzrok. To bywa poruszające i działa na wyobraźnię, ale pozostaje doświadczeniem jednorazowym i uproszczonym. Starość nie przychodzi nagle w dniu 65. urodzin. To proces rozłożony na lata, w którym człowiek stopniowo adaptuje się do zmian – fizycznych, społecznych i psychologicznych. Jeśli chcemy naprawdę przygotowywać do starości, potrzebujemy nie spektakularnych symulacji, lecz systematycznej edukacji i rozmowy o tym, jak wygląda długie życie w zmieniającym się świecie. To proces, do którego człowiek stopniowo się adaptuje. Potrzebujemy racjonalnego tłumaczenia jej istoty – bez straszenia i bez idealizowania.

Drugą sprawą jest brak politycznego konsensusu. Polityka senioralna powinna być elementem głównego nurtu polityki państwa, a nie dodatkiem sektorowym. Decyzje gospodarcze czy inwestycyjne podejmowane dziś przyniosą skutki za 20-30 lat – właśnie w społeczeństwie znacznie starszym. Nie możemy pozwolić sobie na ciągłe zaczynanie od nowa. Jeśli budujemy system, to musi on być kontynuowany niezależnie od zmiany rządów. Inaczej będziemy tylko łatać kolejne luki.

Podsumowując – czego dziś najbardziej potrzebujemy w myśleniu o starości i polityce senioralnej?

Polityka senioralna dotyczy każdego obszaru działania państwa: rynku pracy, zdrowia, mieszkalnictwa, edukacji. Nie może być traktowana jako jedna z wielu „polityk sektorowych". W obecnych warunkach demograficznych powinna stać się polityką centralną. I to jest zadanie nie tylko rządu, lecz całego społeczeństwa. Można tworzyć najlepsze programy profilaktyczne czy opiekuńcze, ale jeśli ludzie nie będą świadomi ich sensu i nie będą chcieli z nich korzystać, niewiele się zmieni.

Starzenie się społeczeństwa to jedno z największych wyzwań cywilizacyjnych, przed jakim dziś stoimy.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

eprasa.pl c90e1c6c76

Saga rodzinna, powieść kryminalna i historyczna w jednym, napisana z epickim rozmachem, ale bez patosu, z lekkim przymrużeniem oka.

Barwny obraz życia we Francji w połowie XX wieku, w okresie zwanym **Latami Chwały**.

I choć nie wszyscy Francuzi mogą uznać te czasy za szczęśliwe... To członkowie rodziny Pelletierów radzą sobie nie najgorzej.

Ekstrawagancka „komedia ludzka" – zuchwała, pełna ironii, miejscami wręcz zjadliwa.

Książka na miarę francuskich mistrzów Balzaca i Stendhala.

Trzeci tom bestsellerowego cyklu Pierre'a Lemaitre'a

Lokomotywa na pełnych obrotach: wchodzisz z hukiem, wychodzisz nieco rozbity, całkiem jak XX wiek, którego historię pisze Lemaitre.

„Le Temps"

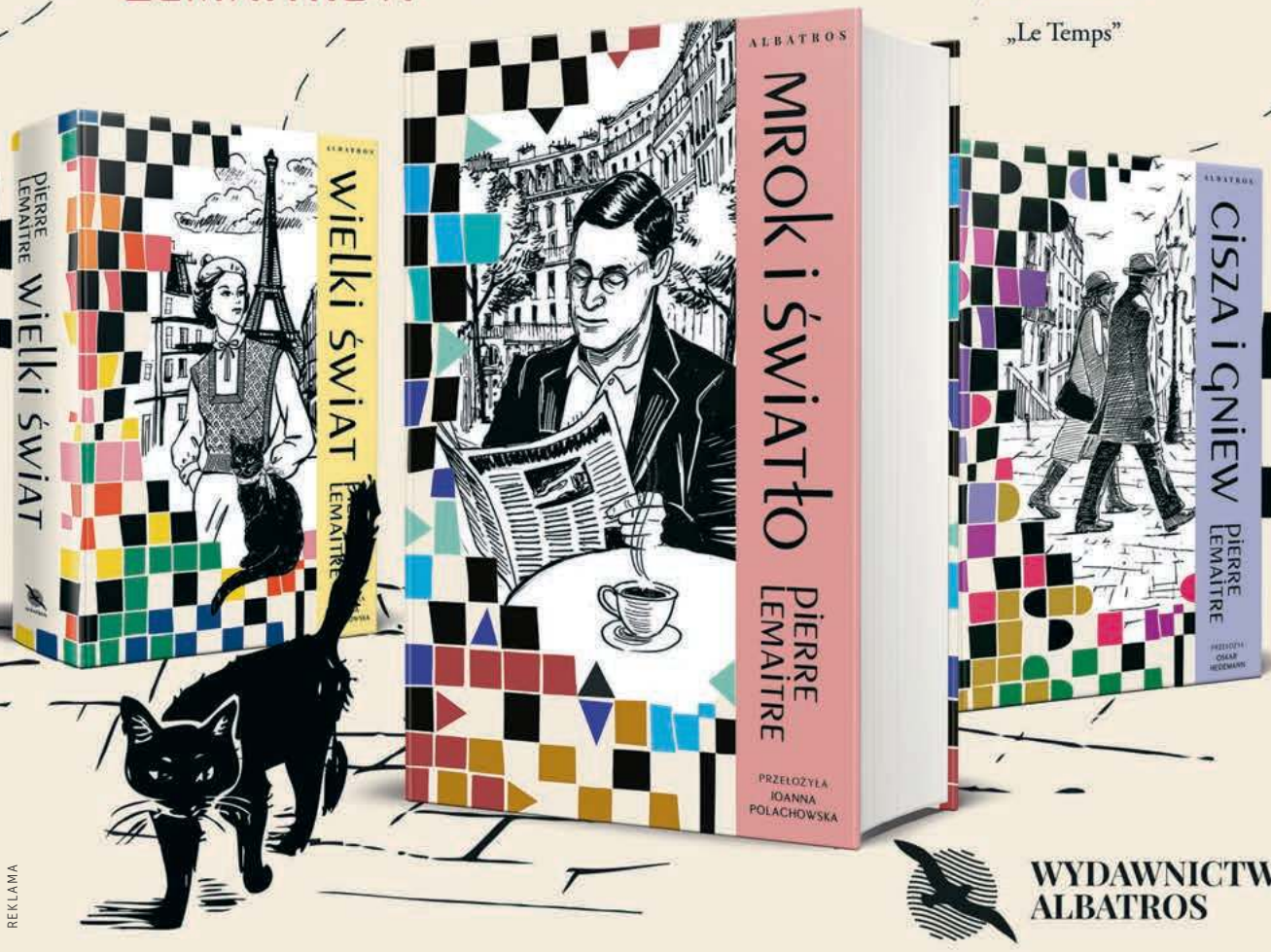

Wydawnictwo Albatros

REKLAMA

eprasa.pl c90e1c6c76

SYLWIA ŚLIWKA

Warsztaty fotograficzne dla studentek Uniwersytetu Trzeciego Wieku w redakcji „Tygodnika Powszechnego". Kraków, 20 lutego 2026 r.

Patrzeć uważniej

JACEK TARAN

W ramach współpracy „Tygodnika Powszechnego" z Uniwersytetem Trzeciego Wieku odbyły się warsztaty fotografii mobilnej „Chwile warte zapamiętania", poświęcone sztuce uważnego patrzenia przez obiektyw telefonu.

Spotkanie zgromadziło grupę studentek UTW, które mimo bogactwa życiowych doświadczeń z niesłabnącą ciekawością sięgają po nowe narzędzia i nowe sposoby opowiadania o świecie. Tym razem narzędziem tym był telefon komórkowy: urządzenie codzienne, niepozorne, a jednak zdolne stać się środkiem twórczego wyrazu.

Warsztaty od początku przebiegały w atmosferze skupienia, ale i życzliwej swobody. Uczestniczki przyszły z telefonami w dłoniach i własnymi fotografiami – z wakacyjnych podróży, rodzinnych wyjazdów czy zwykłych spacerów po okolicy. To właśnie te zdjęcia, pozornie zwyczajne, stały się punktem wyjścia do rozmowy o tym, czym jest fotografia i co sprawia, że jedno ujęcie zatrzymuje uwagę, inne pozostaje jedynie dokumentem chwili, a jeszcze inne przerzucamy z obojętnością.

Odwołując się do przykładów fotografii z podróży i codzienności, uczestniczki wspólnie odkrywały, że dobre zdjęcie nie zależy przede wszystkim od sprzętu, lecz od uważności: od wrażliwości na światło,

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 09/2026
REDAKCJA: Michał Sowiński
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara
PARTNER STRATEGICZNY: Albatros travel
PARTNERZY: WYDAWNICTWO ALBATROS, caritas

eprasa.pl c90e1c6c76

Pokaz balonowy w Kapadocji, Turcja, fot. Bogusława Klaput

Wiatraki na Amorgos, Grecja, fot. Hanna Jelonkiewicz

Kutry na wybrzeżu, fot. Emilia Gromek

Kresy Nadbużańskie, fot. Elżbieta Pietryga-Sromek

świadomego wyboru kadru i umiejętności dostrzeżenia tego, co istotne. Fotografia, jak się okazało, zaczyna się nie w aparacie, lecz w zamyśle i skupionym spojrzeniu.

Porządek obrazu

Jednym z najważniejszych tematów spotkania były zasady kompozycji, które pozwalają uporządkować obraz i nadać mu siłę wyrazu. Szczególną uwagę poświęcono regule trójpodziału – prostej, lecz niezwykle skutecznej zasadzie polegającej na podzieleniu kadru na trzy równe części w pionie i poziomie. Najważniejsze elementy zdjęcia warto umieszczać nie w samym środku, lecz wzdłuż tych linii lub w punktach ich przecięcia, zwanych złotymi punktami.

Taki zabieg sprawia, że fotografia zyskuje równowagę i naturalność.

Nie mniej istotne okazały się tzw. linie prowadzące – drogi, ścieżki, ogrodzenia czy linia horyzontu – które kierują wzrok widza w głąb obrazu i nadają mu przestrzenność. Uczestniczki z dużym zaangażowaniem analizowały zarówno przykłady prezentowane przez prowadzącego, jak i własne fotografie.

Wspólne analizy miały wymiar nie tylko techniczny, lecz także osobisty. Fotografie okazywały się nośnikami wspomnień, emocji i historii – opowieści o odwiedzonych miejscach, przeżytych chwilach, bliskich osobach.

Jest dobrze, ale może być lepiej

Duże zainteresowanie wzbudziła część warsztatów poświęcona obróbce zdjęć. Uczestniczki poznały jedną z najpopularniejszych aplikacji do obróbki fotografii w telefonie. Snapseed – intuicyjne, darmowe narzędzie, które pozwala w prosty sposób poprawić jasność, kontrast czy kompozycję obrazu. Dla wielu osób odkryciem była świadomość, że nawet niewielkie korekty mogą znacząco zmienić odbiór fotografii, wydobywając z niej detale i podkreślając jej nastrój.

↦

eprasa.pl c90e1c6c76

Panie chętnie instalowały aplikację na swoich telefonach i natychmiast testowały jej możliwości. Okazało się, że telefon może być nie tylko narzędziem rejestracji, lecz także środkiem twórczej interpretacji rzeczywistości.

Rozmowa szybko wykroczyła poza kwestie czysto techniczne. Uczestniczki pytały o rolę sztucznej inteligencji w obróbce zdjęć i o granice ingerencji w obraz. Wiele z nich podkreślało, że najważniejsze pozostaje zachowanie autentyczności i emocji związanych z fotografowaną chwilą – nie dążenie do perfekcji.

Fotografia a odpowiedzialność

Nie zabrakło także pytań o aspekty prawne fotografowania w przestrzeni publicznej. Uczestniczki chciały wiedzieć, kiedy można fotografować ludzi, a kiedy konieczna jest ich zgoda. Te pytania świadczyły o dużej świadomości i odpowiedzialności – o przekonaniu, że fotografia jest nie tylko przywilejem, lecz także formą relacji z drugim człowiekiem.

> Fotografia mobilna może być czymś więcej niż tylko szybkim zapisem chwili. **Może stać się sposobem patrzenia na świat** – świadomym, uważnym, otwartym.

Pojawiły się również pytania bardziej osobiste, dotyczące wykonywania autoportretów. Jak ustawić światło, jak dobrać kąt, by twarz wyglądała korzystnie i naturalnie? Te praktyczne wskazówki spotkały się z żywym zainteresowaniem i dużą dawką humoru. Uczestniczki żartowały, że odtąd ich zdjęcia nie będą już powodem rodzinnych docinków, lecz powodem do dumy.

Chwile, które zostają

Na zakończenie wybrano kilka najciekawszych fotografii, które – zarówno w swojej pierwotnej formie, jak i po delikatnej obróbce – pokazały, jak wielki potencjał tkwi w uważnym spojrzeniu. Zdecydowano, że wybrane prace zostaną opublikowane, stając się świadectwem nie tylko zdobytych umiejętności, lecz także wrażliwości ich autorek.

Warsztaty „Chwile warte zapamiętania" pokazały, że fotografia mobilna może być czymś więcej niż tylko szybkim zapisem chwili. Może stać się sposobem patrzenia na świat – świadomym, uważnym, otwartym. Uczestniczki opuszczały spotkanie nie tylko z nową wiedzą, lecz także z poczuciem, że aparat w telefonie może być sprzymierzeńcem w odkrywaniu piękna codzienności.

©℗ JACEK TARAN

REKLAMA

eprasa.pl c90e1c6c76

MATERIAŁY PRASOWE CARITAS POLSKA

KARTA, KTÓRA PRZYWRACA SPRAWCZOŚĆ

Walczymy o świat, gdzie seniorzy nie są niewidzialni

„POSIADANIE KARTY PRZEDPŁACONEJ pozwala mi kupować lepsze mięso, owoce czy jogurty. Nie muszę się już martwić, że nie będę miała co jeść" – mówi 73-letnia pani Basia, która codziennie opiekuje się swoim dorosłym niepełnosprawnym synem. I w jednym z tych krótkich zdań kryje się gorzka diagnoza dotycząca codziennej rzeczywistości tysięcy seniorów. Dla nich luksus to nie drogie samochody czy zagraniczne wyjazdy. Ma raczej postać świeżego mięsa, sezonowych owoców i pewności, że jutrzejszy obiad nie stoi pod znakiem zapytania. Caritas Polska i Fundacja Biedronki zrealizowały już 8 edycji programu dla seniorów, którzy oprócz wsparcia finansowego, potrzebują też obecności drugiego człowieka.

RAPORT IPSOS POLSKA, przygotowany na zlecenie Fundacji Biedronki (www.fundacjabiedronki.pl), jest jak zimny prysznic, który ma obudzić naszą zbiorową wrażliwość. Statystyki są brutalne: co czwarty senior w Polsce rezygnuje z podstawowych produktów spożywczych z powodów finansowych. Mięso, masło czy świeże owoce stają się dla nich wartościowymi produktami „premium", na które nie mogą już sobie pozwolić, gdy zapłacili czynsz, kupili leki i opłacili podstawowe potrzeby.

ALE NIEDOŻYWIENIE to tylko wierzchołek góry lodowej. Co drugi starszy człowiek zmaga się z ogromną samotnością, połączoną z lękiem i depresją. Badacze nadali tym ludziom trafne określenia: „samotni domatorzy", „służący chorego ciała" czy „zbieracze nieśmiałych marzeń". To ludzie uwięzieni we własnych czterech ścianach – często dosłownie, ponieważ 76% z nich ma trudności z poruszaniem się, a 65% ocenia swoje zdrowie jako złe lub bardzo złe. Ponad 30% respondentów przyznaje wprost: nie mają na kogo liczyć w kryzysie.

Program „Na codzienne zakupy"

W odpowiedzi na tę sytuację Caritas Polska i Fundacja Biedronki realizują już od 8 edycji program „Na codzienne zakupy". W ostatniej z nich pomoc dotarła do 11081 osób, a jej wartość przekroczyła 25 mln zł. Od początku trwania, wsparcie otrzymało co najmniej 75 tys. seniorów, na co przeznaczono ponad 135 mln zł. Mechanizm programu jest nowoczesny i przede wszystkim godnościowy: seniorzy otrzymują karty przedpłacone na zakupy w sklepach Biedronka i samodzielnie decydują o tym, co kupią.

Siła relacji: 4 tysiące wolontariuszy

Środki finansowe na karcie są bardzo ważne, ale siłą napędową programu są ludzie. Caritas ma specjalny kapitał: sieć 1200 Parafialnych Zespołów Caritas oraz ponad 4 tys. wolontariuszy. „Samotność to nie brak ludzi wokół, to brak relacji" – mówi Małgorzata Jarosz-Jarszewska, zastępca dyrektora Caritas Polska.

WOLONTARIUSZE są „łącznikami ze światem": pomagają w zakupach, odwiedzają podopiecznych i przy okazji pijąc z nimi herbatę, słuchają wspomnień, spędzają z nimi czas.
Dla pani Eli – 64-letniej samotnej kobiety – wizyta wolontariusza to wszystko, co może rozświetlić zwykły dzień.
Po śmierci syna czuła się całkowicie osamotniona. Tymczasem pani Maria, która jest wolontariuszką od 36 lat, mówi o przekazywanej karcie: „To radość dla tych, którzy ją otrzymują, ale także dla mnie. Ci ludzie są biedni, ale samotność to ich największy ciężar".

Potrzeba kultury sąsiedzkiej

Caritas Polska zachęca do odrodzenia „kultury sąsiedzkiej". Profesjonalizm w zarządzaniu ogromnymi budżetami można tu połączyć z prostym, ludzkim apelem: Rozejrzyjmy się. Filiżanka kawy, pomoc w zakupach – te drobne działania mogą wyciągnąć kogoś z izolacji. Systemowe wsparcie finansowe i lokalna empatia to dwa filary, które, jak wskazuje program „Na codzienne zakupy", pozwalają wyjść seniorom z cienia. Dzięki nim starsi ludzie, którzy najbardziej tego potrzebują, otrzymują realne, znaczące wsparcie finansowe i – co najważniejsze – bliskość drugiego człowieka, zainteresowanie i potrzebne poczucie wspólnoty. Nie są już niewidzialni dla społeczeństwa.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl c90e1c6c76

34 lata tradycji

TOUROPERATOR ARION Senior

WYCIECZKI BEZ NOCNYCH PRZEJAZDÓW

RENOMOWANE BIURO PODRÓŻY

SUPER PROMOCJA! NA HASŁO „TYGODNIK" GWARANCJA NIEZMIENNOŚCI CENY

tel. 12 632 01 50, kom. 781 892 523, pon - pt 09:30 - 16:30 email: arion@arion.pl www.arionsenior.pl

Kraków, ul. Karmelicka 32 Klientom spoza Krakowa oferujemy noclegi w hotelu w Krakowie - przed i po wycieczce

SKANDYNAWIA

SZWECJA - FINLANDIA - 6 dni

Ekskluzywne promy przez Bałtyk:
Sztokholm – Turku: VIKING LINE
Helsinki – Sztokholm: SILJA LINE

NÖRKOPING - SIGTUNA - SZTOKHOLM - MUZEUM STATKU VASA - MUZEUM ABBA - TURKU - HELSINKI

17.08 - 22.08 / 07.09 - 12.09 Cena od 4260 zł

W cenie: przejazd autobusem lux, opłaty drogowe, 4 przeprawy promowe, 5 noclegów (4 noclegi na promach, 1 w hotelu 4*), 5 śniadań, 5 obiadokolacji (4 x All Inclusive + 1 x serwowana), wieczorny show na promie w czasie rejsu Helsinki - Sztokholm, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Częstochowa, Łódź, Gdynia

SZWECJA - DANIA - 5 dni

Prom Stena Line przez Bałtyk z Gdyni do Szwecji i mostem Oresund z Kopenhagi do Malmo

MALMÖ - KOPENHAGA - ZAMEK KRONBORG - REZERWAT ŁOSI - KALMAR - KARLSKRONA - GDYNIA

28.04 - 02.05 / 01.06 - 15.06 / 24.08 - 28.08.
Cena od 2990 zł w cenie przejazd autobusem

W cenie: przejazd, przeprawy promowe, 4 noclegi (2 x prom, 2 x hotel 4*), 2 x kolacja All Inclusive + 2x serwowane, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Częstochowa, Łódź, Gdynia

NORWEGIA - KRAINA FIORDÓW - 7 dni

KARLSKRONA OSLO - SOGNEFJORD - DOLINA AURLANDSDALEN - FLÅM - rejs po fiordzie NÆRØYFJORD - LAERDAL – BORGUND - GEIRANGER - GEIRANGERFJORD - DROGA TROLLI i ORŁÓW - KARLSKRONA - GDYNIA

13.06 - 19.06 Cena: 6.590 zł
29.06 - 05.07 Cena: 6.780 zł
08.07 - 14.07 Cena: 6.780 zł
+ 400 zł za rejs statkiem po Fiordzie

W cenie: przejazd autokarem, przeprawy promowe, 6 noclegów (2 noce w kabinach na statku, 2 x hotel), 2 posiłki dziennie (bufet), opieka pilota, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG,TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Częstochowa, Łódź, Gdynia.

FRANCJA

NORMANDIA - SZAMPANIA - 8 dni

GIVERNY - ROUEN - FECAMP - ETRETAT - CABOURG - CAEN - plaża OMAHA plaża JUNO - MONT-SAINT-MICHEL - PARYŻ (rejs po Sekwanie) - EPERNAY (degustacja)

15.05 - 24.05 / 05.09 - 12.09
Cena od 5.290 zł

W cenie: przejazd, 7 noclegów w hotelach**/***, 2 posiłki dziennie, rejs statkiem, pilot w jęz. polskim, ubezp.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica

LAZUROWE WYBRZEŻE - 7 dni

NICEA - MENTONA - CANNES - KANION VERDUN - MARSYLIA - ARLES - AVINION - CASSIS - MEDIOLAN

25.06 - 01.07 Cena od: 4290 zł

W cenie: przejazd, 6 noclegów w hotelach**/***, 2 posiłki dziennie, rejs statkiem, opieka pilota w jęz. pol., ubezp.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

PARYŻ - WERSAL - ZAMKI LOARY - 7 dni

REIMS - PARYŻ - WERSAL - CHAMBORD - CHENONCEAUX - MONTRESOR - CLOS LUCE - BLOIS

18.04 - 24.04 / 03.10 - 09.10 Cena od 4390 zł

W cenie: przejazd, 6 noclegów w hotelach**/***, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezp. KLiNNW,
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica

PROWANSJA-ALZACJA - 8 dni

Zwiedzanie: Mentona - Nicea - Cannes - Kanion Verdon - Moustiers Sainte Marie - Marsylia Cassis - PN Calanques - Arles - Avignion - Route des Vins - Colmar - Obernai - Strasburg (rejs statkiem)

09.06 - 14.06 Cena: 3.880 zł

W cenie: przejazd autobusem lux, opłaty drogowe, 7 noclegów w hotelach**/***, 7 śniadań, 7 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, MOP Mszana Północ przy A1

BELGIA

BELGIA - LUKSEMBURG - 6 dni

TREWIR - LUKSEMBURG - BRUKSELA (dywan kwiatowy) GANDAWA - BRUGIA (rejs po kanałach) - ANTWERPIA

11.08 - 16.08 Cena od 3640 zł

W cenie: przejazd, 5 noclegów w hotelach***, 5 śniadań, 4 obiadokolacje, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFP, TFG, Vat
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica.

KONCERT FILHARMONIKÓW WIEDEŃSKICH

w ogrodach Pałacu Schonbrunn
Wycieczka 3 dni

WIEDEŃ - HEILIGENKREUZ - MAYERLING - SCHALLABURG

19.06 - 21.06 Cena 1530 zł w cenie przejazd autobusem

W cenie: przejazd, 2 noclegi w hotelu 4*, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezp.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

HOLANDIA

OGRODY TULIPANÓW KEUKENHOF i słynna PARADA KWIATÓW

AMSTERDAM - ROTTERDAM - HAGA – GOUDA, SKANSEN WIATRAKÓW, GIEŁDA KWIATOWA FLORAHOLLAND, RIJKSMUZEUM, SZLIFIERNIA DIAMENTÓW, REJS STATKIEM PO KANAŁACH W AMSTERDAMIE, ROTTERDAM - PANORAMA PORTU I MIASTA Z EUROMASZTU, PARK MINIATUR „MADURODAM", OGRODY KWIATOWE

15.04 - 19.04 Cena 3490 zł z „Paradą Kwiatów"
22.04 - 26.04 / 29.04 - 03.05. Cena od 3345 zł
w cenie przejazd autobusem

W cenie: przejazd, 4 noclegi w hotelach 3* , 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, Legnica

BAŁKANY-CZARNOGÓRA

wypoczynek i zwiedzanie 10 dni

Most Durdevica - BOKA KOTORSKA - KOTOR - NJEGUSI - CETNJE - Jez. Szkoderskie - KANION rzeki MORACA - PODGORICA - STARY BAR - BUDVA

Wycieczka fakultatywna:
ALBANIA zwiedzanie: Twierdza, Meczet i miasto Szkodra

15.05 - 24.05 Cena: 3.750 zł
28.05 - 06.06 Cena: 3.930 zł
19.09 - 28.09 Cena: 3.930 zł
30.09 - 09.10 Cena: 3.750 zł

W cenie: noclegi tranzytowe na trasie, przejazd autobusem lux, 9 noclegów w hotelach***, 9 śniadań, 9 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice

CHORWACJA

Najpiękniejsze wyspy Dalmacji / 8 dni
Hotel ALEMARIS*** w Baška Voda
z degustacją ostryg i wina

WYSPA KORCULA Z DEGUSTACJĄ WIN – WYSPA HVAR (SUCURAJ – HVAR – STARY GRAD) – TROGIR

10.09 – 17.09.2026 Cena od 3760 zł

W cenie: przejazd , 7 noclegów, 2 posiłki dziennie - bufet i serwowane, opieka pilota w jęz. polskim
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

REKLAMA

eprasa.pl c90e1c6c76

WŁOCHY

TOSKANIA - 8 dni

CORTONA - SIENA - San Gimignano - degustacja wina w regionie Chianti - FLORENCJA - LUKKA - PIZA - La Spezia - Cinque Terre - Rappalo - PORTOFINO

06.05 - 13.05 od 3.620 zł
09.06 - 16.06 od 3.670 zł
26.09 - 03.10 od 3.720 zł

W cenie: przejazd autobusem lux, 7 noclegów w hotelach***, 7 śniadań, 7 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice.

LOMBARDIA - WŁOCHY PÓŁNOCNE - 7 dni

MERANO - TRYDENT - COMO - MEDIOLAN - BERGAMO BRESCIA - SIRMIONE - WERONA - PALMANOVA - AKWILEJA - GRADO

18.09 - 24.09 Cena od 3190 zł

W cenie: przejazd, 6 noclegów w hotelach***, 6 śniadań, 6 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFP, TFG, Vat
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory, MOP Mszana przy A1.

WYPOCZYNEK I WCZASY NAD BAŁTYKIEM

Z DOJAZDEM AUTOKAREM!

ośrodki hotelowe w I-wszej linii brzegowej; za dopłatą dostępne pokoje 1 os.

JAROSŁAWIEC

100 m od morza i słynna Plaża DUBAJ/ 11 dni

Hotel Król Plaza Spa & Wellness kryty basen, jacuzzi i grota solna

14.06 - 24.06 / 23.06 - 03.07
10.08 - 20.08 / 19.08 - 29.08
Cena: od 3.850 zł, masaże+ 350 zł (3 x 20')

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: z łazienką, balkonem, czajnik, bufetowe posiłki, wycieczka autokarowa z przewodnikiem do Ustki, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Wrocław, Poznań.

MIELNO-UNIEŚCIE OW „BAŁTYK"

50 m od morza / kryty basen

25.05 - 05.06 / 15.06 - 27.06
Cena: od 3.155 zł

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: z łazienką, balkonem, czajnik, posiłki: 3 x dziennie bufet, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Wrocław, Poznań.

ŁEBA OW „Chemar" / 11 dni

200 m od morza

17.08 - 27.08 Cena: 3.080 zł

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: z łazienką, balkonem, czajnikiem, posiłki: 3 x dziennie bufet, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Częstochowa, Łódź.

NIEMCY

PERŁY BAWARII - 7 dni

PASAWA - BURGHAUSEN RATYZBONA - NORYMBERGA - FUSSEN - ROTHENBURG OB. DER TAUBER HOHENSCHWANGAU - ETTAL - NEUSCHWEINSTEIN - LINDERHOF - OBERAMMERGAU - WIES - GARMISCH PARTENKIRCHEN - MONACHIUM - HERRENCHIEMSEE

26.06 - 02.07 / 09.08 - 15.08 / 09.10 - 15.10
Cena 3790 zł

W cenie: przejazd, 6 noclegów w hotelach 3* i 4*, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

KRAJOZNAWCZE WYCIECZKI W POLSCE 4-5 DNI

MAZURY 5 dni

Kanał Elbląski i Rejs „Szlak Wielkich Jezior" - GRUNWALD -OSTRÓDA - FROMBORK - ELBLĄG - RESZEL - „Wilczy Szaniec" - św. LIPKA - WĘGORZEWO - GIŻYCKO - MIKOŁAJKI

26.05 - 30.05 Cena: 2.050 zł
05.07 - 09.07 Cena: 2.120 zł
01.09 - 05.09 Cena: 2.050
+ 380 zł na bilety

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje z łazienką, posiłki: 2 x dziennie, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazd z Krakowa (hotel przed i po wycieczce: 110 zł/noc.)

SUDETY 4 dni

Pałace i zamki Dolnego Śląska: Zamki KSIĄŻ i Czocha - SIEDLĘCIN - KAPRACZ - ŚWIDNICA - ŚWIERADÓW - OPACTWO KRZESZÓW - PAŁAC KAMIENIEC ZĄBK. - CIEPLICE Zdrój

14.05 - 17.05 Cena: 1.180 zł
22.06 - 25.06 Cena: 1.260 zł
21.09 - 24.09 Cena: 1.260 zł
05.10 - 08.10 Cena: 1.260 zł
+ 380 zł na bilety

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: łazienka, balkonem, czajnik, posiłki: 2 x dziennie bufet, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice.

PODLASIE wielokulturowość 4 dni

SUPRAŚL - Zamek TYKOCIN - BIAŁYSTOK - BOHONIKI - KRUSZYNIANY - Meczet - Muzeum IKON - GÓRA GRABARKA

15.09 - 18.09 Cena: 1980 zł + 380 zł na bilety

W cenie: dzienny przejazd autokarem, pokoje: łazienka, posiłki: 2 x dziennie, ubezpieczenie NNW, TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z Krakowa (hotel przed i po wycieczce: 110 zł/noc.)

POCIĄGIEM PRZEZ ALPY

4 kraje w 5 dni

CZECHY: Czeski Krumlov;
AUSTRIA: Salzburg, Zell Am See i rejs po Jez. Zeller See;
SZWAJCARIA: Chur + trasa widokowa w Alpach;
WŁOCHY: Tirano, Jez. Garda, Sirmione, Werona

od 3050 zł + 500 zł bilet na Bernina Ex.

18.05 – 22.05	06.07 – 10.07	01.09 – 05.09
25.05 – 29.05	21.07 – 25.07	07.09 – 11.09
14.06 – 18.06	27.07 – 31.07	08.09 – 12.09
23.06 – 27.06	11.08 – 15.08	15.09 – 19.09
30.06 – 04.07	24.08 – 28.08	12.10 – 16.10

W cenie: przejazd, 4 noclegi w hotelach 3* i 4*, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

AUSTRIA - SZWAJCARIA- 8 dni + przejazd pociągiem „BERNINA EX"

CZESKI KRUMLOV - SALZBURG - POCIĄG „BERNINA EXPRESS" – JEZ. GENEWSKIE: ZAMEK CHATEAU DE CHILLON, VEVEY, MONTREAUX, EVIAN, GENEWA - ZURYCH - WODOSPAD RHEIFALL - STEIN N/RENEM - WYSPA KWIATÓW MAINAU NA JEZ. BODEŃSKIM - DOLINA WACHAU - MELK - MORAWY: LEDNICE

07.07 - 14.07 / 02.08 - 09.08
/ 06.09 - 13.09 / 03.10 - 10.10.
Cena: od 4690 zł + 500 zł bilet na Bernina Ex.

W cenie: przejazd, 7 noclegów w hotelach 3* i 4*, 2 posiłki dziennie, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie KLiNNW
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, Żory

LODOWCOWY „GLACIER EXPRESS" SZWAJCARIA-LIECHTENSTEIN

CHUR - DAVOS - St. MORITZ - ZERMAT - GÓRA PILATUS - LUCERNA - VADUZ

09.05 - 14.05 Cena: 4.460 zł
23.06 - 28.06 Cena: 4.520 zł
30.08 - 04.09 Cena: 4.570 zł
+ 1360 zł za bilet na GLACIER EXPRESS (bilet + 3 daniowy obiad)
+ 350 zł za kolejki na Górę Pilatus (obie strony)

W cenie: przejazd autobusem lux, 7 noclegów w hotelach***, 7 śniadań, 7 obiadokolacji, opieka pilota w jęz. polskim, ubezpieczenie NNW, KL i bagaż, opłata TFG, TFP, Vat.
Wyjazdy z miast: Kraków, Katowice, Gliwice, MOP Mszana Płn.

Dla Klientów spoza Krakowa oferujemy przed i po wycieczce nocleg w Krakowie w hotelu: 110 zł/os./noc i rano gwarantujemy wyjazd autokarem z tego hotelu. WYBÓR MIEJSC W AUTOKARACH WG. KOLEJNOŚCI REZERWACJI. Tel.: 601 511 897 www.arionsenior.pl

eprasa.pl c90e1c6c76

SÓL, CISZA I ODDECH: PODRÓŻ DO INNEGO ŚWIATA

Podróże coraz częściej stają się sposobem na regenerację, troskę o zdrowie i odzyskanie wewnętrznej równowagi. Jednym z najbardziej wyjątkowych miejsc, które łączy walory wypoczynkowe i zdrowotne, jest Uzdrowisko Kopalnia Soli „Wieliczka" – przestrzeń, w której natura i nowoczesna medycyna tworzą harmonijną całość.

Świat ukryty 135 metrów pod ziemią

Pod ziemią czeka świat, który trudno porównać z jakimkolwiek innym miejscem. Panuje tu naturalny solny mikroklimat wolny od smogu i alergenów, o stałej temperaturze i wilgotności, sprzyjający regeneracji dróg oddechowych oraz głębokiemu wyciszeniu.

Zaplecze podziemnego Uzdrowiska tworzy kompleks komór solnych zlokalizowanych na III poziomie Kopalni Soli, 135 metrów pod ziemią. W największej z nich znajduje się jezioro solankowe, wokół którego rozmieszczono drewniane podesty z miejscami do odpoczynku oraz sprzętem do ćwiczeń rehabilitacyjnych.

Pobyty w podziemnym Uzdrowisku

Każdego dnia uczestnicy schodzą do komór solnych, aby wziąć udział w zajęciach oddechowych i ruchowych prowadzonych w solnym mikroklimacie. Pobyt można uzupełnić odpoczynkiem przy mini tężni solankowej lub aktywnością z wykorzystaniem dostępnego sprzętu rehabilitacyjnego.

Nad przebiegiem zajęć czuwa personel medyczny, dbając o komfort uczestników i dostosowanie programu do ich potrzeb zdrowotnych. Dzięki temu pobyt w komorach solnych staje się stałym elementem procesu terapii.

Zakwaterowanie

Uzdrowisko Kopalnia Soli „Wieliczka" oferuje zakwaterowanie i wyżywienie w dwóch obiektach zlokalizowanych w otoczeniu Parku św. Kingi: w Hotelu Grand Sal**** oraz — wkrótce — w nowo przygotowanych Pokojach Gościnnych w Młynie Solnym.
Takie rozwiązanie umożliwia korzystanie z podziemnego mikroklimatu przy jednoczesnym zapewnieniu wygodnych warunków pobytu na powierzchni.

Zabiegi, które dopełniają terapię

Pobyt w podziemnym Uzdrowisku można rozszerzyć o kompleksowe zabiegi fizjoterapeutyczne odbywające się w nowoczesnych gabinetach dostępnych na powierzchni.

Wielu odwiedzających chętnie korzysta dodatkowo ze spacerów w Parku św. Kingi i zewnętrznej Tężni solankowej, stanowiącej naturalne wsparcie terapii dróg oddechowych.

Podróż pełna historii i niezwykłych widoków

Wyjazd do Wieliczki to także wyjątkowa okazja do odkrycia jednego z najcenniejszych polskich zabytków wpisanych na Listę UNESCO – Kopalni Soli „Wieliczka". Monumentalne komory, solne rzeźby, podziemne kaplice i jeziora tworzą labirynt przestrzeni, które pozostają w pamięci na długo.

To podróż, która porusza zarówno wyobraźnię, jak i emocje.

Miasto stworzone do spokojnego odkrywania

Wieliczka zachęca, by zatrzymać się tu na dłużej. Zabytkowy rynek, zielone alejki i kameralna atmosfera sprzyjają spokojnemu wypoczynkowi. Bliskość Krakowa otwiera możliwość połączenia pobytu zdrowotnego z wizytą w jednym z najpiękniejszych europejskich miast – bez pośpiechu, we własnym rytmie.

Miejsce, w którym można odetchnąć pełną piersią

Uzdrowisko Kopalni Soli „Wieliczka" to propozycja dla osób poszukujących wyjazdu łączącego relaks, troskę o zdrowie, kontakt z miejscem absolutnie wyjątkowym. To przestrzeń, która koi, inspiruje i pozwala na nowo odnaleźć równowagę – a przy tym oferuje niezapomnianą podróż do serca solnych podziemi.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl c90e1c6c76

ELIZA

Kącka: *Sałata cierpi*

Autobus 517, pętla. Siedzę i czekam na odjazd. Tuż przede mną dwie w wieku studenckim, wyciągają kanapki. Pierwsza: „Ty to zamierzasz zjeść?!”. Druga: „No, a co?”. „To ma mięso”. „No i co?”. Pierwsza wyskakuje z autobusu na paliwie oburzenia. Druga pozostaje. Patrzy na mnie: „Musiałam się bronić. Ja nie chciałam”. „Aha?”. „Nie pomyślałam. Mama mi zawsze robi z szynką”. „Uhm”. „Trzeba było przewidzieć. Mogłam wyjąć i tylko by masło było”. „E, chyba da się zagadać...”. „Nie. To już koniec. Jestem skończona”. „No, tak szybko to nikt...”. „Pani nie rozumie. Ostatnio mówiłam, że sałata cierpi. W referacie. A teraz ta szynka”.

Tramwaj 16, wsiadam na Dzikiej, toczymy się wolno. Stoję sobie przy dwóch siedzeniach: na pierwszym z grubsza ośmiolatek w czapce uszatce i kombinezonie. Na drugim babcia, zagaduje, szturcha: „Patrz, patrz, tu babcia kiedyś mieszkała”. Mały w półobrocie: „A mnie się śniło”. „Co?”. „Że jedziemy tramwajem”. „To nie sen, jedziemy właśnie”. Pauza. „Mnie się śniło. Ja siedzę na pierwszym siedzeniu, ty na drugim, a ta pani – wskazał na mnie – stoi i patrzy”. „Eee, niemożliwe, nie znasz tej pani” – babcia mruga ku mnie życzliwie. „Znam, była tam. No tu. I ludzie zaczęli wyciągać maski do nurkowania. Takie z rurką”. „Jak ta twoja jeziorna?”. „Tak. A my nie mieliśmy. Zdjęłaś reklamówkę z bułki i mi dałaś, że mogę w to włożyć głowę”. Śmiejemy się. „I ten nasz tramwaj zjechał z torów. Kierowca...”. „Motorniczy”. „Motorniczy powiedział, że tramwaj opuszcza trakcję i jedzie się zanurzyć”. „Nono” – mówię. „Ten motorniczy podszedł do pani i powiedział, że pani nawiguje, bo ma czujniki w czapce”. Uśmiecham się: „O, to nareszcie wiem, do czego służy pilotka”. Babcia: „I co? Gdzieśmy pojechali?”. „Nie wiem. Za działki na Piaskach”. „Ohoho”. „Bo babcia, tramwaj zaczął się staczać z góry, dużej góry, bo za działkami był wielki wąwóz”. „Niemożliwe”. „Ale tak było!”. „I pani – wskazał na mnie – wyciągnęła z podłogi taki metalowy pręt. I zaczęła nim poruszać w tył i w przód. I tramwaj wskoczył na tory, ale już trochę pod wodą”. Babcia: „Jak: pod wodą?”. „Bo zjeżdżaliśmy głębiej w zieloną wodę. Jakbyśmy byli w akwarium, pod lampą. A pani – zwrócił się do mnie – oczy zaczęły zarastać”. „Czym?”. „Rzęsą”. „Haha, zielona rzęsa”. „Babcia powiedziała, że my tu zostaniemy na zawsze. I wszyscy się cieszyli”. Babcia: „Ja bym się bała”. Mały: „Nie, ja się przez chwilkę bałem. Ale wszyscy zarastali roślinami. I się cieszyli”. „Z czego?”. „Bo to na zawsze”. Wysiadłam, otumaniona, w centrum.

Plac Narutowicza, wieczór, czekam na tramwaj. Tuż obok gość po pięćdziesiątce, zakłopotany nieco. Krąży, cofa się. „Mogę spytać o coś?”. „Tak”. „Jak pani sobie radzi z oskarżeniami?”. „Oskarżeniami? O co?”. „O wszystko!”. „Hm”. Doczekaliśmy się tramwaju 14. Wskakujemy, dosiada się: „Nie myśli pani, że jak się człowiek nie obróci, społeczeństwu nie pasuje?”. „Jest w tym coś”. „Serio. Może mnie pani mieć za wariata, ale musiałem z kimś o tym. Syn zaczął uczyć w szkole: dzieci mają pretensje, kadra piłuje. A dobry jest chłopak”. „Znamy”. „Im on normalniej, tym go bardziej dominują. Martwię się. Mnie sąsiadka powiedziała: »On taki jest dobry«. I ja się ucieszyłem. »Taki bezbronny«. I skóra mi ścierpła. Tak wychowałem”. „I dobrze”. Spojrzał smutno: „Nie. Rodzic musi widzieć, że hoduje roślinożercę w stadzie drapieżników. To ja mu spiłowałem pazury. A teraz sobie nie radzi, nawet na tym fejsbuku”. „U, nie »nawet«. Fejsbuk to drapieżne zwierzę”. „Wie pani, syn mi ostatnio powiedział, że lekceważyłem pieski, kotki, że zawsze go pchałem ku ludziom. A on by wolał się zwierzętami zajmować. »One nas już przerosły«, powiedział. I żeśmy się popłakali”.

Park Promenada, popołudnie. Temperatura znośna, spaceruję, patrzę. Nad stawem starszy, co go już tu widywałam. Z jamnikiem w kubraku. Podchodzę. „Ej, nie zalej się, stary – rzuca psu balansującemu niepewnie na lewej nodze, z prawą dolną w powietrzu – nie będę prał”. Do mnie: „Marznie, ubieram go, a ten zamiast sikać normalnie, lewituje. Pani to rozumie?”. „Nie” – śmieję się. „No co ja wiem, swoją drogą, jakbym ja musiał sikać na mrozie w takim wdzianku, to może bym próbował rozkraczyć się jak płaszczka w pionie”. „Haha”. „Nigdy nie sikałem zimą w parku”. „Też nie”. „O, to nic pani nie przeżyła! A on przeżył, mój mały – złapał jamnika czule pod brodę. – Mój stwór”. Jamnik z entuzjazmu zakopał, co zrobił. „A ja coś czytam” – puścił oko. „Widziałam”. „Muminki! Po raz pierwszy. Jakie to wspaniałe!”. „Hehe, czas na »Zimę Muminków«”. „Tak! Jakby mi mój bratanek nie powiedział, że lekceważę Jansson, to bym nie czytał...”. „Wraca mróz. Będziemy jak Muminek czekający na Włóczykija”. „Włóczykij to mój idol. Stary człowiek, panietego. Jak tak można!”. „Nie można, a trzeba. Czeka pan na wizytę?”. „Żeby pani wiedziała. Ja – inżynier Piotr i mój oszczywający regularnie kombinezon pies czekamy na wizytę Włóczykija. Wierzymy, że nie jest Godotem”. „Ej!”. „E, to był tylko chwyt retoryczny. Wiadomo, nasz człowiek. Powiem tak: od lat nikt mi nie dał takiej nadziei. Żadna służba zdrowia, żadna inna”. „Niech mi pan nie mówi o nadziejach szpitalnych. Mój tato odchodzi i też czeka na Włóczykija”. „I ja czekam. Będą razem budować tamę”. „Będziemy”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono” (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl c90e1c6c76

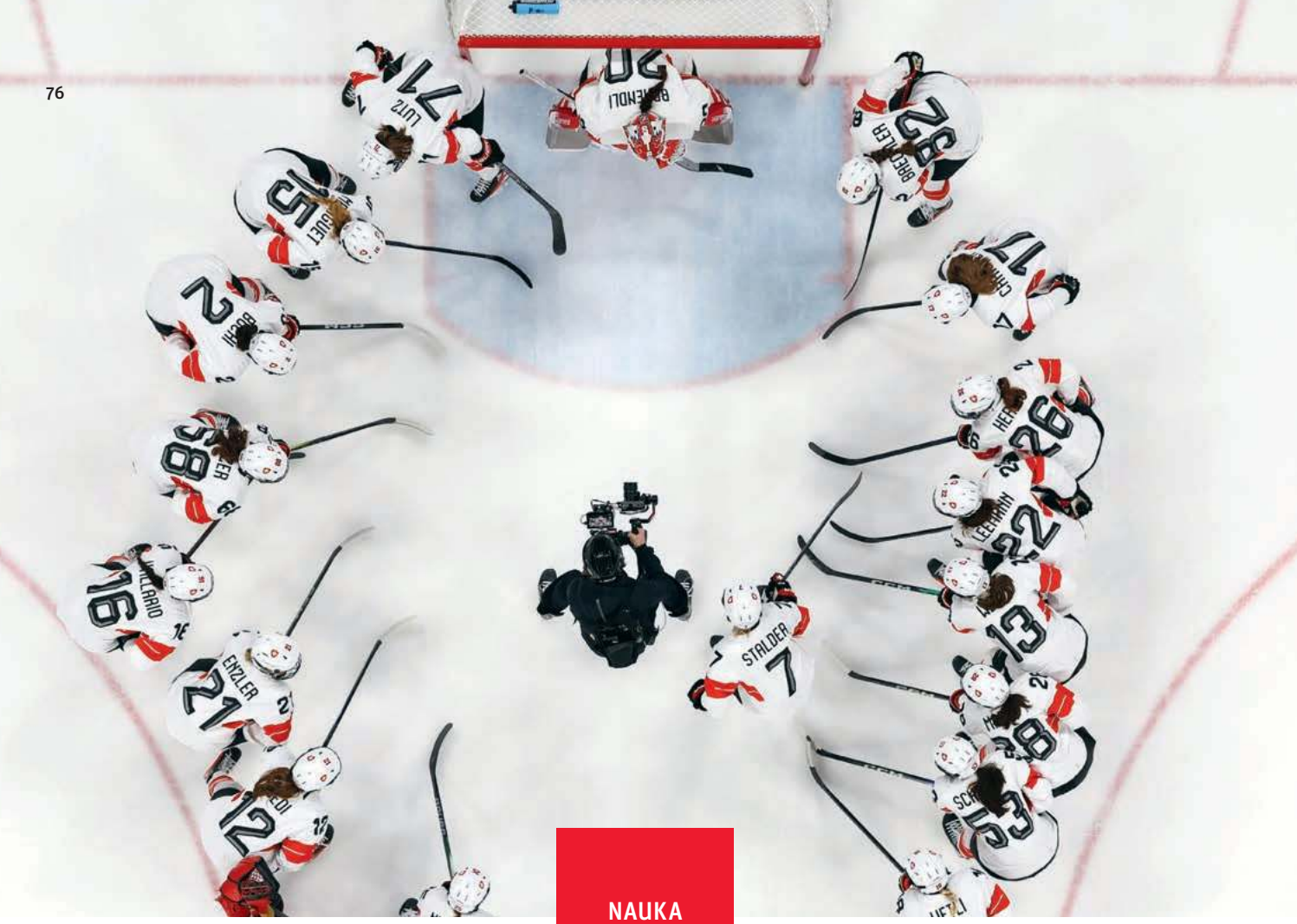

NAUKA

Przed meczem o brązowy medal w hokeju kobiet pomiędzy Szwajcarią a Szwecją na Zimowych Igrzysk Olimpijskich 2026 w Mediolanie, 19 lutego 2026 r.

ZALETY PLEMIENNOŚCI

MICHAEL MORRIS, PSYCHOLOG KULTUROWY:

To prawda, że ewolucja zaprogramowała w nas instynkty plemienne. Ale to instynkty służące solidarności, a nie antagonizmom.

KASPER KALINOWSKI: Arystoteles określił człowieka „zwierzęciem społecznym", ale Pan twierdzi, że lepszym terminem jest „zwierzę plemienne". Jaka jest różnica?

MICHAEL MORRIS: Istnieje wiele zwierząt społecznych, a według obiektywnych miar wcale nie jesteśmy najbardziej uspołecznieni. Kolonie owadów zawstydzają nas pod względem poziomu zbiorowej opieki nad młodymi i współpracy w bliskim sąsiedztwie. Nie możemy więc rościć sobie prawa do bycia „tym jedynym" zwierzęciem społecznym.

Ale jesteśmy jedynym zwierzęciem, które żyje w plemionach, czyli dużych społecznościach połączonych wspólnymi ideami i dziedzictwem kulturowym. Współpraca, którą obserwujemy w koloniach mrówek czy pszczół, jest wyłącznie produktem ich genów. Dlatego taniec pszczół czy sposób budowania gniazd przez mrówki nie różni się między różnymi grupami. W nasze geny wpisane jest natomiast przyswajanie wzorców otaczającej nas społeczności. Chłoniemy kulturę niczym gąbki.

To właśnie te kulturowe instynkty umożliwiły nam osiągnięcie różnorodności. Grupy różnią się od siebie, ponieważ jednostki są w równym stopniu zdolne do przyswajania każdej kultury.

Yuval Noah Harari twierdzi, że gdyby zamknąć grupę szympansów w jednym pokoju, powstałby chaos,

eprasa.pl c90e1c6c76

podczas gdy ludzie potrafią współpracować z obcymi. Czy to nasza supermoc?

Tak, powstanie plemion pozwoliło na rozszerzenie kręgu zaufania. Szympansy mogą żyć w grupach do 40 osobników. Powyżej tej liczby nie są w stanie nawiązać bezpośrednich więzi z każdym członkiem grupy, co rodzi nieufność i przemoc.

My, ludzie, możemy zaufać całkowicie obcej osobie, jeśli mówi naszym językiem, wykonuje ten sam zawód lub wyznaje te same ideały. Dodajmy, że ok. 50 tysięcy lat temu nastąpiła „rewolucja poznawcza" – pojawiły się malowidła jaskiniowe, instrumenty muzyczne, figurki i rytualne pochówki. Wszystko to zaistniało wtedy, gdy ludzie zaczęli działać zespołowo.

Tymczasem wiele osób uważa instynkty plemienne za swoisty błąd w ludzkim oprogramowaniu.

Nie wiem, jak jest w Polsce, ale w USA trybalizm ma rzeczywiście złą prasę. Wielu publicystów lansuje tezę, że wszystkie współczesne konflikty, czy to na Bliskim Wschodzie, czy między Republikanami a Demokratami w USA, odzwierciedlają odrodzenie uśpionych instynktów ewolucyjnych, które uniemożliwiają funkcjonowanie demokracji, współpracy międzynarodowej czy w pluralistycznych organizacjach.

To nieprawda. Teoria ewolucji mówi, że specyficzne dla człowieka instynkty grupowe umożliwiają nam życie w plemionach. To instynkty służące solidarności, a nie antagonizmom.

Niewykluczone, że jednym z powodów, dla których wygraliśmy z neandertalczykami, był fakt, że oni pozostawali w ciągłym konflikcie z sąsiednimi klanami. W tym czasie *Homo sapiens* tworzyli szersze sieci społeczne. Takie klany czy plemiona miały wspólny język oraz rytuały, co pozwalało na wymianę i pokojowe współżycie.

Przekonanie, że nasze ewolucyjne dziedzictwo powoduje obecne konflikty, jest nie do obrony. Jest wręcz niebezpieczne, bo prowadzi do fatalizmu – przekonania, że ewolucyjne dziedzictwo zawiera w sobie coś złego. Dlatego postanowiłem napisać książkę opartą na dowodach naukowych, która opowie, jak instynkty plemienne ewoluowały, aby umożliwić nam współpracę, i że wciąż odgrywają kluczową rolę w naszym życiu.

Które z tych instynktów są najważniejsze?

Trzy systemy, które zostały wykształcone w różnych okresach naszej ewolucyjnej historii. Każdy z nich odpowiada za inny aspekt życia społecznego do dziś.

Pierwszy, instynkt grupy, wyewoluował ponad milion lat temu. Odpowiada za nasz konformizm, chęć pozostania w zgodzie z otoczeniem i wszystkie pozytywne uczucia płynące z pracy zespołowej. To on umożliwił nam polowanie i zbieractwo w zorganizowany sposób, co ogromnie zwiększyło szanse na przetrwanie.

Około pół miliona lat później pojawił się instynkt bohatera. Mniej więcej w tym czasie żyje gatunek określany jako *Homo haidelbergensis*. W zapisie kopalnym możemy zaobserwować wtedy budowane schronienia, bardziej złożone narzędzia i świadectwa polowań na mamuty, co wymagało podejmowania dużego ryzyka, czyli poświęcenia się jednostki dla dobra grupy. Natrafiamy również na szkielety osób z wadami wrodzonymi, które dożyły dorosłości, a to oznacza, że ktoś się nimi opiekował. Według scenariusza ewolucyjnego, który preferuję, ludzie zaczęli wtedy dokonywać ocen moralnych. Pojawiły się plotki, które budowały reputację. Społeczność nagradzała tych, którzy przyczyniali się do dobra wspólnego, zapewniając im prestiż i zasoby.

Instynkt bohatera odpowiada też za naszą obsesję na punkcie celebrytów – dążymy do naśladowania tych, którzy odnieśli sukces, nawet w błahych kwestiach.

Ostatni – instynkt przodków – skłania nas do spoglądania w przeszłość z nostalgią. Wykorzystują to dzisiejsi populiści, mówiąc o „złotym wieku". Często jest to obraz mitologiczny i wykluczający jakąś grupę, np. obwiniający imigrantów za obecny stan rzeczy. Ale instynkt ten może być też używany włączająco. Abraham Lincoln ustanowił Święto Dziękczynienia w czasie wojny secesyjnej, odwołał się do pielgrzymów i Jerzego Waszyngtona, by dać ludziom poczucie wspólnej tożsamości w najbardziej spolaryzowanym momencie historii USA.

Dzięki tym trzem instynktom zasoby wspólnej wiedzy zaczęły rosnąć niewiarygodnie szybko.

Cofamy się głęboko w przeszłość. A jeszcze w XX w. sądziliśmy, że do czasu rewolucji rolniczej sprzed ok. 10 tys. lat p.n.e. ludzie żyli w małych grupach i nie istniały większe społeczeństwa. Byliśmy w błędzie?

Tak. Dysponujemy już odkryciami archeologicznymi, również z terenu dzisiejszej Polski, takimi jak np. sieć budowli sakralnych z kości mamutów, które były oddalone od siebie o setki kilometrów. Ciągnęły się wzdłuż szlaków migracyjnych, przez Ukrainę aż do Rosji. Wzniesienie każdego z nich wymagało szczątków kilkudziesięciu mamutów. Niewielkie, niekooperujące grupy nie mogłyby ich zbudować.

Te sanktuaria pochodzą sprzed 20 tys. lat. W książce bronię tezy, że budowa świątyń utorowała drogę rolnictwu, a nie odwrotnie. Marksistowski pogląd zakładał, że dopóki nie było nadwyżek żywności i osiadłego trybu życia, nikt nie miał czasu na religię. To nieprawda. Religia łączyła ludzi we wspólnoty, które ze sobą współpracowały na długo przed rolnictwem.

Jeśli instynkty plemienne odpowiadają za naszą otwartość na innych i współpracę, to skąd się biorą konflikty i polaryzacja?

Moim zdaniem konflikty wynikają z trzech bardziej podstawowych systemów: psychologii konformizmu, dążenia do statusu i tradycjonalizmu. Te systemy zazwyczaj nam służą, ale gdy zmieniają się warunki społeczne, dany instynkt zaczyna działać nadmiernie.

Polaryzacja w USA, a jak słyszę od pana, również w Polsce, wynika ze zjawiska określanego jako dobór terytorialny – liberałowie przenoszą się na wybrzeża, konserwatyści do centrum kraju. Do tego dochodzi podział mediów i media społecznościowe, które stały się bańkami informacyjnymi.

Nasz konformizm powoduje, że zamykamy się w środowisku o takich samych poglądach. Kiedy słyszymy drugą stronę, jesteśmy oszołomieni; nie rozumiemy, jak mogą dochodzić do takich wniosków. Zakładamy deficyt poznawczy – w USA standardowym oskarżeniem jest to, że liderzy przeciwników mają uszkodzone mózgi lub kłamią. To prowadzi do negatywnych emocji.

Jeśli zaakceptujemy diagnozę, którą przytoczyłem, to możemy opracować pewne pomysły na zwalczanie polaryzacji. Możemy zachęcać ludzi ↦

JARED C. TILTON / GETTY IMAGES

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ do czerpania informacji z różnych źródeł, wychodzenia poza partyjne podziały i promowania dialogu. W USA mamy ruch tworzący wydarzenia, które łączą Republikanów i Demokratów.

Pierwsza fala tych programów często kończyła się porażką, bo ludzie przychodzili nastawieni na walkę i nie można ich było przekonać. Druga fala polega na spotkaniach przy kawie czy posiłku, gdzie rozmawia się o tematach niepolitycznych. Miesiąc później uczestnicy wykazują mniejszy poziom polaryzacji niż po rozmowach o polityce.

Mamy wiele teorii podkreślających cechy narodowe. Według nich Rosjanie zawsze będą imperialni, Amerykanie indywidualistyczni, a Chińczycy kolektywistyczni. Co by Pan odpowiedział zwolennikom takich poglądów?

Po pierwsze to, że nie sposób obronić tezy o bezpośrednim wpływie genów na takie cechy. Większość z tych cech wynika z tradycji, sposobu wychowania dzieci i przekazywania wartości.

Po drugie, nasze postrzeganie trwałości charakteru narodowego jest wyolbrzymione. Nie obserwujemy przeszłości bezpośrednio – polegamy na historiach spisanych przez ludzi, którzy mieli swoje własne cele. A historia służąca interesowi państw jest wybiórcza. Dlatego gdy populistyczni politycy w Polsce czy USA wprowadzają radykalne zmiany, tak jak administracja Trumpa, mówią: „zawsze tak robiliśmy". Sięgają do tradycji, aby wprowadzić pożądane przez siebie nowości, ale kierują uwagę wyłącznie na jej wybrane elementy.

W książce zauważa Pan, że nowinka kulturowa może być równie silnym motorem przemian społecznych jak twarde regulacje prawne. I podaje Pan przykład telenoweli brazylijskich, które doprowadziły do spadku dzietności w skali porównywalnej z tą, którą w Chinach osiągnięto bezwzględną polityką jednego dziecka. Jak telenowele mogły wywrzeć taki wpływ?

W latach 70. i 80. w Brazylii istniał właściwie tylko jeden kanał – Globo. Średnia wielkość rodziny wynosiła wtedy ponad sześcioro dzieci. Spadek dzietności postępował dokładnie po trajektorii rozprzestrzeniania się dostępu do kablówki.

MATERIAŁ PRASOWY

MICHAEL MORRIS jest profesorem na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. W Polsce ukazała się jego książka „Plemienni. Jak instynkty kulturowe mogą nas łączyć" (CC Press 2025).

Telenowele były nadawane codziennie w godzinach największej oglądalności w społeczeństwie o niskim wskaźniku alfabetyzacji – ludzie plotkowali o bohaterach jak o prawdziwych osobach. Protagonistki były zazwyczaj niezależnymi kobietami z udaną karierą zawodową, które miały jedno, dwoje lub żadnych dzieci, bo trudno napisać ciekawą historię o bohaterce z siedmiorgiem dzieci. Organizacje pozarządowe wykorzystały później podobny mechanizm do promowania bezpiecznego seksu w Afryce czy redukcji przemocy domowej. Ludzie po prostu chcą być jak „ci dobrzy" z serialu.

Kolejny analizowany przez Pana przykład to Singapur, który z biednego kraju stał się gospodarczą potęgą. Co widzi tu psycholog kulturowy?

Pierwszy premier Singapuru, Lee Kuan Yew, myślał jak inżynier. Singapur był mieszanką kultur – chińskiej, malajskiej, indyjskiej oraz brytyjskiego dziedzictwa kolonialnego. Kiedy kraj zyskał niepodległość, Lee celowo skonstruował nową tożsamość. Wybrał angielski jako lingua franca – częściowo dlatego, że był neutralny, a częściowo dlatego, że kojarzył się z normami „wolnego portu" z ery brytyjskiej, co miało przyciągać statki. Jego partia przyjęła białe mundury, symbolizujące brak korupcji, ale również przypominające mundury brytyjskiej marynarki.

W przeciwieństwie do innych liderów niepodległościowych, Lee nie burzył pomników kolonizatorów. Postawił pomnik założyciela kolonii, sir Thomasa Rafflesa. Uznał to za pragmatyczne działanie. Jednocześnie był krytyczny wobec Zachodu i nie przejął w pełni zachodniego systemu prawnego. Czerpał z wielu tradycji – w latach 80., gdy Chiny rosły w siłę, ogłosił kampanię „Mów po mandaryńsku". Sam nauczył się tego języka po pięćdziesiątce. Nie chodziło mu tylko o język, ale o wartości z nim związane – chiński sposób prowadzenia biznesu i zarządzania rodziną. Widział kulturę jako narzędzie, a nie cel sam w sobie.

Dodajmy jednak, że odwoływanie się do instynktów plemiennych nie zawsze prowadziło do sukcesów.

Wiele krajów postkolonialnych popadło w kryzys. Ich liderzy chcieli odrzucić wszystko, co kojarzyło się z kolonizatorami – w tym obce języki i programy nauczania. Wspomniany Lee Kuan Yew nie uważał, że istnieje jakaś niezmienna esencja singapurskości, w której należy się pławić. Twierdził, że tożsamość jest czymś do wypracowania i zastanawiał się: co z naszego dziedzictwa będzie najbardziej użyteczne dla gospodarki?

To zaprzeczenie podejścia esencjalistycznego, które głosi: jesteśmy rdzennym ludem, musimy usunąć obce elementy. To podejście traktuje kulturę jako cel sam w sobie. I ono często bywa zgubne.

Zajmuje się Pan także doradzaniem firmom. Jak wykorzystać wiedzę o naturze ludzkiej i instynktach plemiennych w biznesie i zarządzaniu w środowisku wielokulturowym?

Badania pokazują, że ponieważ każdy z nas zinternalizował wiele kultur, nie działają one wszystkie naraz – to, która jest u steru, zmienia się w zależności od otoczenia. Teraz widzę za panem książki i to sprawia, że uaktywnia się moja tożsamość profesora, a nie konsultanta.

Menadżer to ktoś, kto może kształtować środowisko i w ten sposób wpływać na pracowników. W książce piszę o „znakach plemienia" (język, ubiór), „symbolach plemienia" (flagi, zdjęcia założycieli) i „ceremoniach plemienia" (rytuały, np. pracownik miesiąca, imprezy po wypuszczeniu nowej wersji oprogramowania czy wspólne jedzenie tacos). Choć takie znaki bywają arbitralne, po kilku latach stają się znaczące i budują poczucie sensu. Podczas pandemii ludzie cierpieli także z braku tych rytuałów.

© Rozmawiał KASPER KALINOWSKI

eprasa.pl c90e1c6c76

REKLAMA

XXXII Bydgoski Festiwal Operowy

OPERA NOVA 2026

25 IV–10 V

BYDGOSKI FESTIWAL OPEROWY

SOBOTA 25.04.2026 r., g.19.00 – OPERA
Gaetano Donizetti

ŁUCJA Z LAMMERMOORU

Inauguracja Festiwalu
Opera Nova w Bydgoszczy
PREMIERA

WTOREK 28.04., g. 19.00
Łukasz Godyla

WÒLÔ BÒSKÔ

Inscenizowany cykl pieśni kaszubskich
Teatr Wielki – Opera Narodowa w Warszawie

CZWARTEK 30.04., g. 19.00
OPERA/ORATORIUM SCENICZNE
Georg Friedrich Haendel

TRIUMF CZASU I ROZCZAROWANIA

Polska Opera Królewska w Warszawie

SOBOTA 02.05., g. 19.00. – BALET
NIEDZIELA 03.05., g. 18.00

FOLKÅ

chor. Marcos Morau

SAABA

chor. Sharon Eyal / Gai Behar
Nederlands Dans Theater - NDT 2 (Holandia)

WTOREK 05.05., g. 19.00 – BALET
ŚRODA 06.05., g. 19.00
Piotr Czajkowski / Jean-Christophe Maillot

LAC

(Le Lac de cygnes/Jezioro łabędzie)
Les Ballets de Monte-Carlo (Monako)

PIĄTEK 08.05., g. 19.00 – OPERETKA
Jacques Offenbach

ORFEUSZ W PIEKLE

Opera na Zamku w Szczecinie

NIEDZIELA 10.05., g. 18.00 – OPERA
Richard Strauss

SALOME

Łotewska Opera Narodowa w Rydze

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo zmian programu.

Festiwal dofinansowany przez:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

BYDGOSZCZ | PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ MIASTO BYDGOSZCZ

Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

KUJAWY POMORZE

Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

Dofinansowano z budżetu Samorządu Województwa Kujawsko-Pomorskiego

eprasa.pl c90e1c6c76

ROBERT GŁOWACKI / MATERIAŁY PRASOWE MSN

KULTURA

SWOBODA PRZECHADZKI

Wystawa w stołecznym Muzeum Sztuki Nowoczesnej przełamuje trwające od wielu dekad przyzwyczajenia i hierarchie w historii sztuki.

PIOTR KOSIEWSKI

W ostatnich latach mogliśmy oglądać kilka ważnych wystaw poświęconych sztuce kobiet. Wystarczy wymienić niedawną, monumentalną ekspozycję „Co babie do pędzla?! Artystki polskie 1850–1950" w Muzeum Narodowym w Lublinie, z pięciuset pracami ponad stu artystek, którą obejrzało łącznie ponad 40 tys. osób. Jednak „Kwestia kobieca", przygotowana w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej przez cenioną amerykańską kuratorkę Alison M. Gingeras, zasługuje na szczególną uwagę.

To bardzo obszerna wystawa. Zgromadzono na niej prace niemal stu pięćdziesięciu artystek, powstałe w latach 1550–2025. Co więcej, po raz pierwszy dzieła stworzone w Polsce zostały skonfrontowane z pracami kolejnych pokoleń zagranicznych artystek, od Sofonisby Anguissoli, Artemisii Gentileschi, Élisabeth Vigée-Lebrun i Angeliki Kauffmann po Louise Bourgeois, Marlene Dumas, Lubainę Himid i Tracey Emin. Jednak to nie tylko liczba dzieł ani różnorodność zgromadzonych twórczyń sprawia, że jest to ważne wydarzenie.

„Kwestia kobieca" stwarza szansę, że twórczość kobiet na stałe trafi do sal muzealnych i podręczników historii sztuki w Polsce. Do tej pory bowiem,

eprasa.pl c90e1c6c76

BARTOSZ ZALEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE MSN

MATERIAŁY PRASOWE MSN

Od lewej: widok wystawy, na pierwszym planie Karolina Jabłońska, „Przetrwać burzę", 2025 r., w głębi Monica Sjöö, „Sheela na Gig, stworzenie", 1978 r.; Małgorzata Mycek, „Upiór ucztujący z mrówkami w sadzie podczas przymrozków", 2024 r., kolekcja prywatna; Artemisia Gentileschi, „Zuzanna i starcy", 1610 r., kolekcja sztuki hrabiego von Schönborn w Pommersfelden.

mimo licznych przedsięwzięć i publikacji, prace malarek i rzeźbiarek często były spychane na margines. Po zakończeniu wystaw wracały do właścicieli lub trafiały do magazynów muzealnych i czekały na kolejną „wystawę sztuki kobiet".

Tymczasem ekspozycja zaproponowana przez MSN nie tylko pokazuje, że jest to twórczość, która – mimo wszystkich ograniczeń przez wieki stawianych przed artystkami – stanowi istotną część historii sztuki, ale umieszcza ją w samym centrum, docierając, co również ma znaczenie, do szerokiej grupy odbiorców.

Czyni ją po prostu częścią mainstreamu ze wszystkimi możliwymi, także negatywnymi następstwami, jak skupienie się na wąskiej grupce artystek, uzyskujących nawet, jak Frida Kahlo, status celebrytek. To zresztą jeden z paradoksów tej wystawy: odbywa się ona w Muzeum, które nieustannie podkreśla, że jego celem nie jest tworzenie kanonu sztuki, a tym bardziej kreowanie artystycznych gwiazd.

Co wiemy

Coraz częściej pada pytanie, czy nadal konieczne jest przypominanie historycznej sztuki kobiet. Czy nie powinniśmy się skupiać na twórczości powstającej obecnie i stwarzać możliwie jak największe możliwości prezentacji tworzącym artystkom?

Jak zauważa w towarzyszącym wystawie katalogu Griselda Pollock, autorka fundamentalnych prac poświęconych sztuce, nadal postrzega się badania nad tą twórczością jako karmienie urażonego narcyzmu kobiet, które były niewystarczająco ważne i znaczące, by „naprawdę zapisać się w historii, a nawet w teraźniejszości, jako twórcze myślicielki i kreatorki".

Może zatem, oglądając kolejne wystawy i czytając powstałe w ostatnich latach książki, ulegamy złudzeniu i mimo licznych wystaw i publikacji zmiana postaw wobec ich twórczości jest pozorna? Przede wszystkim nadal nie wiemy wiele o twórczości wielu artystek, nawet tych, które w przeszłości uznano za ważne.

Jedną z nich jest Mayken Verhulst, malarka, żona wybitnego brukselskiego twórcy Pietera Coeckego van Aelsta. Po jego śmierci nie tylko prowadziła jego warsztat, ale też miała wpływ na zięcia Pietera Brueghla st. A po jego śmierci uczyła swoje wnuki: Pietera i Jana, przyszłych znanych malarzy. To za jej sprawą powstała najbardziej wpływowa rodzina artystyczna XVI i XVII wieku.

Pisano już wiele o roli Mayken Verhulst w życiu artystycznym Flandrii. Jednak nieznana pozostawała jej własna twórczość. Dopiero niedawno Verhulst zaczyna być odkrywana jako autorka obrazów określanych przez lata jako dzieła anonimowego Monografisty Brunszwickiego.

Jedno z nich, „Ecce homo" ze zbiorów gdańskiego Muzeum Narodowego, po raz pierwszy po konserwacji i jako dzieło przypisywane Mayken Verhulst, jest prezentowane na wystawie w Muzeum ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ Sztuki Nowoczesnej. Jej przypadek pokazuje, jak wiele jest do odkrycia.

Co widzimy

Jednak „Kwestia kobieca" nie ma ambicji przedstawienia całościowej historii sztuki kobiet od czasów renesansu po współczesność. Przeciwnie, świadomie pominięto na niej wiele artystek, które osiągały w minionych wiekach znaczące sukcesy, np. jako autorki martwych natur. Niemalże nie ma na wystawie sztuki religijnej czy malarstwa historycznego. Wreszcie, pominięto sztukę abstrakcyjną, w której tworzenie artystki miały ogromny wkład.

ALICJA SZULC / MSN

Magdalena Więcek „Matka (Protest)", 1955 r., Muzeum Zamoyskich w Kozłówce

Wystawa pokazuje, że mimo ograniczeń społecznych i kulturowych artystki nie tylko tworzyły, ale kreowały też wizerunki kobiet i wpływały na ich postrzeganie. Pokazywały ich sprawczość. Nie przypadkiem ekspozycję otwierają przedstawienia silnych kobiet, których historie zaczerpnięto zarówno ze Starego Testamentu, jak i dziejów starożytnych.

Jest wśród nich Judyta, która pozbawiła głowy dowódcę wojsk asyryjskich Holofernesa, i rzymska patrycjuszka Lukrecja, która popełniła samobójstwo, nie mogąc znieść hańby, jaka ją spotkała – zgwałcił ją syn Tarkwiniusza Pysznego. Tematy te były bardzo popularne w sztuce nowożytnej i podejmowane przez najwybitniejszych artystów. W Muzeum Sztuki Nowoczesnej oglądamy je oczyma kobiet. Jak biblijną Zuzannę, która padła ofiarą oszczerstw starców pożądających jej ciała. Obraz autorstwa Artemisii Gentileschi to jedno z ikonicznych dzieł historii sztuki kobiet.

Wciąż niewiele wiemy o życiu i twórczości artystek, nawet tych, które w przeszłości uznano za ważne.

Manifestem siły artystek są też ich autoportrety. To, jak siebie przedstawiały, a tym samym definiowały. Na wystawie znalazł się ich obszerny wybór, mamy tu obrazy powstające od XVI w. po współczesność. Często przedstawiające artystki przy pracy lub z przyborami malarskimi, ale też (jak w przypadku XVI-wiecznej Lavinii Fontany, która przedstawiła siebie przy szpinecie) podkreślające ich dobre wykształcenie. Malowały siebie w pracowni albo z bliskimi, jak Ałła Horska, przedstawicielka ukraińskiego odrodzenia w latach 60. XX w., brutalnie zamordowana w 1970 r. Jej „Autoportret z synem" jest jednym z najbardziej przejmujących na warszawskiej wystawie.

Co przeżyłyśmy

Wizerunkom artystek towarzyszy opowieść o warunkach, w jakich przyszło tworzyć. O ograniczeniach, jakie napotykały w edukacji artystycznej. Na wystawie znalazł się inny obraz emblematyczny dla historii sztuki kobiet: „W pracowni" Marii Baszkircew, artystki urodzonej na terenie dzisiejszej Ukrainy i zmarłej w wieku zaledwie 26 lat. Obraz przedstawia młode adeptki sztuki przy pracy. Malujące studium z żywego modela.

Maria Baszkircew mogła już uczyć się malarstwa w prywatnej szkole, bo od połowy XIX w. coraz bardziej otwierały się one na kobiety. Mogła nawet studiować nagie męskie ciało, czego przez stulecia odmawiano artystkom, a co było niezbędne dla dobrego poznania anatomii człowieka. Dzięki temu można było podejmować w malarstwie tematy historyczne czy mitologiczne, które zapewniały najwyższy prestiż, a często także pieniądze. Jednak nawet po umożliwieniu kobietom studiów w szkołach publicznych, pozostały inne bariery: klasowe, rasowe. Dostęp do studiów był tylko jedną z przeszkód.

Niemniejsze były ograniczenia kulturowe oraz społeczne. „To, czego pragnę, to swoboda samotnej przechadzki: zatrzymywania się przed witrynami sklepów artystycznych, wstępowania do kościołów, do muzeów, wieczornych spacerów po starych uliczkach. Oto, czego pragnę, oto swoboda, bez której nie można zostać prawdziwym artystą. Braknie mi tej właśnie swobody, bez której nie można na serio stać się kimś" – notowała Baszkircew w „Dzienniku".

„Kwestia kobieca" opowiada także o cielesności i erotyzmie z punktu widzenia kobiet, o macierzyństwie. Kończy ją część poświęcona wojnie. Zarówno II wojnie światowej, jak i obecnie toczącej się wojnie w Ukrainie. Opowiadanej przez kobiety, które jej doświadczyły, jak więziona w Ravensbrück Maja Berezowska czy Ceija Stojka, Romka, która przeżyła Auschwitz-Birkenau, a następnie Ravensbrück i Belsen.

Jednak najbardziej wstrząsająca jest obecność na wystawie dzieł Geli Seksztajn, malarki, uwięzionej w warszawskim getcie i zamordowanej w 1943 r. – jej prace ocalały w Archiwum Getta Warszawskiego. Są tu też dzieła Marharyty Połowinko, artystki, która wstąpiła do Sił Zbrojnych Ukrainy i zginęła 5 kwietnia 2025 roku.

Co robimy

Ponad 40 lat temu bell hooks, jedna z najważniejszych postaci współczesnej myśli feministycznej, podkreślała, że „tożsamość rasowa i klasowa generuje różnice jakości życia, statusu społecznego i stylu życia, które są ważniejsze niż wspólnota doświadczeń kobiet – różnice, które rzadko się przekracza". Tym ważniejsze jest pokazywanie różnorodności doświadczeń i ich odrębności.

Ważnym atutem tej wystawy jest zestawienie twórczości z naszej części kon-

eprasa.pl c90e1c6c76

tynentu z powstającą w Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych, ale też wielopokoleniowa perspektywa. Dlatego dobrze, że nie zabrakło na wystawie pokolenia najmłodszego: Somayi Critchlow i Małgorzaty Mycek – rocznik 1993, czy urodzonej w 1999 r. Kariny Synytsii.

Jednak przede wszystkim na wystawie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej znalazła się sztuka „przymiotnikowa" (określenie antropolożki Ewy Klekot), czyli określana często jako „prymitywna", „ludowa", „naiwna", „nieprofesjonalna", „inna", jakby bez tych przymiotników nie mogłaby być zakwalifikowana po prostu jako sztuka.

Tymczasem w Muzeum Sztuki Nowoczesnej prace Felicji Curyło, Marii Korsak czy Marii Wnęk potraktowano jak każdą inną. To niemalże rewolucyjna decyzja, przełamująca trwające od wielu dekad przyzwyczajenia i hierarchie. Owszem, od dawna interesowano się tą twórczością, jednak ostatecznie i tak – z bardzo nielicznymi wyjątkami – ostatecznie trafiała ona do muzeów etnograficznych lub muzeów „sztuki naiwnej".

Co dalej

„Kwestię kobiecą" poświęcono sztuce powstającej w ostatnich pięciu wiekach, a jednak wystawa dotyka kwestii bardzo aktualnych. Powstała ona bowiem – jak podkreśla Joanna Mytkowska, dyrektorka MSN-u – z niezgody i „niedowierzania wobec narastającej w wielu miejscach na świecie, w tym w uważanej za ostoję równości obywatelskich Europie Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych, fali antykobiecych wystąpień i zmian prawnych, które odwracają wywalczone już w latach 70. prawa i standardy równościowe".

Wydarzenia te bardzo dobitnie przypominają, że żadne prawa nie zostały dane na zawsze, a wszystkie zmiany mogą być zawsze zanegowane.

© PIOTR KOSIEWSKI

KWESTIA KOBIECA 1550–2025, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, wystawa czynna do 3 maja

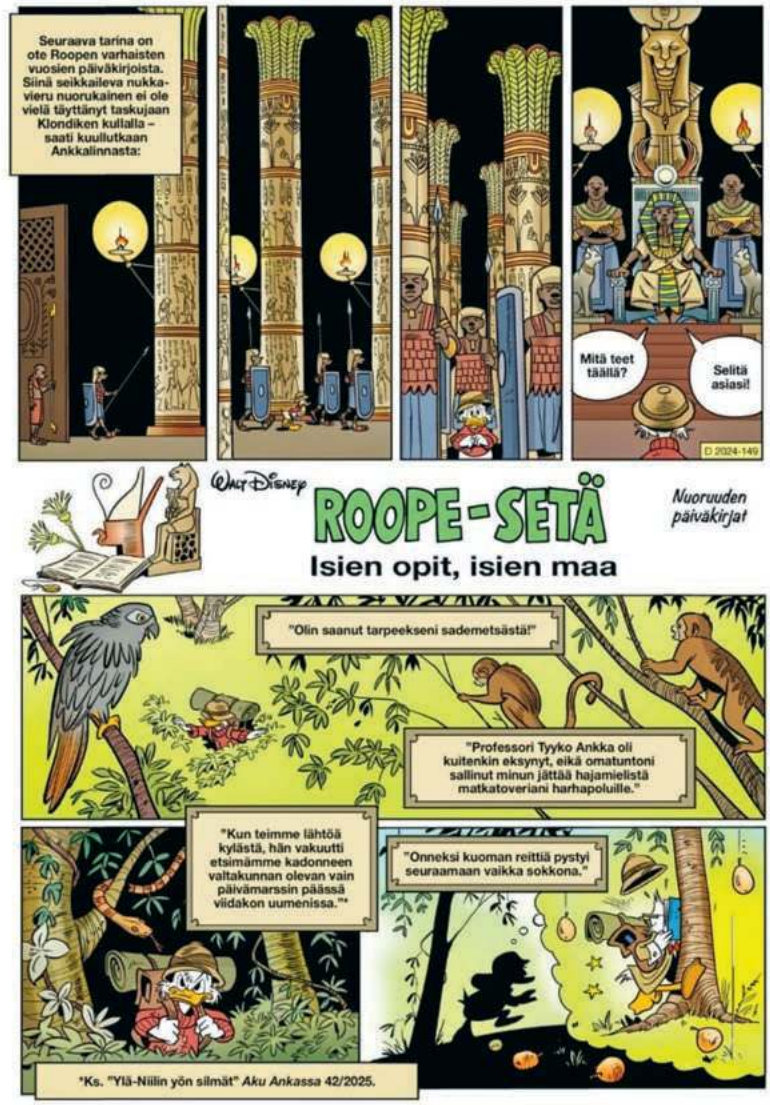

MATERIAŁY PRASOWE

„Aku Ankka", fiński komiks z Donaldem

Lekcja z kreskówki

PATRYCJA BUKALSKA

KOMIKS | Kaczor Donald jest w Finlandii fenomenem. Książki z jego przygodami są dla wielu dzieci motywacją, by nauczyć się czytać. A potem polubić.

W Helsinkach rozpoczęto właśnie nowatorski projekt promocji czytelnictwa: pierwszej grupie dzieci z klas trzecich stołecznych szkół wysłano komiksy z Kaczorem Donaldem. Uczniowie będę otrzymywać kolejne magazyny w prenumeracie co tydzień przez trzy miesiące, aż do kwietnia. Potem przyjdzie pora na drugą grupę dzieci.

W sumie w projekcie wezmą udział wszystkie stołeczne szkoły, których jest tu prawie setka. Następnie badacze zweryfikują, czy Donald wpłynął na biegłość trzecioklasistów w przyswajaniu lektur. Zebrane zostaną także opinie małych czytelników i ich rodziców na temat całego przedsięwzięcia. Skąd ten pomysł?

– W testach PISA obserwujemy spadek umiejętności pisania i czytania wśród dzieci. To niepokojąca tendencja, chcemy się z tym zmierzyć – przyznają prof. Minna Torppa oraz dr Jenni Ruotsalainen z uniwersytetu Jyväskylä i inicjatywy Education for the Future ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ (EDUCA) Flagship. Komiksowy projekt został opracowany przez EDUCA, a uczestniczą w nim także – poza uniwersytetem Jyväskylä – uniwersytet Aalto, Turku Research Institute for Learning Analytics i miasto Helsinki.

EDUCA zajmuje się pojawiającymi się w Finlandii problemami związanymi z edukacją, w tym gorszymi ostatnio wynikami w nauce, większą liczbą szkolnych nieobecności, a także spadkiem czytelnictwa wśród maluchów. Choć problem z czytaniem wynika prawdopodobnie ze zmieniającego się sposobu spędzania wolnego czasu, a nie z błędów w samym szkolnictwie.

Według krajowych statystyk codzienne czytanie książek jest coraz mniej popularne. Jeśli w latach 80. poświęcano mu 50 minut dziennie, dziś jest to nie więcej niż minut 20. Dotyczy to wszystkich grup wiekowych, również dorosłych, przyznaje dr Minna Sääskilahti, wykładowczyni z uniwersytetu w Oulu. Jak to zmienić? Ważne, by dzieci miały wiele alternatyw, jeśli chodzi o lektury, i wolność, by wybrać to, co chcą czytać.

– Kiedy dostaną ciekawą książkę, są zmotywowane i rzeczywiście czytają. Wewnętrzna motywacja jest najsilniejsza – zaznacza Sääskilahti.

Po lekcjach

Sari Langdon, bibliotekarka z Helsinek, opowiada, jak zachęcała do czytania swoje dzieci.

– Przede wszystkim sami czytaliśmy, czytaliśmy też dzieciom. Chodziliśmy z synami do biblioteki. Kiedy zaś osiągnęli pewien poziom umiejętności czytania, zaczęło to być dla nich po prostu przyjemne – opowiada Langdon. – I jeszcze jedna rzecz, jak sądzę, miała tu wpływ: w naszym domu książki były dosłownie wszędzie. A kiedy wokół są książki, to ma się poczucie, że czytanie ich jest po prostu czymś ważnym.

Langdon pracuje w małej bibliotece w helsińskiej dzielnicy Etelä-Haaga. Placówka znajduje się niedaleko szkoły, więc dzieci często przychodzą tu po lekcjach.

– Spędzają u nas czas, odrabiają lekcje. A czasami grupa chłopców po prostu sobie siedzi, gra na telefonach i rozmawia. Mamy jednak nadzieję, że samo otoczenie książek dobrze wpływa na dzieci. Aż się ciepło robi na sercu, gdy słyszę, jak mówią między sobą: „o, ta książka była dobra” – przyznaje bibliotekarka. – Szkoły starają się zachęcać dzieci do czytania jak mogą, jednak to przykład rodziców, którzy czytają, jest tutaj kluczowy.

Siiri Inkilä również jest bibliotekarką. Pracuje w dwóch helsińskich bibliotekach miejskich: w dzielnicy Kallio oraz na wyspie Lauttasaari. O komiksowym projekcie rozmawiała ze swoimi kolegami i koleżankami z obu placówek.

– Naprawdę czekamy na wyniki i chcielibyśmy wykorzystać je w naszej pracy, motywując do czytania – przyznaje, ale podkreśla, że codzienne doświadczenia w bibliotece mogą się różnić w zależności od regionu, a także od rodziny. Są takie, w których czytanie jest ważną umiejętnością i hobby, ale są też inne, w których nie czyta się wcale lub mniej niż pięć książek rocznie.

– Czytelnictwo spadło szczególnie w grupie chłopców, a różnica między dziećmi, które czytają dużo, a tymi, które czytają rzadko, wzrosła – zauważa Inkilä. – Dzieci w ogóle są mniej zainteresowane książkami jako rozrywką.

Podobnie jak Sari Langdon, Siiri Inkilä wskazuje, że nawyki czytelnicze, lub ich brak, wynosimy z domu.

– Rodziny zamożniejsze przeznaczają więcej czasu i pieniędzy na czytanie. Mają też więcej materiałów do czytania w domu: książek, gazet i czasopism – wskazuje. Tu widać dodatkowe znaczenie dystrybucji komiksów z Kaczorem Donaldem: dzieci będą dostawać je do domu, mogą je zatrzymać. Być może zachęci je to, by budować własną domową biblioteczkę.

A jakie książki w bibliotece cieszą się u dzieci powodzeniem? Siiri Inkilä wymienia serię „Dziennik cwaniaczka” Jeffa Kinneya, a także „Dzienniki Nikki” Rachel Renée Russell.

– To chyba najbardziej popularne książki dla dzieci w Helsinkach, a pewnie i w Finlandii – odpowiada. – Generalnie czytane są książki z wartką, pełną akcji fabułą i wieloma obrazkami. Popularne tematy to super-bohaterowie, magiczne światy, magiczne szkoły. Tak, „Harry Potter” jest u nas nadal popularny. Wzięciem cieszą się też kryminały dla dzieci.

Inkilä zauważa też, że popularne stały się komiksy i książki z obrazkami.

– Dzieci interesują się komiksami, jeszcze zanim nauczą się czytać. Oglądają obrazki, wyobrażając sobie opartą na nich historię. Nawet jeśli w komiksie nie ma wiele tekstu, to nie znaczy, że historia nie może mieć głębszego przesłania – zaznacza dr Minna Sääskilahti, przyznając, że sama również bardzo lubi komiksy.

Narodowy Sknerus

Najbardziej znanym komiksowym bohaterem jest w Finlandii właśnie Kaczor Donald, nazywany tu Aku Ankka. Magazyn wychodzi co tydzień, nieprzerwanie od 1951 r. Dziś w nakładzie przekraczającym wciąż sto tysięcy egzemplarzy.

– Kiedy komiksy z Kaczorem Donaldem zaczęły się tu ukazywać w latach 50., Finlandia była dość ubogim krajem, w którym nie było wiele rozrywek i książek dla dzieci. Stąd zapewne jego popularność. Jeśli tylko mogli sobie na to pozwolić, Finowie zamawiali prenumeratę do domu – opowiada Sari Langdon. – Ja też go dostawałam, kiedy chodziłam do szkoły. Razem z moim bratem walczyliśmy, które z nas pierwsze będzie czytać numer!

Dobrym przykładem, by pokazać, jak niezwykłym kulturowym fenomenem stał się w Finlandii Kaczor Donald i seria opowieści o jego przygodach, jest opublikowany w 1999 r. komiks „Sammon Salaisuus”, którego bohaterem jest Sknerus McKwacz, a który oparty został na fińskim eposie narodowym Kalevala.

To tak jakby w Polsce wydano komiks z Kaczorem zainspirowany „Panem Tadeuszem” Adama Mickiewicza. Powstały też wersje Aku Ankki w języku północnosaamskim, którym posługują się rdzenni

Donald w Polsce

- **Polski magazyn „Kaczor Donald” (wydawany przez Egmont Polska) ukazuje się nieprzerwanie od 1994 r. Przez wiele lat był jednym z najpopularniejszych tytułów komiksowych w naszym kraju.**
- **Jeszcze w 2015 r. średni nakład „Kaczora Donalda” wynosił ok. 40 tys. egzemplarzy. Bywało, że do kiosków trafiało nawet 200 tys. sztuk.**
- **Wujek Sknerus, Donald i jego siostrzeńcy cieszą się niesłabnącą popularnością wśród dzieci odwiedzających biblioteki: seria z kaczkami była najchętniej wypożyczanym komiksem w roku 2025 np. w Lublinie.**

eprasa.pl c90e1c6c76

MATERIAŁY PRASOWE

KARI KORHONEN (ur. 1973) jest fińskim rysownikiem, autorem komiksów o Kaczorze Donaldzie, a także pierwszego komiksu z Angry Birds. W Polsce ukazał się jego „Wujek Sknerus. Pamiętniki Sknerusa McKwacza" (Wydawnictwo Egmont).

Komiksy z Kaczogrodu

PATRYCJA BUKALSKA: Rysuje Pan Kaczora Donalda, ulubiony komiks Finów, od prawie 30 lat. To spora odpowiedzialność.
KARI KORHONEN: Tak, to już 33 szczęśliwe lata, ale sama praca nadal mnie fascynuje, może dlatego, że zawsze można coś poprawić. Dążenie do idealnej strony to kuszący, nieosiągalny cel. Pewnie: jest stres, frustracja, a czasem zmartwienie, ale jak to kiedyś sformułował pewien pisarz: praca to lepsza zabawa niż sama zabawa. A jeśli chodzi o odpowiedzialność: jestem wdzięczny za to, że ludzie czerpią z czytania tych historii tyle przyjemności, co ja z ich rysowania.

Czy na targach książki spotyka się Pan z fanami Aku Ankki? Dlaczego ta postać jest dla nich ważna?
Na szczęście dzieci wciąż kochają Donalda i spółkę. Być może postrzegają mieszkańców Kaczogrodu mniej jako postacie z komiksu, a bardziej jako przyjaciół, z którymi dorastają. Tak jak ich rodzice, a nawet dziadkowie. Myślę, że to coś wyjątkowego.

Skąd tak wielka popularność Kaczora Donalda w Finlandii? Teraz został wybrany do projektu wspierania czytelnictwa wśród dzieci w Helsinkach.
Powodów sukcesu Aku Ankki jest wiele, ale do projektu został wybrany przede wszystkim z powodu wysokiego poziomu tłumaczenia na fiński. Fiński jest skomplikowanym językiem, a fińscy redaktorzy często byli nagradzani za jego barwne i pomysłowe użycie w komiksie. Dzieci z wielu pokoleń, w tym ja sam, nauczyły się z tych zeszytów czytać.

W tym roku Aku Ankka obchodzi 75. urodziny.
Kiedy komiks zaczął się ukazywać w Finlandii w 1951 r., pokolenie baby boomersów natychmiast pokochało ten magazyn. W tamtych czasach było bardzo mało czasopism dla dzieci, a kolorowy komiks, pełen świetnych historii autorstwa takich autorów jak Carl Barks, był jak powiew świeżego powietrza.

W Finlandii istnieje długa tradycja prenumerowania czasopism, zamiast kupowania ich w kioskach. To przyczyniło się do powstania zwyczaju, że rodzice i dziadkowie prenumerują komiks dla swoich dzieci, często jeszcze przed ich narodzinami. I sami go czytają. Mamy wielu prenumeratorów, którzy odnawiają swoje zamówienie od ponad 50 lat. Niedługo i ja się do nich zaliczę.

Co sprawia, że komiks ten przyciąga kolejne pokolenia?
Poczciwy, stary Kaczogród pozostaje małą oazą, do której zawsze można wrócić. Wspaniałą cechą uniwersum Disneya jest to, że ma wszechstronną obsadę, z którą można się utożsamiać: pechowego faceta z trójką dzieci, bogatego wujka, kuzyna szczęściarza itd. Daje to wiele możliwości tworzenia ponadczasowych historii opartych na tych postaciach.

A jak się zaczęła Pana przygoda z Kaczorem Donaldem?
Moje najwcześniejsze wspomnienia związane z Donaldem to oczekiwanie na powrót taty z pracy, żebyśmy mogli razem poczytać magazyn. Byłem jego małym fanem na długo, zanim zainteresowałem się sztuką, co doprowadziło do pracy w sklepie z komiksami, gdzie poznałem wielu artystów i redaktorów. Dzięki tym znajomościom zostałem zaproszony w 1993 r. na spotkanie z redaktorami Disneya w siedzibie redakcji. Obejrzeli moje portfolio i dostrzegli w nim coś, co przełożyło się na moją karierę zawodową.
© PB

mieszkańcy zamieszkujący północną część Finlandii, Norwegii i Szwecji.

Niezwykła pozycja kaczego komiksu w Finlandii ma ważne uzasadnienie: chodzi o język.

– Język używany w książkach Aku Ankka jest bardzo twórczy, barwny i zabawny, dlatego tak przyciąga czytelników, również starszych. Myślę, że jest coś szczególnego w fińskich komiksach tej serii. Choć to oczywiście tyko moje odczucia – mówi Sari Langdon.

Opinię tę powtarzali jednak również inni moi rozmówcy – w tym sam Kari Korhonen, najbardziej znany fiński rysownik komiksów o Kaczorze Donaldzie (wywiad z nim publikujemy obok). Nie jest to przypadek: od początku do języka w tej publikacji przywiązywano w Finlandii wielką wagę.

– Ponieważ komiks jest ważny dla dzieci i mają one wielką motywację, by go czytać, używany w nim język musi być najwyższej jakości, ma być wzorcowym przykładem fińskiego – wyjaśnia dr Minna Sääskilahti.

To był jeden z powodów wybrania tej właśnie serii do projektu EDUCA.

– Od kilkudziesięciu lat komiks jest niezwykle popularny i zdobył wiele nagród za wysoki poziom języka fińskiego. Wielu Finów przyznaje, że dzięki Kaczorowi Donaldowi nauczyło się czytać! – podkreślają prof. Minna Torppa i dr Jenni Ruotsalainen. – To też jedyny komiks wydawany w Finlandii co tydzień, co pozwala nam na regularną zachętę do czytania.

Fiński pech

Czy dzięki projektowi EDUCA uczniowie w helsińskich szkołach zaczną więcej i lepiej czytać? Na odpowiedź przyjdzie poczekać do wiosny, jednak dzięki niemu Kaczor Donald rozgości się przynajmniej w części domów kilku tysięcy uczestniczących w badaniu uczniów. Ma to też swoje kulturowe uzasadnienie.

– Powszechnie wiadomo, że Finowie utożsamiają się bardziej z Kaczorem Donaldem niż na przykład z Myszką Miki. Dlaczego? Ponieważ Kaczor Donald nie zawsze odnosi sukcesy w swoich przedsięwzięciach. Ma pecha i niemal nieustannie kłóci się z sąsiadem – wyjaśnia Siiri Inkilä. – Mimo to jest szczęśliwy i uwielbia spędzać czas z rodziną. Myślę, że to coś, co u Finów naprawdę rezonuje.
© PATRYCJA BUKALSKA

eprasa.pl c90e1c6c76

PRZEMYSŁAW JENDROSKA / TEATR ŚLĄSKI

W kostiumie

JACEK WAKAR

TEATR | Byliście kiedyś we wnętrzu obrazu? A w głowie zmęczonego gorączką twórczą malarza? Te niecodzienne doświadczenia – i dużo więcej – proponują nowe spektakle Agaty Dudy-Gracz.

Kiedyś zestawiano ją z twórcami jej pokolenia, Mają Kleczewską albo Janem Klatą, szukano punktów wspólnych, śledzono, skąd wynikają różnice języków scenicznej wypowiedzi. Szczęśliwie po pewnym czasie te porównania zarzucono. Zapewne gdyby Agata Duda-Gracz inaczej pokierowała swoim artystycznym życiem, mogłaby w pewnym momencie objąć stery któregoś z teatrów (sam wiem o co najmniej jednym) i płynąć w nieco bardziej głównym nurcie. Ale czy właśnie w nim nie jest, tyle że na własnych warunkach?

Jej ostatnie przedstawienia powstały w krakowskim Teatrze Słowackiego, w gdańskim Wybrzeżu oraz w Teatrze Śląskim w Katowicach, a więc na scenach, które nadają ton nie tylko wewnętrznym środowiskowym narracjom, ale też decydują o tym, jak postrzegane jest dziś nasze teatralne życie.

Regularnie pracuje również Duda-Gracz ze studentami, reżyserując ich dyplomy. Zaryzykowała nawet współpracę z producentem Jerzym Gudejką, by spotkać się z Jadwigą Jankowską-Cieślak i Danielem Olbrychskim w „Przebłyskach" Serge'a Kribusa.

Po odejściu wielkiej aktorki spektakl ma szansę na nowe życie z Anną Romantowską w obsadzie, a wspominam o tym dlatego, że nawet w takich, z założenia obcych sobie, bo komercyjnych warunkach, artystka po swojemu nagina rzeczywistość, dając widowni coś, czego ta się nie spodziewała – w tym przypadku chwilami obcesową, obrazoburczą komedię o starości i umieraniu.

SĄD OSTATECZNY | W gdańskim Wybrzeżu Duda-Gracz pracowała po raz pierwszy, do Katowic wróciła, bo – jak powiedział dyrektor Robert Talarczyk – ma tam swój dom. To coś więcej niż jedynie grzecznościowa formuła, to deklaracja o szerszym znaczeniu.

Duda-Gracz znalazła sposób na autorski teatr w ramach wielkich instytucji, jej przedstawienia mają zawsze osobny wymiar, ostatnio odpowiada w nich za bardzo wiele elementów, by nie powiedzieć, że prawie za wszystko – tekst, reżyserię, scenografię, kostiumy, a nawet ruch sceniczny – do tego pracuje z tymi samymi kompozytorami i twórcami świateł.

A jednocześnie owe inscenizacje gładko wpisują się w szersze koncepcje scen. Dokładnie tak stało się w Gdańsku. Znakomity zespół Teatru Wybrzeże, mimo że zaprawiony w różnych estetykach i stylach, czegoś takiego jak „Memling, czyli historia końca świata" jeszcze nie ćwiczył.

Nie jest tajemnicą, iż Agata Duda-Gracz przyjechała do Gdańska z nieco innym pomysłem, ale szef Wybrzeża, Adam Orzechowski zaproponował jej rzecz o Memlingu, aby osadzić spektakl w trójmiejskiej historii i tutejszych klimatach. Wiadomo, czym jest „Sąd ostateczny" dla Gdańska i dla miejscowego Muzeum Narodowego.

SZALEŃSTWO I MUZYKA | Twórczyni podjęła wątek po swojemu, rekonstruując proces powstawania obrazu, raz za razem ów obraz w całości i we fragmentach inscenizując. Nie zrealizowała przy tym, rzecz jasna, biograficznej opowieści o słynnym wizjonerze, w najmniejszym stopniu nie interesowała jej literalna wierność faktom, chociaż przeprowadziła przedtem dokładną kwerendę.

Odmalowała obraz epoki ciemnej i niejednoznacznej, o której dzisiaj mało wiemy, a jeśli już cokolwiek, to operujemy łatwymi kliszami. Narysowała na scenie Wybrzeża bliskie nam dzisiaj prze-

eprasa.pl c90e1c6c76

NATALIA KABANOW / TEATR WYBRZEŻE

Spektakle w reż. Agaty Dudy-Gracz; „Memling, czyli historia końca świata", po lewej: „Między nogami Leny, czyli Zaśnięcie Najświętszej Marii Panny według Caravaggia"

czucie nadciągającej apokalipsy. I wcale nie wielkiego Hansa umieściła w centrum historii.

Znalazł się tam oszalały Hugo van der Goes (znakomita, bardzo plastyczna rola Marcina Miodka, odważnie zrywająca z dotychczasowym wizerunkiem młodego aktora), niderlandzki malarz, niewątpliwie ważny, może wręcz wybitny. Duda-Gracz podnosi wątek załamania psychicznego Goesa, które ten przeszedł w klasztorze augustianów, leczony muzyką. Reżyserka rysuje postępujące obłąkanie, akcentując, iż jego przyczynę sam Hugo widzi w rosnącej pozycji Memlinga, gdyż ten odebrał mu należne zaszczyty i apanaże.

ŻYWIOŁ ŚMIECHU | Goes pełni w gdańskim przedstawieniu trochę podobną rolę, jak Antonio Salieri w „Amadeuszu" Petera Shaffera, tyle że autorka obchodzi się z nim bardziej uczciwie. Nie używa Goesa do własnych celów, jak brytyjski pisarz robił z Salierim, nie ustawia go w roli zazdrosnej miernoty, co dla dramaturgicznego konceptu wbrew faktom uczynił autor „Amadeusza" z antagonistą Mozarta.

W gdańskim spektaklu równie ważne jest arcydzieło Memlinga, co szaleństwo Goesa. Poddany opresjom w imię rzekomego wyleczenia bohater staje się ofiarą własnej sztuki i namacalnym dowodem na jej niszczące działanie.

W takim układzie Memling (Michał Jaros) przyjmuje funkcję kogoś w rodzaju kronikarza świata utrwalanego na płótnach. A ów świat końca XV w. rozpięty jest pomiędzy resztkami *sacrum*, które jednak robi zadowolone z siebie miny sióstr oraz zakonników i udaje, że ma się jak najlepiej, a rosnącym w siłę *profanum*. Spektakl bezbłędnie punktuje hipokryzję, pustkę i blichtr Kościoła, ale powstrzymuje się od publicystyki.

Zamiast uderzać politycznymi frazesami, atakuje śmiechem – role Grzegorza Gzyla (Przeor) i Doroty Androsz (siostra Dymfna) są jak z najlepszej komedii. W ogóle „Memling..." zdaje mi się najbardziej zabawnym z dotychczasowych dzieł Dudy-Gracz. O tym, że ma niezwykłe poczucie humoru, zaświadczała niejednokrotnie, ostatnio choćby w „Proszę Państwa, Wyspiański umiera" w krakowskim Teatrze Słowackiego. W Gdańsku uwolniła żywioł śmiechu na zupełnie inną niż dotychczas skalę.

W GŁOWIE MISTRZA | Pierwszą wersję spektaklu o Caravaggiu Agata Duda-Gracz przygotowała kilka lat temu w Teatrze Dramatycznym w Kłajpedzie, gdzie wciąż jest grany. Pokazano go w Polsce, ale nie tylko mnie nie udało się przedstawienia zobaczyć.

Dlatego nie oceniam, czym różni się widowisko w Katowicach od litewskiej wersji, traktuję je autonomicznie. Rekonstruując na scenie Teatru Śląskiego najważniejsze dzieła włoskiego mistrza i rewolucjonisty – widzimy choćby „Niewiernego Tomasza", „Ścięcie św. Jana Chrzciciela", „Judytę odcinającą głowę Holofernesowi" – artystka tworzy kolejny frenetyczny obraz epoki, pełnej prostaczków, ladacznic, obnoszących swe insygnia kościelnych dostojników, ale akcent stawia gdzie indziej.

Obsadzając w tytułowej roli Krzysztofa Wronę (grał u niej wcześniej m.in. Wyspiańskiego), zaprasza nas do wnętrza zmęczonej nieustanną maligną głowy Caravaggia. Każe postrzegać świat jego obłąkanymi oczami, staczać się na dno upadku w opłakiwaniu ukochanej, bo wraz z jej odejściem dla bohatera kończy się cały świat.

„Między nogami Leny..." w Teatrze Śląskim imponuje rozmachem, aktorki i aktorzy są świetni w scenach zbiorowych i najmniejszych nawet epizodach, ale ja wolę patrzeć na to przedstawienie jako na intymną impresję o geniuszu udręczonym przez świat, własną wielkość i małość, wreszcie czysto ludzką bezradność. Wspaniale ukazuje to Wrona, akcentując nieujarzmioną chropowatość Michelangela, jego niedostosowanie i ból. Chciałoby się powiedzieć o jego roli – ten biedny Caravaggio, i wcale nie umniejsza to siły osobowości ikonicznego bohatera.

Przez całą artystyczną drogę Agacie Dudzie-Gracz blisko było do opowiadania o malarzach i tworzeniu, ale ostatnie jej inscenizacje niosą w tym względzie ożywczą bezczelność, osobiste uwolnienie i odsłonięcie. Artystka nie kłania się nikomu, mówi o tych, o których chce i jak chce.

Wbrew tytułowi dzieło Memlinga nikogo nie sądzi, raczej nakłuwa śmiechem. A przy tym – widać to bardzo wyraźnie – bez sentymentu przypomina, że łatwiej nosić emblematy świętości, niż pozostać człowiekiem. To sprawia, że ubrane w historyczny kostium spektakle Dudy-Gracz stają się bezkompromisowym komentarzem do współczesności. ©

Najbliższe pokazy spektaklu **MIĘDZY NOGAMI LENY, CZYLI „ZAŚNIĘCIE NAJŚWIĘTSZEJ MARII PANNY" WEDŁUG CARAVAGGIA** w Teatrze Śląskim już od 5 marca. Z kolei **MEMLING, CZYLI HISTORIA KOŃCA ŚWIATA** w Teatrze Wybrzeże już 27 lutego.

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej

eprasa.pl c90e1c6c76

Powrót do domu

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Joachim Trier, podobny w tym do Ingmara Bergmana, święcie wierzy w odkupienie, uzdrowienie czy wręcz ocalenie poprzez sztukę.

Kiedy były małe, podsłuchiwały przez kominek kłótnie rodziców i zwierzenia pacjentów matki. Dziś tą samą drogą dociera do nich głos „ojca marnotrawnego", który zjawia się niespodziewanie po wielu latach. Lecz nawet teraz, na stypie po śmierci byłej żony, ma on swój interes. Znany reżyser (Stellan Skarsgård) planuje nowy film, oparty na tragicznej historii swojej matki, zaangażowanej ongiś w norweski ruch oporu. I w głównej roli chciałby obsadzić starszą córkę Norę. Tę, którą wcześniej widzieliśmy na scenie sparaliżowaną atakiem paniki i której trudno sobie wyobrazić, że zdjęcia będą kręcone w ledwo wystygłym domu. W miejscu jak z bajki, ale z przeszłością niczym z thrillera.

„Wartość sentymentalna" Joachima Triera, jeden z najbardziej nagradzanych filmów europejskich ostatnich lat, opowiada o dwóch siostrach, aktorce Norze (Renate Reinsve) i historyczce Agnes (Inga Ibsdotter Lilleaas), różnie naznaczonych przez ojcowskie odejście. Ta pierwsza nie znajduje spełnienia ani w życiu osobistym, ani w karierze, bywa kolczasta i nieufna. Odrzuca więc filmową propozycję ojca, który angażuje do głównej roli hollywoodzką gwiazdę (Elle Fanning). Zdobędzie on dzięki temu środki na produkcję, choć nie odzyska porozumienia z córką. Kiedyś Nora walczyła o jego uwagę, dziś widzi w nim jedynie narcyza, kobieciarza i pijaka. W przeciwieństwie do Agnes, która zawsze była tą „lepszą" córką i dziś na własną rękę próbuje zmierzyć się z traumatyczną przeszłością rodziny. Dowiedzieć się, co sprawia, że w pięknej drewnianej willi po dziadkach straszą duchy i pękają ściany, a mimo to tak bardzo się za nią tęskni.

Trier wykorzystuje podobny zabieg jak niedawno Mascha Schilinski w filmie „Wpatrując się w słońce": dom zdaje się żywym organizmem, spaja historie bohaterów, patrzy na nich i na nas. Dom przechowuje pamięć, nawiedza kolejne pokolenia i wsącza się w indywidualny krwiobieg. Ten sam budynek zagrał zresztą ważną rolę w innym filmie Triera, „Oslo, 31 sierpnia", i ów symboliczny powrót do domu przypomina, że znajdujemy się w osobistym uniwersum tego twórcy. Zamieszkałym przez ulubionego aktora Andersa Danielsena Lie (tu gra kochanka Nory), samą Reinsve (wybitną w „Najgorszym człowieku na świecie") oraz przez stałego współscenarzystę Eskila Vogta. Widać też, jak ta domowa historia zmieniła styl Triera, z bardziej swobodnego na idealnie dopięty, nabrzmiały treścią i, *nomen omen*, sentymentalny.

Można by rzec z przekąsem, że to styl „festiwalowy" i że „Wartość sentymentalna" została pomyślana jako wysokoartystyczny produkt. Nie przypadkiem pełno w nim filmowych odniesień. Przede wszystkim do bergmanowskiej „Persony" (1966), gdzie nagłe zamilknięcie aktorki na scenie było m.in. punktem wyjścia do rozważań wokół życia złożonego na ołtarzu sztuki. Trier nawiązuje do szwedzkiego mistrza nieironicznie. Jego Gustav nosi nazwisko głównego bohatera „Tam, gdzie rosną poziomki" (1957), a w postać starszej aktorki Borga wciela się Lena Endre, należąca przez lata do bliskiego kręgu Bergmana. Samo kadrowanie kobiecych twarzy może być poczytane za hołd, lecz również jako aspiracja do bycia następcą guru. Nie mówiąc o dosłownym i jakże wymownym cytacie, czyli przenikających się portretach ojca i córek. Są jednak zasadnicze różnice: Trier bywa mniej koturnowy, dużo bardziej skupiony na relacjach horyzontalnych i tym samym współodczuwający ze swoimi bohaterami. Jest wszak dzieckiem swoich czasów, ukształtowanych przez inną wrażliwość i kulturę terapeutyczną.

Dlatego Trier stara się „nie być Gustavem", którego postać wręcz modelowo reprezentuje artystę starszej daty w zmieniającym się świecie. Borg odcina kupony od dawnego sukcesu artystycznego, planuje stworzenie *opus magnum* i jednocześnie jest zakładnikiem swojego zmęczenia, egotyzmu, przestarzałej mentalności. Oraz nowego systemu produkcji formatowanego przez duże platformy streamingowe. W dalszym ciągu traktuje bliskich jak własne tworzywo, plan filmowy zaś jak miejsce zastępczej bliskości. A poziom jego odklejenia od życia naj-

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl c90e1c6c76

MATERIAŁY PRASOWE

WARTOŚĆ SENTYMENTALNA *(„Affeksjonsverdi”) – reż. Joachim Trier. Prod. Norwegia/ /Francja/Niemcy/ /Dania/Szwecja/ /Wielka Brytania 2025. Dystryb. M2 Films. W kinach od 27 lutego.*

Joachim Trier urodził się w Danii, lecz tworzy w Norwegii, głównie w stolicy, gdzie nakręcił trylogię „Reprise. Od początku raz jeszcze” (2006), „Oslo, 31 sierpnia” (2011) i „Najgorszy człowiek na świecie” (2023). Największy sukces przyniosła mu dotychczas „Wartość sentymentalna”, z Grand Prix w Cannes, 6 Europejskimi Nagrodami Filmowymi i 9 nominacjami do Oscara.

Powyżej kadr z filmu „Wartość sentymentalna”

lepiej pokazuje zabawna scena, kiedy Gustav wręcza małemu wnukowi w urodzinowym prezencie zestaw DVD z... „Pianistką” Michaela Hanekego i „Nieodwracalnym” Gaspara Noégo. Jednak Trier, podobny w tym do Borga czy Bergmana, święcie wierzy w odkupienie, uzdrowienie czy wręcz ocalenie poprzez sztukę. O tym mówi finał, mieszający z wirtuozerią poziomy rzeczywistości i fikcji, bo „Wartość sentymentalna” bez wątpienia jest filmem mistrzowskim w wielu znaczeniach tego słowa. Tylko czy nie za bardzo wykalkulowanym w swej rodzinnej „filmoterapii”?

Podsuwa bowiem Trier trochę zbyt wiele psychologicznych wytrychów – międzypokoleniową traumę, syndrom opuszczenia, toksyczne rodzicielstwo czy odwrócenie ról opiekuńczych. To ostatnie, w odniesieniu do Nory i Agnes, wydaje mi się zresztą najbardziej przejmującym i trochę zaniedbanym wątkiem filmu. Chodzi o złożoną więź między siostrami, w której silniejsza troszczy się o słabszą, aczkolwiek dawniej, we wspólnym dzieciństwie, to ta druga starała się chronić młodszą, poniekąd własnym kosztem. Ostatecznie najbardziej liczy się ich relacja z ojcem i jego dzieło, które pomoże wszystkim odnaleźć się pośród emocjonalnych zranień, rodzinnych tajemnic i genealogicznych obciążeń. W tym sensie jego postać ma w sobie coś nieomal boskiego (i bergmanowskiego), choć trzeba przyznać, że kreacja Skarsgårda potrafi nadać jej rys arcyczłowieczy, nie tylko w chwilach słabości, ale i okrucieństwa czy arogancji.

To jednak aktorki, Lilleaas i Reinsve (w tej kolejności), wysycają ekran najintensywniejszą energią, niespokojną i nieprzewidywalną w przypadku Nory, maksymalnie skupioną u Agnes. I tak jak Gustav ciągnie ten film bardziej w stronę kina o udrękach i ekstazach późnej twórczości, tak siostry Borg zapraszają nas w rejony kina subtelniejszego, na modłę tego, jakie robi ostatnio inny świetny reżyser norweski, Dag Johan Haugerud. Dzięki temu, pomimo wielopiętrowych konceptów i problemów rodem z „pierwszego świata”, tak łatwo rozpoznać siebie w tej cokolwiek sterylnej historii. Rozgościć się na dwie i pół godziny w nawiedzonym domu, pełnym stłumionych głosów z przeszłości i dyskretnych dźwięków Hani Rani. ©

Lektor:
Profesorowa pod Tatrami

▪ *Maryla Szymiczkowa,* **SZALEŃSTWO I ŚMIERĆ SPŁYNĄ Z GÓR**, *Znak Literanova, Kraków 2025*

Zofia z Glodtów Szczupaczyńska urodziła się wprawdzie w Przemyślu, do czego niechętnie się przyznaje, ale od dawna mieszka w Krakowie. Tu ją poznaliśmy 11 lat temu przy okazji pierwszego ze śledztw prowadzonych przez tę utalentowaną detektywkę-amatorkę, żonę świeżo mianowanego profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pani Zofia rzadko opuszcza miasto, nawet jeśli chodzi tylko o Dębniki, a już podróż do Bochni okazała się niemal traumą.

W szóstym tomie cyklu autorstwa Maryli Szymiczkowej, której plenipotentami są małżeński duet Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński, profesorowa zdecydowała się jednak na wyprawę do Zakopanego. Zagadki przez nią rozwiązywane dają okazję do malowania panoramy galicyjskiego świata przełomu XIX i XX w. Mamy właśnie rok 1905, a bez Zakopanego i Tatr – zmitologizowanych przez Przerwę-Tetmajera, Kasprowicza, Micińskiego i legion innych – Młodej Polski by nie było.

Do Zakopanego doprowadzono już kolej żelazną, ale ani to, ani walory górskiego powietrza nie skłoniłyby zapewne pani Szczupaczyńskiej do wyjazdu, gdyby nie telegram. Wysłał go sędzia śledczy Rajmund Klossowitz, a treść brzmiała następująco: „ZBRODNIA STOP PROSZĘ PRZYJECHAĆ NIEZWŁOCZNIE STOP SAMA STOP CZEKAM”.

Sędzia Klossowitz pojawiał się w powieściach Szymiczkowej już wcześniej, cenił skuteczność profesorowej, a ich współpraca układała się dobrze. Sędzia chciałby jednak współpracę, hm, zacieśnić, co trochę skomplikuje sytuację, zwłaszcza że do Zakopanego zjedzie także niespodziewanie profesor Szczupaczyński. Śledztwo będzie się jednak toczyć wartko, a na scenie pojawią się między innymi zakopiański wójt doktor Andrzej Chramiec, zwalczający go Stanisław Witkiewicz i jego syn, czyli Witkacy, oraz Jan Gwalbert Pawlikowski, któremu Szczupaczyńska złoży wizytę w Domu pod Jedlami, arcydziele Witkiewicza-ojca. Odwiedzimy też Kuźnice i Szkołę Domowej Pracy Kobiet Jadwigi Zamoyskiej oraz sanatorium Dłuskich. Wśród gości pensjonatu pani Wokierowskiej znajdą się młodzi socjaliści – to przecież rok rewolucji! – a sama profesorowa stanie się na chwilę towarzyszką Gencjaną...

Kto, kogo i dlaczego zabił, oczywiście nie wyjawię; w grę wchodzą zarówno pieniądze, jak i wątek „Halki na odwrót”. „Czy ci ludzie nie mogliby się zabijać w jakiś łatwiejszy do spamiętania sposób?” – wzdycha w finale jedna z postaci. Ja tam nie narzekam i czekam na ciągi dalsze.

Efektowna okładka Kiry Pietrek! ©℗

eprasa.pl c90e1c6c76

TEATR TELEWIZJI

AUTOR
Stanisław Ignacy Witkiewicz

REŻYSERIA
Jan Englert

MACIEJ STUHR

DANIEL OLBRYCHSKI

Bezimienne dzieło

PREMIERA | 2.03 | TVP1

NAJWIĘKSZA SCENA ŚWIATA

PREMIERY W PONIEDZIAŁKI I 20:30 I TVP1

eprasa.pl c90e1c6c76

TEATR TELEWIZJI

WIOSNA W TEATRZE TELEWIZJI

W wiosennym repertuarze TEATRU TELEWIZJI znajdą się zarówno realizacje klasyki, jak i współczesnych tekstów, rejestracje uznanych spektakli, nowe przedstawienia teatru familijnego, a także lżejsze propozycje dla szerokiej publiczności.

KLASYKA
W najbliższych tygodniach w TEATRZE TELEWIZJI m.in.: *Bezimienne dzieło* Witkacego w reżyserii Jana Englerta, *Stara kobieta wysiaduje* Tadeusza Różewicza, czyli legendarny monodram Ireny Jun z Teatru Studio, *Potop* Henryka Sienkiewicza w adaptacji i reżyserii Michała Siegoczyńskiego (rejestracja popularnego spektaklu z gdańskiego Teatru Wybrzeże), a także *Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej w interpretacji Agnieszki Glińskiej.

ROK WAJDY
W 2026 roku mija 100. rocznica urodzin i 10. rocznica śmierci Andrzeja Wajdy. TEATR TELEWIZJI zaprasza z tej okazji na *Wszystko na sprzedaż* w reżyserii Mateusza Atmana i Agnieszki Jakimiak – hołd dla jednego z najwybitniejszych twórców polskiego kina, twórczy remake słynnego filmu z '68 roku. Najbardziej awangardowy film Andrzeja Wajdy w interpretacji jednego z najbardziej awangardowych duetów współczesnego teatru.

DEBATA SPOŁECZNA
Częścią misji publicznej realizowanej przez TEATR TELEWIZJI jest inaugurowanie społecznej debaty, a jednym z istotnych tematów tej debaty jest rola Kościoła we współczesnym świecie. Do TEATRU TELEWIZJI wraca Marcin Liber – reżyser znany z inscenizacji *Ale z naszymi umarłymi* Jacka Dehnela. Tym razem przygotowuje *Prałata* na podstawie tekstu napisanego na zamówienie TEATRU TELEWIZJI przez Michała Kmiecika, czyli spektakl o smażącym się w piekle księdzu Jankowskim.

KONKURS *NARRACJE NIEOBECNE*
Trwa nabór tekstów w drugiej już edycji konkursu na scenariusz – a równolegle zbliża się premiera spektaklu opartego na zwycięskim tekście z pierwszej edycji, czyli *Stanu podgorączkowego* Mariusza Gołosza w reżyserii Nastazji Gonery. To teatralna opowieść o pandemii COVID-19 – próba zmierzenia się z doświadczeniem, które wciąż dopomina się namysłu, przepracowania i reprezentacji.

KOBRA
Mija 70. lat od inauguracji legendarnego Teatru Sensacji Kobra. TEATR TELEWIZJI przypomni z tej okazji niektóre jej realizacje, a także szykuje dwie nowe, sensacyjne premiery – Juliusz Machulski realizuje autorski tekst pt. *Wnuczka Picassa*, a Krystyna Janda reżyseruje *Wszystko czerwone* Joanny Chmielewskiej.

SCENA MŁODEGO WIDZA
W najbliższych miesiącach w TEATRZE TELEWIZJI dwie premiery specjalnie z myślą o młodszej widowni – propozycje do wspólnego, rodzinnego oglądania. Będą to *Piekło-Niebo* Marii Wojtyszko w reżyserii Jakuba Krofty, czyli brawurowy spektakl z Teatru Narodowego, familijna, baśniowa i bardzo dowcipna komedia, która przystępnie, uważnie porusza temat utraty, oraz *Kanato* w reżyserii Magdaleny Małeckiej-Wippich, czyli baśniowa wyprawa do krainy wierszy Jana Brzechwy.

MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ
Kinga Preis

LAST CALL!
Do 28 lutego trwa nabór zgłoszeń w drugiej edycji konkursu na scenariusz dla TEATRU TELEWIZJI – *NARRACJE NIEOBECNE*. Główna nagroda: 55 tys. PLN i realizacja spektaklu. Szczegóły i regulamin na stronie teatrtv.vod.tvp.pl w zakładce *KONKURS*.

REKLAMA

eprasa.pl c90e1c6c76

PAWEŁ

Bravo:
Granie do kotleta

Pięćset dziesięć herców z głośnika zamiast słonych paluszków – podobno wtedy lager smakuje najlepiej. Przynajmniej ten z browaru Carlsberg, albowiem pionier neuropsychologicznego podejścia do smaku był Duńczykiem i brał do testów, co miał najbliżej w sklepie za rogiem. Drugie w badaniu piwo tej firmy o nazwie Elephant – nie znam, ale źródła podają, że ostrzejsze i z wyższą kwasowością – lepiej smakowało przy prawie już piskliwym dźwięku o częstotliwości sześciuset czterdziestu herców. Był rok 1968, na ogół wiązany z utratą niewinności przez sporą połać świata Zachodu – przy czym nasi publicyści emigracyjni nadal używali staroświeckiego słowa „goszyzm" (czyż nie kojarzy się wam dźwiękowo z poszetką, taką np. jaką nosił Giedroyc?) zamiast tępej obelgi „lewactwa". Ale tamte pierwsze eksploracje połączeń między słuchem a smakiem były jeszcze bezinteresowne, pełne ciekawości niespapranej mamoną.

Czego nie da się już powiedzieć o bliższych nam czasowo pracach Charlesa Spence'a z Oksfordu, światowego autorytetu w dziedzinie badań nad łączeniem bodźców zmysłowych. Możemy mu śmiało przyznać tytuł Wielkiego Symfonika Smaków za ogłaszane od 2012 r. studia z dziedziny *sonic seasoning*, co kulawo przełożymy jako przyprawy z dźwięków. Już parę lat wcześniej dostał inną nagrodę, o której stali bywalcy obiadów środowych „Tygodnika" wiedzą, iż mam ją w najwyższym poważaniu, pomimo pozornie prześmiewczego charakteru.

Różnych już laureatów zdążyliśmy tu poznać, pamiętacie może sprzed roku ekipę włoskich fizyków optymalizujących makaron *cacio e pepe*. Swojego IgNobla Spence zaś dostał za pracę dowodzącą, iż na nasze odczucie przyjemności z jedzenia chipsów ziemniaczanych wpływa siła bodźca dźwiękowego skojarzonego z chrupnięciem. Badani ochotnicy wcinali Pringlesy rozmaitej świeżości, ale i tak najbardziej smakowały im te, przy których w słuchawkach słyszeli najgłośniejsze chrupnięcia. Kombinatorzy z koncernów skrzętnie zanotowali wniosek prosty jak cep, choć nazywa się to uczenie neuromarketingiem: można wyprodukować chipsa z suszonej starej tektury ostrzykniętej aromatem ziemniaka, papryczki, salami etc., byle dodać substancji zapewniającej długotrwałą chrupkość – a ludziom i tak posmakuje jak „prosto z pieca". Potem wspięli się na kolejną gałąź drzewa samych dobrych wiadomości – i zadbali po licznych testach, żeby folia na opakowaniach była z tych najbardziej metalicznie szeleszczących. Ten dźwięk również nastraja nas pozytywnie do zawartości. Czyli kulturalni ludzie przesypujący chipsy do miski bezwiednie odcinają swoich gości od ważnego bodźca. Złe wychowanie zawsze ma ten ekstra dreszcz rozkoszy i frajdy. Jeśli jako sztubakowi bosko smakowały mi cukierki lub paluszki zjadane po ciemku w kinie, to w dużej mierze była to zasługa szelestu papierków. Wcale nie zamierzałem go unikać, na złość komuś, kto z rzędu obok syczał. A teraz wiem, że to były badania terenowe nad rozszerzeniem pola przyjemności.

Spence badał też np. znaczny wpływ odgłosu korka wyciąganego z szyjki butelki na przyjemność picia wina, w kontraście do kliknięcia zakrętki – ale to, podobnie jak szelesty folii, są bodźce uwarunkowane kulturą, środowiskiem, doświadczeniami społecznymi, osadzone w czasie i miejscu (australijscy winopije, jak sądzę, są obojętni na korek). Ale neuromarketing chce grzebać w głębszych pokładach umysłu, zgoła niekulturowych, których działanie jest przed nami skryte, ale przez to bardziej naglące. Okazuje się, że bezwiednie umiemy rozróżnić po odgłosie, czy płyn wlewany do naczynia jest bardzo gorący, czy bardzo zimny (decyduje różna lepkość cieczy). Cenna rzecz dla autorów reklam drinków na upał, podobnie jak nadużywany już wszędzie syk bąbelków.

Dawniejsze badania z Danii nad tłem dźwiękowym do piwa znalazły potwierdzenie u Spence'a: niskie tony akcentują gorycz, wysokie podbijają cukier i kwas. Intensywny „biały dźwięk", czyli np. szum silników samolotu, tłumi wszystkie doznania smakowe poza umami. Może dlatego ludzie pokornie żują te niby-drożdżówki oferowane w Locie – słoną z pomi-

eprasa.pl c90e1c6c76

TP-ONLINE / AI

dorem, słodką z malinami. Smakują identycznie, choć umami to w nich raczej omam. Ot, głupie żarty, a ja szanuję narodowego przewoźnika za ten gest – w liniach zwanych tanimi jedyną potrawą na pokładzie jesteś ty, pasażerze i pasażerko, oskubią was z każdego piórka i wytopią tłuszcz co do kropelki.

W ogóle piszę nie całkiem poważnie, choć przeraża mnie kaftan determinizmu, w jaki jesteśmy wciskani jako konsumenci z pomocą coraz bardziej wyrafinowanych narzędzi wziętych wprost z najlepszych uczelni i laboratoriów naukowych. Ale „przyprawianie dźwiękiem" potraw tak, by jadło się je chętniej i płaciło za nie więcej, wydaje się niegroźne, bo na razie toporne. Prawie nigdy w restauracji czy barze nie ma potraw jednoznacznie gorzkich czy kwaśnych. Im coś lepsze, godne pamięci i wydatku, tym bardziej złożone, skontrastowane i zniuansowane, w świecie fine-diningu wręcz groteskowo. Neurolodzy muszą nad nami jeszcze dłużej popracować. Z powodu smutnych okoliczności życiowych miewam teraz z nimi do czynienia i chciałbym życzyć im i nam jeszcze zdrowym ich przyszłym pacjentom, aby dalsze postępy w tej dziedzinie musiały służyć tylko takim błahym celom, jak dobranie muzyki do kotleta.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Suflet pomarańczowy

Kiedy czytam o takich sztuczkach jak sonic seasoning, budzi się we mnie buntownik. Czy może raczej trefniś, bo w zderzeniu czołowym z Wielkim Kontrolerem uczuć i apetytów nie mamy szans, grajmy raczej w kotka i myszkę. Np. potrawami słodko-gorzkimi.
Jesteśmy jeszcze w końcówce sezonu na dobre pomarańcze, które takie połączenie najłatwiej zapewniają – począwszy od prawdziwej marmolady ze skórkami, przez skórkę kandyzowaną oblaną gorzką czekoladą, aż po ciasta nasączone syropem otrzymanym z udziałem tychże skórek. Dziś pobawmy się w coś lżejszego.

SKŁADNIKI:
4 pomarańcze 2 jajka 60 g cukru 2 kopiaste łyżki mąki 50 ml likieru Grand Marnier lub triple sec

Odcinamy „czapeczki" z każdej pomarańczy w 1/4 wysokości, ostrożnie wydłubujemy miąższ – nad miską, żeby nie uronić soku. Ubijamy żółtka z cukrem, aż staną się jasne i dobrze spienione. Dodajemy stopniowo mąkę, mieszamy, dolewamy likier, na koniec dobrze rozdrobniony miąższ i sok. Ubijamy białka na sztywną pianę ze szczyptą soli, delikatnie dodajemy do masy pomarańczowej, pracując szpatułką lub łyżką drewnianą ruchami od spodu ku górze. Przekładamy ostrożnie masę do wydrążonych pomarańczy, wstawiamy do piekarnika rozgrzanego do 160 stopni i pieczemy ok. 25-30 minut, aż suflet stężeje – jeśli zacznie zbyt mocno ciemnieć z wierzchu, możemy przykryć pod koniec arkuszem papieru do pieczenia.
Zjadamy przy ulubionej muzyce bogatej w tony niskie i wysokie o spokojnym tempie, bo nie ma się co spieszyć. Andante z V Symfonii van Beethovena dobrze by pasowało. ©℗

FOOD-MICRO / ADOBE STOCK

eprasa.pl c90e1c6c76

PSYCHE

CZATBOT W KRYZYSIE PSYCHICZNYM

KATARZYNA MIKA-ŁABUZ, MATEUSZ ŁABUZ, PAWEŁ SZCZĘSNY

Zbadali, jak duże modele językowe wykorzystuje się w celach terapeutycznych. Apelują, by nie wylewać dziecka z kąpielą. Ale nie mają złudzeń: do procesu leczenia potrzebny jest kontakt z żywym człowiekiem.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl c90e1c6c76

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Zrobiłem eksperyment. Jednej z popularnych AI przedstawiłem się jako osoba z typowymi objawami zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych (OCD). Zdiagnozowała mnie bezbłędnie, podała sporo rzetelnej wiedzy, uspokoiła i… doradziła konsultację z prawdziwym psychoterapeutą. Może więc w roli psychologicznego doradcy sztuczna inteligencja nie wypada tak źle?

DR MATEUSZ ŁABUZ: Ważne, czy prompt nie sugerował odpowiedzi. Wiele osób, które korzystają z czatbotów jako narzędzi do psychoterapii, nie toczy z nimi formalnych rozmów o objawach, lecz nieformalne konwersacje o życiu, od których jednak oczekują terapeutycznego efektu.

Dlaczego to robią?

M.Ł.: Choćby z uwagi na dostępność: mamy deficyt psychoterapeutów i rosnące zapotrzebowanie na nich, które nie może zostać zaspokojone – zwłaszcza gdy w grę wchodzi bariera językowa, miejsce zamieszkania czy po prostu koszty. Duże modele językowe (LLM) są zawsze pod ręką, gotowe do dialogu. Tyle że z psychoterapią zgodną ze sztuką nie ma to wiele wspólnego.

Z jakiego powodu?

DR KATARZYNA MIKA-ŁABUZ: Czatbot daje wprawdzie wrażenie kontaktu z człowiekiem, może dostarczyć pomocne materiały, wytłumaczyć diagnozę. Ale nie zastąpi doświadczenia terapeuty, jego całej wiedzy o pacjencie, obserwowania reakcji w ciele pacjenta – a mowa ciała to przecież ponad 90 proc. komunikatu.

Źródłem cierpienia jest najczęściej hamowanie i nieprzeżywanie emocji, co wywołuje napięcie. Nieprzeżyte napięcie pacjent przenosi na czatbot. A czatbot w swojej istocie jest usłużny i przepraszający. Tymczasem byciem tylko miłym nie da się pomóc pacjentowi. Terapeuta ma w takiej sytuacji zatrzymać pacjenta, pokazać mu, że np. odreagowuje, zastanowić się, co się wydarzyło, jakie słowa padły, że uruchomiły taką, a nie inną reakcję. Czat tego nie zrobi i w efekcie będzie tylko wzmacniał odreagowanie.

Co więcej: w przypadku pacjentów ze wspomnianym przez pana OCD będzie wręcz wzmacniał objawy. Jeśli kogoś dręczy natrętna myśl i żeby się uspokoić, musi bez przerwy o nią dopytywać – bo tak działa mechanizm obronny w OCD – czat może mu odpowiadać w kółko przez 24 godziny na dobę, pogłębiając obsesję czy kompulsję. Nie zaproponuje, jak terapeuta, żeby nie zajmować się objawami, tylko tym, co do nich doprowadziło.

DR PAWEŁ SZCZĘSNY: Pan przetestował tylko jeden LLM, a jest ich wiele i w kontekstach terapeutycznych radzą sobie różnie. Różni są też pacjenci. Niektórzy sięgają po czatboty dla szybkiej regulacji emocji. Inni usiłują przeprowadzić autoterapię, są wreszcie i tacy, dla których czatbot jest niebezpieczny, bo stanowi wyzwalacz stanu z pogranicza choroby psychicznej. Istnieje udokumentowany przypadek z zeszłego roku, gdzie czatbot odegrał istotną rolę w wywołaniu klasycznej schizofrenii u osoby, która nie miała wcześniej jej objawów.

Większość użytkowników wybierze pewnie któryś z popularnych LLM-ów, jak ChatGPT, Claude czy Gemini, ale są jeszcze modele reklamowane jako wyspecjalizowane do poradnictwa psychologicznego. Może da się je wytrenować tak, by nie przytakiwały usłużnie, lecz postępowały jak doświadczony psychoterapeuta?

P.S.: Zasadniczy problem nie polega na konfiguracji modelu, lecz na jego fundamentalnej wadzie – to technologia, która o świecie słyszała tylko z tekstu.

Czatboty terapeutyczne pojawiły się jeszcze przed dużymi modelami językowymi, czyli tym, co dziś rozumiemy przez AI. Badania nad ich skutecznością pokazały, że krótkotrwałe ich stosowanie, do doraźnej regulacji emocji, przynosiło użytkownikom korzyści porównywalne z wpływem psychoedukacji. Ale nie ma dowodów, by działały długoterminowo, choć tak są reklamowane, a nawet certyfikowane.

Pojawienie się LLM-ów przyniosło nadzieję na lepsze efekty. Niemniej badania z końca 2025 r. potwierdzają nasze obawy: ta technologia, ze względu na dryf pojawiający się w trakcie długiej konwersacji, nie jest w stanie utrzymać się w funkcji psychoterapeuty.

Dryf?

P.S.: Nawet LLM wytrenowany do bycia terapeutą już po ok. 20-30 turach konwersacji odbiega od tej roli. Dryfuje w stronę usłużnego asystenta i traci podejście terapeutyczne. W praktyce może wyrządzić użytkownikowi krzywdę, bo – trzymając się przykładu – z początku skupi się z użytkownikiem na przyczynach jego symptomów, ale już po kilkunastu turach będzie robił wszystko, czego tamten chce. Ta technologia jest w długich konwersacjach niestabilna, choćby w krótkich radziła sobie fantastycznie. Dlatego przynosi efekty w regulacji emocji, ale próby stosowania jej jako terapii kończą się porażką.

M.Ł.: Czatboty nie posiadają mechanizmów, którymi operują psychoterapeuci, jak kontenerowanie, czyli zdolność do przyjęcia na siebie trudnych emocji pacjenta i zwrócenia ich w bezpieczniejszej dla niego formie, czy praca z przeciwprzeniesieniem, czyli tym, jak terapeuta reaguje na pacjenta – bo nie mają świadomości ani zdolności odczuwania emocji.

Problem tkwi wreszcie i w samym modelu biznesowym LLM-ów. Są one z reguły projektowane tak, by jak najdłużej podtrzymywały konwersację z użytkownikami. Dlatego dostosowują się do nich i przejawiają sykofancję – czyli lizusostwo. A terapeuta nie może być lizusem, ma obnażać mechanizmy, konfrontować pacjenta z nimi i z rzeczywistością, i zakończyć terapię, nauczywszy pacjenta samodzielnego radzenia sobie. Czatbot z założenia jest nastawiony na zaspokajanie bieżących potrzeb użytkownika. Bo wtedy jest większe prawdopodobieństwo, że ten wróci. I przedłuży subskrypcję.

Czy LLM-y są zdolne do empatii, niezbędnej terapeucie? A może wystarczy, że symulują ją dostatecznie dobrze?

M.Ł.: W badaniach nad reakcjami pacjentów na wypowiedzi czatbotów i prawdziwych lekarzy te pierwsze wypadły zdecydowanie bardziej empatycznie. Wypowiedzi były też średnio dłuższe, więc bardziej przypadały pacjentom do gustu. Czatboty zostały stworzone, by naśladować naszą komunikację na poziomie lingwistycznym. Bardzo dobrze udawać ludzi. Tyle tylko, że to wciąż empatia udawana i działająca wyłącznie na poziomie językowym. ↦

eprasa.pl c90e1c6c76

↦ **P.S.:** LLM to bibliotekarz, który nigdy nie wyszedł z biblioteki. Fantastycznie wie, co to znaczy empatia, a jako że przeczytał całą bibliotekę, może być wręcz skuteczniejszym diagnostą od przeciętnego psychologa – bo sprawniej wyłapie językowe przejawy danego zaburzenia. Ale czatbot jest oderwany od rzeczywistości: nie zdaje sobie sprawy z ograniczeń, na jakie trafiamy w prawdziwym świecie, a znakomita większość z nich ma „amerykańskie" spojrzenie na rzeczywistość.

Czyli doradzą: „zmień pracę, weź kredyt"?

P.S.: Otóż to. Takich eksperymentów, jak pan, przeprowadziłem kilkadziesiąt – dużo dłuższych i testujących różnorakie zaburzenia. Za każdym razem symulacja terapii kończyła się porażką właśnie za sprawą oderwania LLM-ów od rzeczywistości. Nie odbierają sygnałów niewerbalnych, nie znają kontekstu kulturowego pacjenta – są święcie przekonane, że każdy użytkownik mieszka w dużym mieście, ma dochód rozporządzalny i wykształcenie pozwalające bez problemu znaleźć pracę. W efekcie pacjentowi na wózku potrafią doradzić, żeby częściej biegał.

M.Ł.: Tendencyjność czy dyskryminacja kulturowa zakodowana jest już w samych danych treningowych. Z badań prowadzonych na czatbotach wynika, że problemy charakterystyczne dla wielu regionów i kultur są przez nie albo ignorowane, albo reagują na nie nieodpowiednio. Np. znacznie częściej są skłonne kwalifikować do inwazyjnej interwencji czy leczenia psychiatrycznego osoby pochodzenia afrykańskiego i należące do mniejszości seksualnych. To nieodłączny element ich architektury. Trenowany na „zachodnich" danych czatbot wobec osoby z traumą pochodzącej z objętej wojną Ukrainy nie znajdzie właściwego języka.

P.S.: Ponadto symulowanie empatii nie wystarcza w przypadku zaburzeń, które nie wpływają na komunikację. Całe spektrum zaburzeń behawioralnych nie mieści się LLM-om w głowie. Alkoholik może się komunikować normalnie, a jego zachowań LLM nie widzi. Co więcej, ponieważ nie posiada odpowiedniego modelu rzeczywistości, nawet o te zachowania nie zapyta.

To czym się różni udawana empatia od prawdziwej?

K.M.-Ł.: Prawdziwa empatia to umiejętność stanięcia z boku i zobaczenia całego obrazka. Osobę, która mówi, że ma dość swojego małżonka, czat prawdopodobnie zacznie zapewniać, że ma rację. Terapeuta zachowa wstrzemięźliwość, dopyta, posprawdza szerszą rzeczywistość. Będzie empatyczny nie tylko wobec jednej emocji pacjenta, ale też wobec całości sytuacji. Takiej empatii uczymy się przez całe życie. Np. jako empatyczni rodzice nie zaspokajamy bezwzględnie każdej emocji małego dziecka, tylko patrzymy na nią w kontekście jego rozwoju, zdrowia czy bezpieczeństwa.

I jeszcze jedno: uważam, że dla pacjenta dotkniętego traumą korzystne jest, jeśli czasem w oczach terapeuty zobaczy łzy. Słów można się wyuczyć, ale fizjologicznej reakcji nie da się wzbudzić na życzenie. Wzruszenie terapeuty jest niepodważalne, daje potwierdzenie emocji pacjenta i prawo do nich. Czat napisze „masz prawo się tak czuć", ale nie pobędzie z tobą w tej emocji w milczeniu.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR KATARZYNA MIKA-ŁABUZ jest psycholożką i psychoterapeutką pracującą w nurcie psychodynamicznym oraz ISTDP. Członkini Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, prowadzi prywatną praktykę oraz wykłada na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR MATEUSZ ŁABUZ jest naukowcem w Instytucie Badań nad Pokojem i Polityką Bezpieczeństwa przy Uniwersytecie w Hamburgu (IFSH) oraz ekspertem Fundacji Obserwatorium Demokracji Cyfrowej. Przygotowuje książkę „Syntetyczny świat. Człowiek w czasach czatbotów, deep fake'ów i sztucznej inteligencji".

ARCHIWUM PRYWATNE

DR PAWEŁ SZCZĘSNY jest ekspertem w dziedzinie AI, psychologiem i bioinformatykiem. Pracował m.in. na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego, w Instytucie Maxa Plancka w Tybindze oraz w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN. Razem napisali artykuł naukowy na temat wykorzystywania dużych modeli językowych (LLM) do celów terapeutycznych.

Psychoterapeuci przechodzą własną terapię i poddają się superwizji. A czatbot?

M.Ł.: Otóż dzielenie się przez użytkowników z LLM-ami traumatycznymi przeżyciami może prowadzić do... traumatyzacji LLM-ów. W 2025 r. ukazały się pierwsze badania sugerujące, że należałoby prowadzić ich psychoterapię.

P.S.: To może brzmieć absurdalnie, ale jedna z firm rozwijających LLM-y – Anthropic – regularnie używa wyrażenia *model well-being*, czyli „dobrostan modelu".

Jeśli to nawet zagranie marketingowe, problem jest prawdziwy. Wiadomo z badań, że wystarczy w danych treningowych tylko ok. 250-300 dokumentów z toksycznym typem treści, żeby wpłynęły na zachowanie modelu. Bo uczenie się przez LLM-y nie polega na racjonalnym rozumowaniu, tylko na statystycznym łączeniu słów występujących w określonych ciągach. W dodatku ten proces to pętla: część wygenerowanych odpowiedzi jest wykorzystywana do dalszego trenowania modelu. Im więcej w danych treningowych będzie treści „obciążających psychologicznie", tym mniej stabilnie model będzie się zachowywał w kolejnych iteracjach treningu. W rezultacie w konwersacji z użytkownikiem szukającym wsparcia w traumie mogą się pojawić retraumatyzujące go odpowiedzi.

LLM, który ma pomagać, sam może mieć problem?

eprasa.pl c90e1c6c76

P.S.: I nie jest to zjawisko tylko teoretyczne. Już w 2016 r. czatbot Tay, którego Microsoft uruchomił na Twitterze, pod wpływem konwersacji z użytkownikami zaczął natychmiast publikować obraźliwe treści i po zaledwie 16 godzinach musiał zostać wyłączony. Tyle że dziś, ze względu na złożoność modeli, taki problem trudniej wyłapać. Zwłaszcza że treści szkodliwe psychicznie trudniej odsiać niż te ewidentne, jak faszyzm czy pedofilia. Model je generuje i równocześnie się na nich uczy, co prowadzi do tzw. kolapsu modelu – „chowu wsobnego".

Czy w dziedzinie zdrowia psychicznego LLM-y mogą być do czegokolwiek przydatne? Część z nich jest np. trenowana do wychwytywania zamiarów samobójczych.

P.S.: Są obszary, gdzie ta technologia może być wdrożona stosunkowo bezpiecznie. Np. psychoedukacja – to się już dzieje, nawet w Polsce. Czatboty mogą się też sprawdzać jako źródło informacji czy asystent w wyborze psychoterapii. Wreszcie, mogą być przydatne samym terapeutom, jako system wsparcia decyzji, druga opinia. Bo profesjonalista będzie potrafił krytycznie ocenić wynik ich pracy.

Owszem, w prewencji samobójstw LLM-y mogłyby oferować pierwszą linię pomocy – zabezpieczenia do momentu pojawienia się ludzkiego wsparcia. Ale według badań naukowców z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, które prowadzono nad wszystkimi publicznie dostępnymi quasiterapeutycznymi konwersacyjnymi systemami AI, żaden z 29 testowanych nie spełnił wszystkich kryteriów zabezpieczenia czy w ogóle rozpoznania zamiarów samobójczych użytkownika. Mniej niż połowa spełniała kryteria minimalne. A niektóre z nich były wręcz potwornie niebezpieczne. Jak Grok, którego na antenie TVN24 udało się mnie i Maciejowi Rudzińskiemu w dwóch turach konwersacji przekonać, żeby zaczął namawiać użytkownika do samobójstwa.

Mamy więc dziś na rynku spektrum systemów od akceptowalnych minimalnie po takie, których powinno się natychmiast zabronić tak samo jak zabraniamy narkotyków.

M.Ł.: W USA wytoczono kilka procesów firmom, których czatboty oskarża się o doprowadzenie użytkownika do samobójstwa. Najgłośniejszy dotyczy śmierci 16-letniego Adama Raine'a, który wielokrotnie mówił ChatowiGPT, co zamierza zrobić i radził się go. Tymczasem systemy te mają wielki potencjał, żeby w takiej sytuacji pomóc. Przede wszystkim w przypadku dzieciaków, które, jak pokazują badania, coraz częściej wybierają rozmowę z czatem, a nie z rodzicami czy nawet rówieśnikami.

Wiadomo, dlaczego?

M.Ł.: Mamy na ten temat badania. *AI Companions*, z których korzystają nastolatki, to wprawdzie nie są czatboty terapeutyczne, lecz towarzysko-relacyjne, ale znaczna część dzieciaków wskazuje, że po pierwsze, rozmawia im się z nimi łatwiej.

Po drugie, że mogą czatbotom powiedzieć rzeczy, których nie powiedziałyby nikomu innemu. Po trzecie, że są one zawsze dostępne. Po czwarte, że zawsze są pomocne i gotowe do wysłuchania.

Dla mnie, również jako rodzica, jest to jasny sygnał, że jako społeczeństwo potrzebujemy wzmocnić własną świadomość potrzeb naszych dzieci. Bo to, że wolą one rozmawiać z czatbotami niż z nami, nie jest winą ani dzieci, ani LLM-ów, tylko nas, dorosłych. W dyskusji na temat czatbotów i zdrowia psychicznego warto pochylić się w pierwszej kolejności nad tym, co skłania nas do takich interakcji i w jaki sposób wyjść naprzeciw realnym potrzebom społecznym.

Jak więc bezpiecznie dla własnego dobrostanu psychicznego korzystać z AI?

K.M.-Ł.: W pierwszej kolejności trzeba się przyjrzeć temu, jak często z niej korzystamy, zwłaszcza w porównaniu do realnych relacji międzyludzkich. Po drugie, możemy się AI radzić w sprawie zdrowia i dobrostanu psychicznego, ale musimy sobie zdawać sprawę z ograniczeń tej technologii. Zadawać sobie pytania: czego od niej nie dostaję? Czy czegoś mnie to nie pozbawia? Czy się nie uzależniłem?

Ponadto pamiętajmy, że w pewnych obszarach korzystanie z AI jako ze wsparcia psychicznego jest niewskazane. Jak mówiliśmy, czat będzie wzmacniał obsesje, kompulsje, ale też tendencje do odreagowywania, impulsywność – bo nawet gdy go zwyzywamy, on najwyżej przeprosi. Nie postawi granic, nie nazwie problemu. Również u osób mających tendencje do izolacji, zwłaszcza np. w fobiach społecznych, czat będzie tylko pogłębiał ich problem, dając ułudę realnego kontaktu.

P.S.: Ta technologia rozwija się tak szybko, że nie wykluczałbym, iż za dwa lata będzie się ją wdrażać w prewencji samobójstw, interwencji kryzysowej, regulacji emocji itd. Nie wylewajmy dziecka z kąpielą. Pytajmy, do czego się nadaje, a do czego nie, badajmy ją, opracujmy mechanizmy weryfikacji.

Gdy jestem w kryzysie lub złym stanie psychicznym i odruchowo kieruję się do czatbota – co zrobić zamiast tego?

K.M.-Ł.: Zatrzymać się i posłuchać siebie – nieoceniająco i z różnych perspektyw. Słuchanie siebie to nasz wielki zasób, z którego zbyt rzadko korzystamy. Dobrze też mieć kogoś zaufanego, z kim się umawiam, że gdy jestem w kryzysie, to do niego dzwonię. Jest też pomoc w postaci ośrodków interwencji kryzysowej i bezpłatnych, całodobowych telefonów zaufania, gdzie czekają fachowcy. Jeśli obawiamy się o zdrowie, zgłośmy się na SOR. Można sięgnąć po literaturę poradnikową czy kanały na YouTubie i podkasty, ale tu też pojawia się pytanie o ich wiarygodność. Istnieją za to fantastyczne platformy edukacyjne.

P.S.: Moja znajoma psycholożka ma ze swoją żoną umowę, że gdy przychodzi z jakimś problemem, to nie po rozwiązanie czy pouczenie, tylko po to, żeby ktoś powiedział jej „ojej". Po prostu potrzebuje zostać wysłuchana. To wspierające, a jednocześnie łatwo się na to umówić z bliskimi: zadzwonię albo przyjdę, żeby opowiedzieć, jak się czuję, a ty nic nie musisz z tym robić, po prostu bądź i powiedz „ojej".

Prosty prompt.

K.M.-Ł.: A żaden czat nam tego nie da.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

eprasa.pl c90e1c6c76

TOMASZ

Stawiszyński: *Odmowa udziału*

W skeczu „The Advantages of Extremism" z 1987 r. John Cleese – człowiek, który z grupą Monty Pythona dokonał w dziedzinie humoru przewrotu kopernikańskiego – w sposób tyleż skondensowany, co precyzyjny tłumaczy, na czym polegają zalety polaryzacji.

Stosuje w tym celu jedną z najbardziej efektywnych technik komediowych, którą posługują się tacy giganci stand-upu, jak nieżyjący George Carlin czy, współcześnie, David Chapelle albo Ricky Gervais. Polega ona na mówieniu otwartym tekstem tego, co ludzie świetnie wiedzą, czemu jednak – z uwagi na rozmaite społeczne presje, ideologiczne zaślepienia czy mechanizmy psychologii tłumu – nieustannie zaprzeczają. I przed innymi, i przed samymi sobą.

Tytułowe zalety są z grubsza trzy. Po pierwsze, całe zło tego świata przypisuje się „onym". Po drugie, aktywnie kieruje pod ich adresem własną nienawiść, pogardę i inne złe emocje. A po trzecie, zyskuje dla tego doskonałą wymówkę: „oni" są przecież tak źli i wstrętni, że nasza nienawiść i pogarda to postawy nie tylko usprawiedliwione, lecz także wskazane i chwalebne.

Po niemal 40 latach ta diagnoza nie straciła na aktualności. Owszem, jest poniekąd zabawne, że ludzie naprawdę się tak zachowują, a jednocześnie wciąż się uważają, dajmy na to, za cywilizowanych, czułych i otwartych. Mniej zabawna jest skala tego zjawiska. Zdominowało ono życie publiczne i polityczne, wniknęło do głównego nurtu, stało się dźwignią organizującą przepływ treści w infosferze. Polem szczególnie przez nie zainfekowanym są, naturalnie, media społecznościowe. Dlatego ilekroć przetacza się tam kolejna fala afektu i oburzenia, nieodmiennie przypomina mi się skecz Cleese'a. Ostatnio – przy okazji lektury komentarzy do wywiadu, jakiego Marta Nawrocka udzieliła Joannie Kryńskiej w TVN24.

Jednak nie sama nienawiść, pogarda czy seksizm, od których znaczna część owych komentarzy wręcz się uginała, wydały mi się symptomatyczne. Plemienna wybiórczość, złoty standard polaryzacji, w ramach której w odniesieniu do „nie-swoich" zawiesza się wszelkie stosowane wobec „swoich" wartości i zasady, spowszedniała już i zbanalizowała się do cna.

Nic w tym więc nie ma zaskakującego czy niecodziennego, że feministki potrafią bezpardonowo atakować i uciszać kobietę, jeśli ma konserwatywne poglądy, a piewcy równouprawnienia i emancypacji szydzić i potępiać ją za to, że zaszła w ciążę w wieku kilkunastu lat.

Jak również, że ludzie mający się za kulturalnych i światłych miotają obelgami i wyzwiskami niczym żule. Polaryzacja i podwójne standardy, polaryzacja i hipokryzja, polaryzacja i opisywany przez psychoanalizę mechanizm rozszczepienia – idą zawsze razem, wzajemnie się warunkując. I dotyczy to, żeby było jasne, obu stron barykady.

Ale w moim przekonaniu coś jeszcze innego jest tu najistotniejsze. A mianowicie – atak na Nawrocką za to, że nie zachowywała się przed kamerą niczym doskonale wytrenowana, złotousta, przemawiająca gładkimi formułami medialna figura. Że była zdenerwowana, momentami gubiła wątki. A przede wszystkim, że nie odpowiedziała na pytania o prawny status aborcji i finansowanie in vitro z budżetu państwa.

Otóż oglądając wywiad z Nawrocką, miałem wrażenie, że mimo własnych przekonań religijnych i życiowych wyborów, rozumie ona dobrze – wyraziła to wprost – że życie jest znacznie bardziej złożone niż wszelkie teoretyczne konstrukty na jego temat, nawet te najsłuszniejsze i najszlachetniejsze. Uchylenie się od odpowiedzi w kwestiach konkretnych prawnych zapisów dotyczących aborcji i in vitro widzę zaś jako unik niewynikający bynajmniej z konformizmu czy braku odwagi.

Zdaje mi się raczej, że Nawrocka świadomie nie chciała wzmacniać nakręconej już do szaleństwa polaryzacji. Wyraźnie zaznaczyła więc swoje osobiste stanowisko, ale zrobiła to taktownie, bez jednoczesnego napiętnowania tych, którzy myślą inaczej, bez jednoczesnego rytualnego uderzenia w drugie, znienawidzone plemię. Owszem, była zmieszana i zaskoczona. Mogła zapewne posłużyć się jakąś gładką formułą, wyuczoną na specjalnych zajęciach z komunikacji dla pierwszych dam. Ale przyznam, że właśnie jej zdenerwowanie i zmieszanie przemawia do mnie bardziej aniżeli złotousta erystyka i robotyczny uśmiech, do czego przyzwyczajeni jesteśmy w wydaniu klasy politycznej.

Intensywność emocjonalna ataku na pierwszą damę ma, moim zdaniem, podłoże przede wszystkim tu. W tym jej wyłamaniu się z dominującej formuły, w jej odmowie wpisania się w plemienny tryb, odmowie napędzania piekielnej machiny polaryzacji. Nieprzypadkowo Cleese w swoim skeczu pokazuje, że ludzie umiarkowani – „moderates" – to jedyna grupa znienawidzona po każdej ze spolaryzowanych stron.

Tymczasem Nawrocka w tym wywiadzie zaprezentowała właśnie umiarkowanie. Dała w ten sposób dobry przykład, że można mieć poglądy, a zarazem nie uczestniczyć w grze nienawiści i pogardy. Wszystkich, którzy sami zapamiętale w tej grze biorą udział, musiało to naturalnie rozwścieczyć. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl c90e1c6c76

MUZEUM WARSZAWY 90 LAT 1936—2026

ALEKSANDER MINORSKI

Fotografia to interwencja

CENTRUM FOTOGRAFII

WYSTAWA

19.03 —— 6.09.2026

Rynek Starego Miasta 32

muzeumwarszawy.pl

REKLAMA

Organizator
MUZEUM WARSZAWY
Instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

Współfinansowanie
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa

Patroni medialni
POLITYKA
TVP 3 WARSZAWA
TVP I info_
tokfm
PGE

Partner edukacji Muzeum Warszawy

eprasa.pl c90e1c6c76

WYPRZEDAŻ ROCZNIKA SUBARU CROSSTREK Z ATRAKCYJNYM FINANSOWANIEM

JUŻ OD 76 450 PLN BRUTTO W KREDYCIE 50/50*
LUB W ELASTYCZNYM LEASINGU

SZCZEGÓŁY U DEALERÓW
DEALERZY.SUBARU.PL

*Podmiotem finansującym jest Santander F24 S.A. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego. Decyzja o przyznaniu finansowania oraz warunki umowy zależą od wyniku badania zdolności kredytowej oraz oceny ryzyka kredytowego. Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) ustalona na dzień 23.12.2025 na podstawie reprezentatywnego przykładu dla samochodu Subaru Crosstrek o cenie 152 900,00 zł i przy udziale własnym klienta w wysokości 50% wynosi 2,05%, całkowita kwota pożyczki (bez kredytowanych kosztów) 76 450,00 zł, całkowita kwota do zapłaty 77 979,00 zł, oprocentowanie stałe 0%, całkowity koszt pożyczki 1 529,00 zł (w tym: prowizja stanowiąca 2 % całkowitej kwoty pożyczki, to jest 1 529,00 zł oraz odsetki 0 zł), umowa zawarta na okres 13 miesięcy, w 1 racie. Ubezpieczenie pojazdu w zakresie OC oraz Autocasco (wraz z ryzykiem kradzieży) jest obowiązkowe. Jego kosztu nie da się przewidzieć – nie został wliczony do RRSO. Obowiązuje wyłącznie dla samochodów z rocznika produkcji 2025. Liczba egzemplarzy ograniczona.

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI SUBARU SAFE8

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU · KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS · warta. · Santander Leasing · ENEOS MOTOR OIL · ERGO HESTIA · YOKOHAMA

REKLAMA

eprasa.pl c90e1c6c76